HENRYK SIENKIEWICZ.

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

TOMU III.

(CZĘŚĆ PIERWSZA).

WARSZAWA.
DRUKIEM WŁADYSŁAWA SZULCA I S-ki,
ulica Niecała Nr. 1.

1884.

OGNIEM I MIECZEM.

HENRYK SIENKIEWICZ.

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

TOMU III.

(CZĘŚĆ PIERWSZA).

WARSZAWA.
DRUKIEM WŁADYSŁAWA SZULCA I S-ki,
ulica Niecała Nr. 1.

1884.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 15 Ноября 1883 года.

ROZDZIAŁ I.

Pewnej pogodnej nocy, na prawym brzegu Waładynki, posuwał się w kierunku Dniestru orszak jeźdzców, złożony z kilkunastu ludzi.

Szli bardzo wolno, prawie noga za nogą. Na samym przodzie, o kilkadziesiąt kroków przed innemi, jechało dwóch jakoby w przedniej straży, ale widocznie nie mieli żadnego do strażowania i czujności powodu, bo przez cały czas rozmawiali ze sobą, zamiast dawać baczenie na okolicę — i zatrzymując co chwila konie, oglądali się na resztę orszaku, a wówczas jeden z nich wołał:

— Pomału tam! pomału!

I orszak zwalniał jeszcze kroku, zaledwie posuwając się naprzód.

Nakoniec wysunąwszy się z za wzgórza, które osłaniało go swym cieniem, orszak ów

wszedł na przestwór oblany światłem księżyca i wtedy to można było zrozumieć ostrożność pochodu: oto w środku karawany, idące obok siebie dwa konie, dźwigały przywiązaną do siodeł kołyskę, w kołysce zaś leżała jakaś postać.

Srebrne promienie oświecały bladą jej twarz i zamknięte oczy.

Za kołyską jechało dziesięciu zbrojnych. Po spisach bez proporców można w nich było poznać kozaków. Niektórzy prowadzili konie juczne, inni jechali luzem, ale o ile dwaj jadący na przedzie zdawali się nie zwracać najmniejszej uwagi na okolicę, o tyle ci oglądali się niespokojnie i trwożliwie na wszystkie strony.

A jednak okolica zdawała się być zupełną pustynią.

Ciszę przerywały tylko uderzenia kopyt końskich i wołanie jednego z dwu jadących na przodzie jeźdzców, który od czasu do czasu powtarzał swą przestrogę:

— Pomału! ostrożnie!

Nakoniec zwrócił się do swego towarzysza:

— Horpyna, daleko jeszcze? — spytał?

Towarzysz, którego zwano Horpyną, a który

w istocie był przebraną po kozacku olbrzymią dziewką, popatrzył w gwieździste niebo i odrzekł:

— Nie daleko. Będziemy przed północą. Miniemy Wraże uroczyszcze, miniemy Tatarski rozłóg, a tam już zaraz Czortowy jar. Oj! źleby tam przejeżdżać po północku nim kur zapieje. Mnie można, ale wam źleby było, źle!

Pierwszy jeździec wzruszył ramionami.

— Wiem ja — rzekł — że tobie czort bratem, ale na czorta są sposoby.

— Czort nie czort, a sposobu niema — odparła Horpyna. Żeby ty sokole na całym świecie schowania dla swojej kniaziówny szukał, toby ty lepszego nie znalazł. Już i tędy nikt po północku nie przejdzie, chyba ze mną, a w jarze jeszcze żywy człowiek nogi nie postawił. Chce kto wróżby, to przed jarem stoi i czeka póki nie wyjdę. Nie bój ty się. Nie przyjdą tam ani lachy, ani tatary, ani nikt, nikt. Czortowy jar straszny, sam zobaczysz.

— Niech sobie będzie straszny, a ja mówię, że przyjdę, ile razy zechcę.

— Byleś w dzień przychodził.

— Kiedy zechcę. A stanie czort w poprzek, to za rogi wezmę.

— Ej Bohun! Bohun!

— Ej Dońcówna, Dońcówna! ty się o mnie nie troszcz. Weźmie mnie czort, czy nie weźmie, to nie twoja sprawa, ale to ci powiadam: radź ty sobie ze swojemi czortami jak chcesz, byle na kniaziównę bieda nie przyszła, bo jeśli jej się co stanie, to ciebie z moich rąk ni czorty ni upiory nie wydrą.

— Raz mnie już topili, jeszcze jak my nad Donem z bratem mieszkali, drugi raz już mi w Jampolu mistrz głowę golił — a dlatego mi nic. Ale to inna rzecz. Ja z przyjaźni dla ciebie będę jej strzegła, by jej i włos na głowie od duchów nie spadł, a przed ludźmi u mnie bezpieczna. Już ci się ona nie wymknie.

— A ty sowo! jeśli tak mówisz, to czemu ty mnie wróżyła na biedę, czemu ty mi hukała nad uchem: „lach przy niej! lach przy niej!?“

— To nie ja mówiła, to duchy. Ale się może zmieniło. Jutro ci powróżę na wodzie w kole młyńskiem. Na wodzie wszystko dobrze widać, jeno trzeba długo patrzyć. Sam zobaczysz. Ale ty wściekły pies, powiedzieć ci prawdę, to się sierdzisz i za obuch łapiesz...

Rozmowa urwała się, słychać było tylko uderzenia kopyt o kamienie i jakieś głosy, do-

chodzące od strony rzeki, podobne do sykania koników polnych.

Bohun nie zwrócił najmniejszej uwagi na owe głosy, które jednak wśród nocy mogły dziwić — podniósł twarz ku księżycowi i zamyślił się głęboko.

— Horpyna! — rzekł po chwili.

— Czego?

— Ty czarownica, ty musisz wiedzieć: czy prawda, że jest takie ziele, że jak się go kto napije, to musi pokochać? Lubystka, czy jak?

— Lubystka. Ale na twoją biedę nic i lubystka nie poradzi. Jeśliby kniaziówna innego nie kochała — to tylko dać jej się napić, ale jeśli kocha, to wiesz co się stanie?

— Co?

— To jeszcze bardziej tego innego pokocha.

— Przepadnij-że ty ze swoją lubystką! Umiesz ty źle wróżyć, a poradzić nie umiesz.

— To słuchaj: znam ja inne ziele, co w ziemi rośnie. Kto się go napije, dwa dni i dwie nocy jak pień leży, o świecie nie wie. Tego ja jej ziela dam — a potem...

Kozak zatrząsł się na siodle i utkwił w czarownicę swe świecące w ciemności oczy.

— Co ty kraczesz? — spytał.

— Taj hodi! — zawołała wiedźma i wybuchnęła ogromnym, podobnym do rżenia klaczy, śmiechem.

Śmiech ów rozległ się złowrogiem echem w rozpadlinach jarów.

— Suko! — rzekł watażka.

Poczem oczy jego gasły stopniowo, popadał znów w zamyślenie, nakoniec począł mówić, jakby sam do siebie.

— Nie, nie! Kiedy my Bar brali, ja pierwszy wpadł do klasztoru, by jej przed pijanicami bronić i łeb strzaskać każdemu, ktoby się jej dotknął, a ona się nożem pchnęła — i teraz o bożym świecie nie wie. Dotknę jej ręką, to się znów pchnie, albo do rzeki skoczy — nie upilnujesz nieszczęsny!!

— Ty w duszy lach, nie kozak, kiedy po kozacku nie chcesz dziewczyny zniewolić...

— Żeby ja był lach! — zawołał Bohun — żeby ja był lach!

I za czapkę obu rękoma się chwycił, bo jego samego ból chwycił.

— Musiała cię urzec ta laszka — mruknęła Horpyna.

— Ej, chyba urzekła — odrzekł żałośnie. Niechby mnie pierwsza kula nie minęła, niech-

bym na palu sobacze życie skończył... Jednej ja chcę na świecie i ta jedna mnie nie chce.

— Durny! — zawołała z gniewem Horpyna—toć ty ją masz!

— Stul-że ty pysk! — zawołał z wściekłością kozak. A jak się ona zabije, to co? ciebie rozerwę, siebie rozerwę, łeb o kamień rozbiję, ludzi będę gryzł jak pies. Jaby duszę za nią oddał, sławę kozacką oddał, uciekłby za Jahorlik hen! od pułków za świat, aby z nią, z nią żyć, przy niej zdychać... Ot co! A ona się nożem pchnęła i przez kogo? przezemnie! Nożem się pchnęła!! słyszysz?

— Nic jej nie będzie. Nie umrze.

— Jakby umarła, to ja by ciebie ćwiekami do drzwi przybił.

— Mocy ty żadnej nad nią nie masz.

— Nie mam, nie mam. Ja by wolał, żeby ona mnie nożem pchnęła — niechby i zabiła, byłoby lepiej.

— Głupia laszka. Ot-by po dobrej woli przyhołubiła się do ciebie. Gdzie lepszego znajdzie?

— Spraw ty to, a ja ci garnek dukatów nasypię, a pereł drugi. My w Barze wzięli łupu nie mało i przedtem brali.

— Ty bogaty jak kniaź Jarema — i sławny. Ciebie, mówią, sam Krzywonos się boi.

Kozak ręką machnął.

— Co mnie z tego — koły serdcie bołyt...

I znowu zapadło milczenie. Brzeg rzeki stawał się coraz dzikszy, pustszy. Białe światło księżyca nadawało fantastyczne kształty drzewom i skałom. Nakoniec Horpyna rzekła:

— Tu Wraże uroczyszcze. Trzeba razem jechać.

— Czemu?

— Tu niedobrze.

Zatrzymali konie i po chwili orszak idący z tyłu złączył się z niemi.

Bohun wspiął się na strzemionach i zajrzał w kołyskę.

— Spyt? — spytał.

— Spyt —odpowiedział stary kozak — sładko jak detyna.

— Ja jej na sen dała — odrzekła wiedźma.

— Pomału, ostorożno — mówił Bohun — wlepiając oczy w uśpioną, szczoby wy jej ne rozbudyły. Misiac jej prosto w łyczko zahladaje, serdeńku mojemu.

— Tycho swityt, ne rozbudyt — szepnął jeden z mołojców.

I orszak ruszył dalej. Wkrótce przybyli nad Wraże uroczyszcze. Było to wzgórze, leżące tuż przy rzece, nizkie i obłe jak leżąca na ziemi okrągła tarcza. Księżyc zalewał je zupełnie światłem, rozświecając białe, porozrzucane po całej jego przestrzeni kamienie. Gdzieniegdzie leżały one pojedynczo, gdzieniegdzie tworzyły kupy, jakoby szczątki jakichś budowli, zburzonych zamków i kościołów. Miejscami sterczały płyty kamienne, pozasadzane końcem w ziemi, nakształt nagrobków na cmentarzyskach. Całe wzgórze podobne było do jednego wielkiego rumowiska. I może niegdyś, dawno, za czasów Jagiełłowych, krzewiło się tu życie ludzkie—dziś wzgórze owo i cała okolica, aż po Raszków, była głuchą pustynią, w której gnieździł się tylko dziki zwierz, a nocami duchy przeklęte odprawiały swoje korowody.

Jakoż zaledwie orszak wspiął się do połowy wysokości wzgórza, trwający dotychczas lekki powiew, zmienił się w prawdziwy wicher, który począł oblatywać wzgórze z jakimś posępnym, złowróżbnym świstem i wówczas mołojcom wydało się, że między owemi rumowiskami odzywają się jakieś ciężkie we-

stchnienia jakby wychodzące z ugniecionych piersi, jakieś żałosne jęki, jakieś śmiechy, płacze i kwilenia dzieci. Całe wzgórze poczęło się ożywiać, wołać różnemi głosami. Z za kamieni zdawały się wyglądać wysokie ciemne postacie, cienie dziwacznych kształtów prześlizgiwały się cicho między głazami, w dali, w pomroce błyskały jakieś światełka, podobne do oczu wilczych, nakoniec z drugiego końca wzgórza, z pomiędzy najgęstszych kup i zawalisk ozwało się nizkie gardłowe wycie, któremu zawtórowały zaraz inne.

— Siromachy? — szepnął młody kozak, zwracając się do starego essauła.

— Nie, to upiory — odpowiedział essauł jeszcze ciszej.

— O Hospody pomyłuj! — zawołali z przerażeniem inni, zdejmując czapki i żegnając się pobożnie.

Konie poczęły tulić uszy i chrapać. Horpyna jadąca na czele orszaku mruczała półgłosem niezrozumiałe słowa, jak gdyby pacierz dyabelski. Dopiero gdy przybyli na drugi kraniec wzgórza, odwróciła się i rzekła.

— No, już. Tu już dobrze. Trzymać ja je musiała zaklęciem, bo bardzo głodne.

Westchnienie ulgi wyrwało się ze wszystkich piersi. Bohun z Horpyną wysunęli się znów naprzód, a mołojcy którzy przed chwilą tłumili oddech, poczęli szeptać do siebie i rozmawiać. Każdy przypomniał sobie, co mu się kiedy z duchami lub upiorami przytrafiło.

— Żeby nie Horpyna, to myby nie przeszli — mówił jeden.

— Mocna wid'ma.

— A nasz ataman i did'ka ne boitsia. Nie patrzył, nie słuchał, jeno się na swoją mołodycię oglądał.

— Żeby jemu się to zdarzyło, co mnie, toby nie był taki bezpieczny — rzekł stary essauł.

— A co się wam zdarzyło, ojcze Owsiwuju?

— Jechał ja raz z Reimentarówki do Hulajpola, a jechał nocą koło mogił. W tem baczu, hyc coś z tyłu z mogiły na kulbakę. Obejrzę się: dziecko — sineńkie, bladeńkie!... Widno tatary z matką w jassyr prowadzili i umarło bez chrztu. Oczki mu goreją jak świeczki i kwili, kwili! Skoczyło mi z kulbaki na kark, aż tu czuję: kąsa za uchem. O Hospody! upiór. Alem to na Wołoszy długo sługiwał, gdzie upiorów więcej jak ludzi i tam są na nie spo-

soby. Zeskoczyłem z konia i gindżałem w ziemię. Zgiń! przepadnij! a ono jęknęło, chwyciło się za głownię od gindżała i po ostrzu spłynęło pod murawę. Przeciąłem ziemię na krzyż i pojechałem.

— To na Wołoszy tyle upiorów ojcze?

— Co drugi wołoch, to po śmierci będzie upior — i wołoskie najgorsze ze wszystkich. Tam ich nazywają brukołaki.

— A kto mocniejszy, ojcze, did'ko czy upior?

— Did'ko mocniejszy, ale upior zawziętszy. Did'ka jak potrafisz zażyć, to ci będzie służył, a upiory do niczgo tylko za krwią wietrzą. Ale zawsze did'ko nad niemi ataman.

— A Horpyna nad did'kami reimentaruje.

— Pewnie że tak. Póki jej życia, póty reimentarstwa. No, żeby ona nie miała nad niemi władzy, toby jej ataman swojej zuzuli nie oddał, bo brukołaki na dziewczyńską krew najłakomsze.

— A ja słyszał, że ony do duszy niewinne nie mają przystępu.

— Do duszy nie mają, ale do ciała mają.

— Oj szkodaby krasawicy. Krew to z mlekiem! Wiedział nasz bat'ko co w Barze brać.

Owsiwuj językiem klasnął.

— Nie ma co mówić. Zołotaja laszka...

— A mnie jej ojcze żal — mówił młody kozak — jak my ją w kołyskę kładli, to rączki białe składała, a tak prosyła i prosyła: ubij, każe, ne huby, każe, neszczastływoj!

— Nie będzie jej źle.

Dalszą rozmowę przerwało zbliżenie się Horpyny.

— Hej mołojcy — rzekła wiedźma — to Tatarski rozłóg, ale nie bójcie się, tu tylko jedna noc w roku straszna, a Czortowy jar i mój chutor już zaraz.

Jakoż wkrótce dały się słyszeć szczekania psów. Orszak wszedł w gardło jaru biegnącego prostopadle od rzeki, a tak wązkiego, że ledwie czterech konnych mogło w nim obok siebie postępować. Na dnie owej rozpadliny płynęła krynica, mieniąc się w świetle księżycowym jak wąż i biegąc wartko do rzeki. Ale w miarę, jak orszak posuwał się naprzód, strome i urwiste ściany rozszerzały się coraz bardziej, tworząc dość obszerny rozłóg, wznoszący się lekko w górę i zamknięty z boków skałami. Grunt gdzieniegdzie pokryty był wysokiemi drzewami. Wiatr tu nie wiał. Długie czar-

ne cienie kładły się od drzew na ziemię, a na przestrzeniach oblanych światłem księżyca, świeciły mocno jakieś białe, okrągłe, lub wydłużone przedmioty, w których mołojcy ze strachem poznali czaszki i piszczele ludzkie. Oglądali się też z nieufnością naokół, znacząc od czasu do czasu krzyżami piersi i czoła. W tem w dali błysło z pomiędzy drzew światełko, a jednocześnie nadbiegły dwa psy straszne, ogromne, czarne, ze świecącemi oczyma, szczekając i wyjąc na widok ludzi i koni. Na głos Horpyny uciszyły się wreszcie i poczęły obiegać w około jeźdzców, chrapiąc przytem i charcząc ze zdyszenia.

— Nie samowite — szeptali mołojcy.

— To nie psy — mruknął stary Owsiwuj głosem zdradzającym głębokie przekonanie.

Tymczasem z za drzew ukazała się chata, za nią stajnia, dalej zaś i wyżej jeszcze jedna ciemna budowla. Chata na pozór była porządna i duża — w oknach jej błyszczało światło.

— To moja sadyba — rzekła do Bohuna Horpyna — a tamto młyn, co zboża nie miele, jeno nasze, ale ja worożycha z wody na kole wróżę. Powróżę i tobie. Mołodycia w świetlicy będzie mieszkać, ale kiedy chcesz ściany

przybrać, to ją trzeba na drugą stronę tymczasem przenieść. Stójcie i z koni!

Orszak zatrzymał się, Horpyna zaś poczęła wołać.

— Czeremis, huku! huku! Czeremis!

Jakaś postać z pękiem zapalonego łuczywa w ręku wyszła przed chatę i wzniósłszy ogień w górę, poczęła w milczeniu przypatrywać się obecnym.

Byłto stary człek, potwornie szpetny, mały, prawie karzeł, z płaską kwadratową twarzą i skośnemi, podobnemi do szczelin oczyma.

— Co ty za czort? — spytał go Bohun.

— Ty jego nie pytaj — rzekła olbrzymka — on ma język obcięty.

— Pójdź tu bliżej.

— Słuchaj — mówiła dalej dziewka, a możeby mołodycię do młyna zanieść. Tu mołojcy będą przybierać świetlicę i ćwieki wbijać, to się rozbudzi.

Kozacy zsiadłszy z koni, poczęli odwiązywać ostrożnie kołyskę. Sam Bohun czuwał nad wszystkiem z największą troskliwością i sam dzwignął w głowach kołyskę, gdy przynoszono ją do młyna. Karzeł idąc naprzód, świecił łuczywem. Kniaziówna napojona przez Horpynę

odwarem ziół usypiających, nie rozbudziła się wcale, tylko powieki drgały jej cokolwiek od światła łuczywa. Twarz jej nabierała życia od tych czerwonych blasków. Może też kołysały dziewczynę sny cudne, bo się uśmiechała słodko w czasie tego pochodu, podobnego do pogrzebu. Bohun patrzył na nią i zdawało mu się, że serce chyba mu rozsadzi żebra w piersiach. „Myłeńka moja zuzula moja!“ — szeptał cicho — i groźne choć piękne lica watażki złagodniały i płonęły wielkim ogniem miłości, która go ogarnęła i ogarniała coraz bardziej, tak jak zapomniany przez wędrowca płomień ogarnia dzikie stepy.

Idąca obok Horpyna mówiła.

— Gdy się z tego snu rozbudzi zdrowa będzie. Rana się jej goi, zdrowa będzie...

— Sława Bohu! sława Bohu! — odpowiadał watażka.

Tymczasem mołojcy poczęli przed chatą zdejmować ogromne juki z sześciu koni i wyładowywać zdobycz wziętą w makatach, kobiercach i innych kosztownościach w Barze. Rozpalono w świetlicy obfity ogień i gdy jedni znosili coraz to nowe opony, drudzy przystosowywali je do drewnianych ścian izby. Bohun

nie tylko pomyślał o klatce bezpiecznej dla swego ptaka, ale postanowił ją przybrać, by ptakowi niewola nie zdawała się zbyt nieznośną. Wkrótce też nadszedł ze młyna i sam pilnował roboty. Noc upływała i księżyc zdjął już swoje białe światło z wierzchołków skał, a w świetlicy słychać jeszcze było przytłumione stukanie młotów. Prosta izba stawała się coraz podobniejsza do komnaty. Nakoniec, gdy już ściany były obwieszone, a tok wymoszczony, przyniesiono napowrót senną kniaziównę i złożono ją na miękkich wezgłowiach.

Potem uciszyło się wszystko. Tylko w stajni jeszcze przez jakiś czas rozlegały się wśród ciszy wybuchy śmiechu, podobne do końskiego rżenia; — to młoda wiedźma, baraszkując na sianie z mołojcami, rozdawała im kułaki i całusy.

ROZDZIAŁ II.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy nazajutrz dzień, kniaziówna otworzyła ze snu oczy.

Wzrok jej padł naprzód na pułap i zatrzymał się na nim długo, poczem obiegł całą komnatę. Wracająca przytomność walczyła jeszcze w dziewczynie z resztkami snu i marzeń. Na twarzy jej odmalowało się zdziwienie i niepokój. Gdzie jest? skąd się wzięła i w czyjej jest mocy? Czy śni jeszcze, czy widzi na jawie? Co znaczy ten przepych, który ją otacza? Co się z nią działo dotąd? W tej chwili straszne sceny wzięcia Baru stanęły nagle przed nią, jakby żywe. Przypomniała sobie wszystko: rzeź tysięcy narodu, szlachty, mieszczan, księży, zakonnic i dzieci — pomazane krwią twarze czerni, szyje i głowy poobwijane w dymiące jeszcze trzewia, pijane wrzaski, ów

sądny dzień wycinanego w pień miasta — nakoniec zjawienie się Bohuna i porwanie. Przypomniała sobie i to, jak w chwili rozpaczy padła na nóż nadstawiony własną ręką — i zimny pot operlił teraz jej skronie. Widać nóżześliznął się jej po ramieniu, bo czuje tylko trochę bólu, ale zarazem czuje, że żyje, że wraca jej siła i zdrowie, pamięta wreszcie, że długo, długo wieziono ją gdzieś w kołysce. Ale gdzie jest teraz? Czy w zamku jakim, czy uratowana, odbita, bezpieczna? I znowu obiega oczyma komnatę. Okienka w niej jak w chacie chłopskiej, małe, kwadratowe i świata przez nie nie widać, bo zamiast szyb zasłaniają je błony białe. Byłażby to rzeczywiście chata chłopska? Ale nie może być, bo świadczy przeciw temu niezmierny przepych wewnętrzny. Zamiast pułapu zwiesza się nad dziewczyną jedna ogromna opona z purpurowego jedwabiu w złote gwiazdy i księżyce, ściany niezbyt przestronne, ale całkiem przybrane w makaty, na podłodze leży różnowzory kobierzec, jakby żywemi kwiatami usłany. Okap na kominie pokryty perskim tyftykiem; wszędy złote frendzle, jedwabie, aksamity, począwszy od ścian pułapu, aż do poduszek, na których spoczywa jej

głowa. Jasne światło dzienne, przesiąkając przez błony okienek, rozświeca wnętrze, ale i gubi się w tych purpurach, ciemnych fioletach i szafirach aksamitu, tworząc jakąś uroczą tęczową pomrokę. Kniaziówna dziwi się, oczom nie wierzy. Czy to czary jakie, czy nie wojska księcia Jeremiego odbiły ją z rąk kozackich i złożyły w którym z książęcych zamków?

Dziewczyna złożyła ręce.

— Święta, Przeczysta! spraw, aby tak się stało, aby pierwsza twarz, która się we drzwiach ukaże, była twarzą obrońcy i przyjaciela.

Wtem przez ciężką lamową kotarę doszły do niej płynące zdaleka dźwięki teorbanu i jednocześnie jakiś głos począł nucić do wtóru znaną pieśń:

„Oj cei lubosti
„Hirsze od słabosti!
„Słabost' perebudu,
„Zdorow-że ja budu.
„Wirnoho kochania,
„Po wik ne zabudu.

Kniaziówna podniosła się na łożu, ale w miarę jak słuchała, oczy jej otwierały się coraz szerzej z przerażenia — wreszcie krzy-

knęła strasznie i rzuciła się jak martwa na poduszki.

Poznała głos Bohuna.

Ale krzyk jej przedostał się widocznie również przez ściany świetlicy, bo po chwili ciężka kotara zaszeleściała i sam watażka ukazał się w progu.

Kurcewiczówna zakryła oczy rękoma, a zbielałe i trzęsace się jej wargi powtarzały jakby w gorączce:

— Jezus Marya! Jezus Marya!

A jednak widok, który ją tak przeraził, byłby uradował niejedne oczy dziewczęce, bo aż łuna biła od ubioru i twarzy tego mołojca. Dyamentowe guzy jego żupana migotały jak gwiazdy na niebie, nóż i szabla skrzyły się od klejnotów, żupan ze srebrnej lamy i czerwony kontusz, podwoiły piękność jego smagłego oblicza i tak stał przed nią wysmukły, czarnobrewy, przepyszny, najpiękniejszy ze wszystkich mołojców Ukrainy.

Ale oczy miał zamglone, jakby gwiazdy tumanem przysłonięte i patrzył na nią prawie z pokorą, a widząc, że strach nie ustępuje z jej twarzy, począł mówić nizkim i smutnym głosem:

— Nie bój się kniaziówno!

— Gdziem jest? gdziem jest? — pytała poglądając na niego przez palce.

— W bezpiecznem miejscu, daleko od wojny. Nie bój się duszo ty moja miła. Ja cię tu z Baru przywiózł, żeby się tobie krzywda nie stała od ludzi, albo od wojny. Już tam nikogo nie żywili w Barze kozacy, tyś jedna żywa wyszła.

— Co tu waćpan robisz, dlaczego mnie prześladujesz?

— Ja ciebie prześladuję! Mój Boże miły! — i watażka ręce rozłożył i począł głową kiwać, jak człowiek, którego wielka niesprawiedliwość spotyka.

— Ja się waćpana boję okrutnie.

— I czemu się boisz — jeśli każesz, odedrzwi się nie ruszę — ja rab twój. Mnie tu na progu siedzieć, a w oczy ci patrzyć. Ja ci zła nie chcę, za co ty mnie nienawidzisz? Hej Boże miły! — ty się w Barze nożem pchnęła na mój widok, choć ty mnie dawno znała i wiedziała, że ja cię bronić idę. Toć ja nie obcy człowiek dla ciebie, ale druh serdeczny, a ty się nożem pchnęła, kniaziówno!

Blade policzki kniaziówny oblały się nagle krwią.

— Bom wolała śmierć, jak hańbę — rzekła — i przysięgam, że jeśli mnie nie uszanujesz, to się zabiję, choćbym też i duszę zgubić miała.

Z oczu dziewczyny strzelił ogień — i widział watażka, że niema co żartować, z tą krwią kurcewiczowską, książęcą, bo w uniesieniu dotrzyma tego czem grozi, a drugim razem lepiej nadstawi noża.

Więc nie odrzekł nic, tylko postąpił parę kroków pod okno i siadłszy na ławie pokrytej złotą lamą, zwiesił głowę.

Przez chwilę trwało milczenie.

— Bądź ty spokojna — rzekł. Póki ja trzeźwy, póki mnie gorzałka-matka głowy nie zapali, póty ty dla mnie jak obraz w cerkwi. A od czasu jak ja ciebie w Barze znalazł, przestałem pić. Przedtem ja pił, pił, biedę moją gorzałką-matką zalewał. Co było robić! Ale teraz do ust nie wezmę ni słodkiego wina, ni palanki.

Kniaziówna milczała.

— Popatrzę na cię, — mówił dalej — oczy krasnym liczkiem ucieszę — taj pójdę.

— Wróć mnie wolność — rzekła dziewczyna.

— Albo ty w niewoli, ty tu pani. I gdzie chcesz wracać? Kurcewiczowie wyginęli, ogień pożarł wsie i grody, kniazia w Łubniach niema, idzie on na Chmielnickiego, a Chmielnicki na niego, wszędy wojna, krew się leje, wszędy pełno kozaków i ordyńców i żołnierstwa. Kto cię uszanuje? kto się ciebie użali, kto cię obroni, jeśli nie ja.

Kniaziówna oczy ku górze wzniosła, bo wspomniała, że przecie jest ktoś na świecie, ktoby przygarnął, i użalił się, i obronił — ale nie chciała wymówić jego nazwiska, by lwa srogiego nie drażnić — jednocześnie zaś głęboki smutek ścisnął jej serce. Czy jeszcze żyje ten, za którym tęskniła jej dusza. Będąc w Barze wiedziała, że żyje, bo zaraz po wyjeździe Zagłoby doszło jej uszu nazwisko pana Skrzetuskiego, wraz z wieściami o zwycięztwach groźnego księcia. Ale od tej pory ileż to już upłynęło dni i nocy, ile mogło się zdarzyć bitew, ile dosięgnąć go niebezpieczeństw. Wieści o nim mogły ją teraz dochodzić tylko przez Bohuna, którego pytać nie chciała i nie śmiała.

Więc głowa opadła jej na poduszki.

— Zali mam więźniem tu pozostać? — pytała z jękiem. Com ja waćpanu uczyniła, że chodzisz za mną jak nieszczęście.

Kozak podniósł głowę i począł mówić tak cicho, że zaledwie było go słychać.

— Co ty mnie uczyniła — ne znaju, ale to znaju, że jeśli ja tobie nieszczęście, to i ty mnie nieszczęście. Żeby ja ciebie nie pokochał, byłby ja wolny jak wiatr w polu i na sercu swobodny, i na duszy swobodny, a sławny jak sam Konasewicz Sahajdaczny. Twoje to liczko mnie nieszczęście, twoje to oczy mnie nieszczęście; ni mnie wola miła, ni sława kozacza! Co mnie były krasawice, póki ty z dziecka na pannę nie wyrosła. Raz ja wziął galerę z najkraśniejszemi mołodyciami, bo je sułtanowi wieźli — i żadna serca nie zabrała. Poigrały kozaki-braty, a potem ja każdej kamień kazał do szyi i w wodę. Nie bał ja się nikogo, nie dbał o nic — wojną na pogan chodził, łup brał — i jak kniaź w zamku, tak ja był na stepie. A dziś co? Ot, siedzę tu—i rab, o dobre słowo u ciebie żebrzę i wyżebrać nie mogę — i nie słyszał go nigdy, nawet i wtedy, gdy cię bracia i stryjna za mnie swatali. Oj, żeby ty dziewczyno była dla mnie inna, żeby ty była

inna, nie stałoby się to, co się stało; nie byłby ja twoich krewnych pobił, nie byłby ja się z buntem i chłopami bratał, ale przez ciebie ja rozum stracił. Ty by mnie gdzie chciała zawiodła — jaby ci krew oddał, duszę by oddał. Ja teraz ot cały we krwi szlacheckiej ubroczon, ale dawniej ja tylko tatarów bił, a tobie łup przywoził — żeby ty w złocie i klejnotach chodziła jak cheruwym bożyj — czemu ty mnie wtedy nie kochała. Oj ciężko, oj ciężko! żal sercu mojemu. Ni z tobą żyć, ni bez ciebie, ni zdala, ni zblizka — ni na górze, ni na dolinie — hołubko ty moja, serdeńko ty moje! No, daruj ty mnie, że ja przyszedł po ciebie do Rozłogów po kozacku, z szablą i ogniem, ale ja był pijany gniewem na kniaziów i gorzałkę po drodze pił — zbój nieszczęsny. A potem, jak ty mi uciekła, tak ja poprostu jak pies wył, i rany bolały, i jeść nie chciał, i śmierci-matki prosił, żeby zabrała — a ty chcesz, by ja cię teraz oddał, by utracił cię nanowo— hołubko ty moja, serdeńko ty moje!

Watażka przerwał, bo mu głos urwał się w gardle i stał się prawie jęczący, a twarz Heleny to rumieniła się, to bladła. Im więcej niezmiernej miłości było w słowach Bohuna,

tem większa przepaść otwierała się przed dziewczyną, bez dna, bez nadziei ratunku.

A kozak odpoczął chwilę, opanował się i tak dalej mówił:

— Proś, czego chcesz. Ot, patrz, jak ta izba przybrana — to moje, to łup z Baru, na sześciu koniach ja dla ciebie to przywiózł — proś czego chcesz — złota żółtego, szat świecących, klejnotów jasnych, rabów pokornych. Ja bogaty, swego mam dość i Chmielnicki mnie dobra nie pożałuje i Krzywonos nie pożałuje, ty będziesz jak księżna Wiśniowiecka, zamków ci nazdobywam, pół Ukrainy ci daruję — bo choć ja kozak, nie szlachcic, ale ataman buńczuczny, podemną dziesięć tysięcy mołojców chodzi, więcej jak pod kniaziem Jaremą. Proś, czego chcesz, byleś nie chciała uciekać odemnie— byleś została ze mną hołubko, a pokochała.

Kniaziówna podniosła się na poduszkach bardzo blada — ale jej słodka, przecudna, twarz wyrażała taką niezłomną wolę, dumę i siłę, że ta gołąbka podobniejszą była w tej chwili do orlęcia.

— Jeśli waćpan mej odpowiedzi czekasz — rzekła — to wiedz, iż choćbym miała wiek

w twojej niewoli przejęczyć, nigdy, nigdy cię nie pokocham, tak mi dopomóż Bóg!

Bohun pasował się przez chwilę sam ze sobą.

— Ty mi takich rzeczy nie mów — rzekł chrapliwym głosem.

— Ty mi o swem kochaniu nie mów, bo mi od niego wstyd, gniew i obraza. Jam nie dla ciebie.

Watażka wstał.

— A dla kogo-że ty kniaziówno Kurcewiczówno, a czyjaby ty była w Barze, żeby nie ja?

— Kto mnie życie ratuje, by mi dać hańbę i niewolę, ten mój wróg, nie przyjaciel.

— I ty myślisz, żeby cię chłopy zabiły? Strach myśleć!...

— Nóż by mnie zabił, tyś mi go wydarł.

— I nie oddam, bo ty musisz być moja — wybuchnął kozak.

— Nigdy! wolę śmierć.

— Musisz i będziesz.

— Nigdy!

— No, żeby ty nie była ranna, to po tem, co ty mi rzekła, jaby dziś jeszcze pchnął mołojców do Raszkowa i mnicha za łeb kazał

przyprowadzić, a jutro jaby był twój mąż. Taj co? męża grzech nie kochać i nie przyhołubić. Hej! ty panno wielmożna, tobie miłość kozacka obraza i gniew. A kto ty taka, że ja dla ciebie chłop. Gdzie twoje zamki i bojary i wojska? Czemu tobie gniew, czemu tobie obraza? Ja cię wojną wziął, ty branka. Oj, żeby ja był chłop, jaby cię nahajem po białych plecach rozumu nauczył i bez księdzaby się twoją krasą nasycił — żeby ja był chłop, nie rycerz!!

— Anieli niebiescy, ratujcie mnie!—szepnęła kniaziówna.

A tymczasem coraz większa wściekłość wzbierała na twarzy kozaka — i gniew chwytał go za włosy.

— Ja wiem — mówił — czemu tobie obraza, czemu ty mi odporna! Dla innego chowasz swój wstyd dziewiczy — ale nic z tego, jakom żyw, jakom kozak. Szlachcic hołota! oczajdusza łach nieszczery. Na pohybel-że jemu! Ledwie spojrzał, ledwie w tańcu zakręcił, i całą wziął, a ty kozacze cierp, łbem tłucz, ale ja jego dostanę i ze skóry każę go obedrzyć, ćwiekami nabić. Wiedz ty, że idzie Chmielnicki na lachów, a ja idę z nim — i twego hołubka od-

najdę, choćby pod ziemią, a jak wrócę, to ci wrażą jego głowę na gościniec pod nogi kinę.

Helena nie słyszała ostatnich słów atamana. Ból, gniew, rany, wzruszenie, przestrach, zbawiły ją sił — i słabość niezmierna rozeszła się po wszystkich jej członkach, oczy i myśli jej zgasły — i padła zemdlona.

Watażka stał czas jakiś blady z gniewu, z pianą na ustach — wtem dostrzegł tę martwą głowę zwieszoną w tył bezwładnie—i z ust jego wyrwał się ryk prawie nieludzki.

— Wże po nij. Horpyna! Horpyna! Horpyna!

I na ziemię runął.

Olbrzymka wpadła co duchu do świetlicy.

— Szczo z toboju.

— Ratuj! ratuj! — wołał Bohun. Zabił ja ją — duszu moju, świtło moje.

— Szczo ty wzduriw?

— Zabił, zabił! — jęczał watażka i ręce nad głową łamał.

Ale Horpyna zbliżywszy się do kniaziówny, wnet poznała, że to nie śmierć, jeno omdlenie ciężkie i wyprawiwszy za drzwi Bohuna zaczęła ją ratować.

Kniaziówna otworzyła po chwili oczy.

— No, doniu, nic ci, mówiła czarownica. Ty się widać jego przelękła i pomroka cię chwyciła — ale pomroka przejdzie, a zdrowie przyjdzie. Ty jak orzech dziewczyna, tobie długo jeszcze na świecie żyć i szczęścia używać.

— Ktoś ty jest? — spytała słabym głosem kniaziówna.

— Ja? sługa twoja — bo on tak kazał.

— Gdzie ja jestem?

— W Czortowym jarze. Szczera tu pustynia, nikogo nie zobaczysz, prócz niego.

— Czy i ty tu mieszkasz?

— Tu nasz chutor. Ja Dońcówna, brat mój pod Bohunem pułkownikuje, dobrych mołojców wodzi, a ja tu siedzę — i będę ciebie pilnowała, w tej komnacie złocistej. Z chaty terem!— aż łuna bije! to on dla cię wszystko to przywiózł.

Helena popatrzyła w hożą twarz dziewki i twarz ta wydała jej się pełną szczerości.

— A będziesz ty dobra dla mnie?

Białe zęby młodej wiedźmy zabłysły w uśmiechu.

— Będę. Zaś bym nie była! — rzekła—ale i ty bądź dobrą dla atamana. On sokół, on sławny mołojec, on ci...

Tu wiedźma schyliła się do ucha Heleny i zaczęła jej coś szeptać, w końcu wybuchnęła śmiechem.

— Precz! — krzyknęła kniaziówna.

ROZDZIAŁ III.

Rankiem, w dwa dni później, Dońcówna z Bohunem siedzieli pod wierzbą, wedle młyńskiego koła i patrzyli na pieniącą się na niem wodę.

— Będziesz jej pilnowała, będziesz jej strzegła, oka z niej nie spuścisz, — żeby nigdy z jaru nie wychodziła — mówił Bohun.

— U jaru ku rzece wązka szyja, a tu miejsca dosyć. Każ szyję kamieniami zasypać, a będziem tu jak w garnku na dnie; jak mnie będzie trzeba, to sobie wyjście znajdę.

— Czemże wy tu żyjecie?

— Czeremis pod skałami kukurydzę sadzi, wino sadzi i ptaki w sidła łapie. Z tem, co ty przywiózł, nie będzie jej niczego brakować chyba ptasiego mleka. Nie bój się, już ona z jaru nie wyjdzie i nikt się o niej nie dowie, byle twoi ludzie nie rozgadali, że ona tu jest.

— Ja im kazał przysiądz. Oni wierni mołojcy, nie rozgadają, choćby z nich pasy darli. Ale ty sama mówiła, że tu ludzie przychodzą do cię, jako do worożychy.

— Czasem z Raszkowa przychodzą, a czasem jak zasłyszą, to i Bóg wie zkąd. Ale zostają przy rzece, do jaru nikt nie wchodzi, bo się boją. Ty widział kości. Byli tacy, co chcieli przyjść, to ich kości leżą.

— Ty ich mordowała?

— Kto mordował, to mordował! Chce kto wróżby, czeka u jaru, a ja do koła idę. Co zobaczę w wodzie, to pójdę i powiem. Zaraz i dla ciebie będę patrzyła, jeno nie wiem, czy się co pokaże, bo nie zawsze widać.

— Byleś co złego nie obaczyła.

— Jak będzie co złego, to nie pojedziesz. I tak byś lepiej nie jechał.

— Muszę. Do mnie Chmielnicki pismo do Baru pisał, żeby ja wracał i Krzywonos przykazywał. Teraz na nas Lachy z wielką siłą idą — więc i my musimy do kupy.

— A kiedy wrócisz?

— Ne znaju. Będzie wielka bitwa, jakiej jeszcze nie bywało. Albo nam śmierć, albo lachom. Jeśli nas pobiją, to tu się schronię, jeśli

my pobijemy — to wrócę po moją zazulę i do Kijowa z nią pojadę.

— A jak zginiesz?

— Od tego ty worożycha, żebym wiedział.

— A jak zginiesz?

— Raz maty rodyła.

— Ba! A co ja mam z dziewczyną wtedy robić? Głowę jej ukręcić, czy jak?

— Dotknij ty jej ręką, a ja cię każę wołami na pal nawlec.

Watażka zamyślił się ponuro.

— Jeśli zginę, tak ty jej powiedz, żeby mnie ona prostyła.

— Hej, newdiaczna to laszka, że za takie kochanie cię nie kocha. Żeby tak na mnie, jaby ci nie była oporna — hu! hu!

To mówiąc Horpyna trąciła po dwakroć kułakiem w bok watażki i pokazała mu wszystkie zęby w uśmiechu.

— Idź-że ty do czorta! — rzekł kozak.

— No, no! wiem ja, że ty nie dla mnie.

Bohun zapatrzył się w spienioną wodę na kole, jakby sam chciał sobie wróżyć.

— Horpyna? — rzekł po chwili.

— A co?

— Jak ja pojadę, czy ona będzie za mną tużyła?

— Kiedy ty nie chcesz jej po kozacku zniewolić, to może i lepiej, że sobie pojedziesz.

— Ne choczu, ne mohu, ne smiju! Ja wiem, że onaby umarła.

— To może i lepiej, że pojedziesz. Póki ona cię widzi, nie chce cię i znać, ale jak posiedzi ze mną i z Czeremisem miesiąc, dwa — będziesz jej zaraz milszy.

— Żeby ona była zdrowa, tak wiem, coby ja zrobił? Sprowadziłby popa z Raszkowa i kazał sobie ślub dać, ale teraz się boję, bo jak się przelęknie — duszę odda. Samaś widziała.

— Daj-że ty pokój. A po co tobie pop i ślub. Nie szczery ty kozak — nie! Ja tu nie chcę ni popa, ni księdza. W Raszkowie stoją tatarzy dobruccy, jeszcze by ty ich na kark nam sprowadził, a jakby sprowadził, tak tyleby widział kniaziównę. Co tobie do głowy przyszło. Jedź-że sobie i wracaj.

— A ty patrz w wodę i mów co ujrzysz. Mów prawdę, a nie łżyj, choćby ty mnie nieżywego ujrzała.

Dońcówna zbliżyła się do koryta młyńskiego i podniosła drugą zastawę, wstrzymu-

jącą wodę krynicznego wodospadu; wnet wartka fala napłynęła zdwojonym pędem przez koryto; koło zaczęło się obracać szybciej, aż wreszcie zakrył je pył wodny; zbita na miazgę piana kłębiła się pod kołem jak ukrop.

Wiedźma wbiła swoje czarne oczy w owe wary i chwyciwszy się za warkocze koło uszu, poczęła wołać:

— Huku! huku! pokaż się! W kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, zły ty, czy dobry, pokaż się!

Bohun zbliżył się i siadł przy niej. Twarz jego wyrażała obawę i gorączkową ciekawość.

— Widzę! — krzyknęła wiedźma.

— Co widzisz?

— Śmierć mojego brata. Dwa woły Dońca na pal naciągają.

— Do czorta z twoim bratem! — mruknął Bohun, który czego innego chciał się dowiedzieć.

Przez chwilę słychać było tylko hurkot koła, obracającego się jakby ze wściekłością.

— Sina u mego brata głowa, sinieńka, kruki go dziobią! — rzekła wiedźma.

— Co więcej widzisz?

— Nic.—O jaki siny! Huku! huku! w kole dębowem, w pianie białej, w tumanie jasnym, pokaż się!! —widzę.

— A co?

— Bitwa! lachy uciekają przed mołojcami.

— A ja gonię?

— Widzę i ciebie. Ty się z małym rycerzem potykasz. Hur! hur! hur! Ty się małego rycerza strzeż.

— A kniaziówna?

— Niema jej. Widzę cię znowu, a przy tobie ktoś, kto cię zdradzi. Twój druh nieszczery.

Bohun pożerał oczyma to piany, to Horpynę — i jednocześnie pracował głową, by pomódz wróżbom.

— Jaki druh?

— Nie widzę. Nie wiem, stary, czy młody.

— Stary! pewno stary!

— Może. i stary.

— To wiem, kto to. On mnie już raz zdradził. Stary szlachcic z siwą brodą i z białym okiem. Na pohibel-że jemu. Ale on mnie nie druh.

— On dybie na ciebie. Widzę znowu. Czekaj! jest i kniaziówna! jest, w wianku ruciannym, w białej sukni, nad nią jastrząb.

— To ja.

— Może i ty. Jastrząb... czy sokoł? Jastrząb!

— To ja.

— Czekaj. Już nie widać... W kole dębowem, w pianie białej... O! o! mnogo wojska, mnogo mołojców, oj, mnogo, jak drzew w lesie, jak bodiaków w stepie, a ty nad wszystkiemi, przed tobą trzy buńczuki noszą.

— A kniaziówna przy mnie?

— Niema jej, ty w obozie.

Znowu nastała chwila milczenia. Koło huczało aż się cały młyn trząsł.

— Hej, co tu krwi! co tu krwi! co trupów, wilcy nad niemi, krucy nad niemi! — zaraza nad niemi. Same trupy! same trupy! hen! hen! tylko trupy, nie widać nic, tylko krew!

Nagle powiew wiatru zwiał tuman z koła— a jednocześnie wyżej, nade młynem, ukazał się potworny Czeremis, z wiązką drzewa na plecach.

— Czeremis, załóż stawidło! — zawołała dziewka.

To rzekłszy, poszła umywać ręce i twarz w strudze, a karzeł zahamował tymczasem wodę.

Bohun siedział zamyślony. Zbudziło go dopiero nadejście Horpyny.

— Ty nic więcej nie widziała? — spytał ją.

— Co się pokazało, to się pokazało, nic więcej nie obaczę.

— A nie łżesz?

— Na głowę brata, prawdę mówiłam. Jego na pal wsadzą. Wołami za nogi naciągną. Mnie jego żal. Hej nie jemu jednemu śmierć pisana! Co się trupów pokazało! nigdy tyle nie widziałam; będzie wielka wojna na świecie.

— A ją ty widziała z jastrzębiem nad głową?

— Tak jest.

— I ona była w wianku?

— W wianeczku i w białej sukni.

— A skąd ty wiesz, że ten jastrząb, to ja? Ja tobie o tym młodym lachu szlachcicu powiadał — może to on?

Dziewka zmarszczyła brwi i zadumała się.

— Nie — rzekła po chwili, wstrząsając głową:—kołyby buw lach, to by buw oreł.

— Sława Bohu! sława Bohu! Pójdę ja teraz do mołojców, żeby konie do drogi gotowali. W nocy ruszymy.

— Tak i koniecznie pojedziesz.

— Chmiel przykazywał i Krzywonos przykazywał. Ty dobrze widziała, że będzie wielka wojna, bo to samo ja w Barze, w piśmie od Chmiela, czytał.

Bohun wprawdzie nie umiał czytać, ale wstydził się tego — bo nie chciał za prostaka uchodzić.

— To i jedź! — rzekła wiedźma. Ty szczęśliwy—hetmanem zostaniesz, ja ot, tak nad tobą trzy buńczuki widziała, jako te palce widzę.

— I hetmanem zostanę i kniaziównę za żynku wezmę — mnie nie chłopkę brać.

— Z chłopką tyby inaczej gadał — ale tej ci wstyd. Ty powinien być lachem.

— Ja-że ne hirszy.

To rzekłszy, Bohun poszedł do stajni, do mołojców — a Horpyna jedzenie warzyć.

Wieczorem konie były gotowe do drogi, ale watażce nie sporo było odjeżdżać. Siedział na pęku kobierców, w świetlicy, z teorbanem w ręku i patrzył na swoją kniaziównę, która już podniosła się z łoża, ale zasunąwszy się w drugi kąt izby, odmawiała cicho różaniec, nie zwracając żadnej uwagi na watażkę, tak jakby go wcale w świetlicy nie było. On przeciwnie, śledził z pod ściany oczyma każdy jej

ruch, łowił uszami każde westchnienie — i sam nie wiedział, co ze sobą zrobić. Co chwila otwierał usta, by rozpocząć rozmowę i słowa nie chciały mu wychodzić z gardła. Onieśmielała go twarz blada, milcząca, z wyrazem pewnej surowości w brwiach i ustach. Tego wyrazu nie widywał poprzednio na niej Bohun. I mimowoli przypomniał sobie podobne wieczory w Rozłogach i stanęły mu w myśli jakoby żywe: jako siadali on i Kurcewicze naokół dębowego stołu. Stara kniahini łuszczyła słoneczniki, kniazie rzucali kości z kubka — on wpatrywał się w śliczną kniaziównę, tak jak i teraz się wpatruje. Ale wówczas bywał szczęśliwy, wówczas gdy opowiadał swe wyprawy z siczowemi—ona słuchała — i czasem jej czarne oczy spoczywały na jego twarzy, a rozchylone usta malinowe świadczyły, z jakiem słucha zajęciem. Teraz ani spojrzała. Wówczas bywało, gdy grywał na teorbanie, ona i słuchała i patrzyła, a jemu aż serce tajało. I dziw nad dziwy: on przecie teraz jej pan, on ją wziął zbrojną ręką, ona jego branka, jego niewolnica —może jej rozkazywać, a przecie wówczas czuł się i bliższym jej i równiejszym jej stanem — Kurcewicze byli jego bracia, więc ona ich siostra,

była mu nietylko zazulą, sokołem, najmilszą czarnobrewą, ale jakby i krewniaczką. A teraz siedzi przed nim pani dumna, chmurna, milcząca, niemiłosierna. Ej, gniew w nim wrze. Pokazałby on jej, co to kozaka poniewierać, ale on tę niemiłosierną panią kocha — krew by za nią wytoczył, a ile razy gniew go za pierś pochwyci — to jakby jakaś niewidzialna ręka chwyta go za czub, jakiś głos huknie w ucho: stój! Zresztą, ot, wybuchał już jak płomień i potem łbem tłukł o ziemię. Tyle było z tego. Więc wije się kozaczysko, bo czuje, że on jej cięży w tej izbie. Niechby się uśmiechnęła, słowo dobre dała — to padłby jej do nóg i pojechał do czorta, by całą swoją zgryzotę, gniew, poniewierkę w lackiej krwi utopić. A tu on jak niewolnik przed tą kniaziówną. Żeby to on jej dawniej nie znał, żeby to była laszka wzięta z pierwszego szlacheckiego dworu, miałby więcej śmiałości — ale to kniaziówna Helena, o którą on się Kurcewiczom kłaniał, za którą i Rozłogi i wszystko co miał, chciał oddać. Tem mu większy wstyd chłopem być przy niej, tem mniej do niej śmiały.

Czas upływa, z przed chaty dochodzi szmer rozmów mołojców, którzy pewnie już na kulba-

kach siedzą i na atamana czekają, a ataman w męce. Jasny płomień łuczywa pada na jego twarz, na bogaty kontusz i na teorban — a ona, żeby choć spojrzała! Atamanowi i gorzko, i gniewno, i tęskno, i głupio. Chciałby się pożegnać czule, a boi się tego pożegnania, że nie będzie takie, jakiegoby z duszy pragnął, boi się, że odjedzie z goryczą, z gniewem, z bólem.

Ej, żeby to nie była kniaziówna Helena, kniaziówna Helena nożem pchnięta, śmiercią z własnej ręki grożąca, a miła, a miła! im okrutniejsza i dumniejsza, tem milsza!..

Wtem koń zarżał za oknem.

Watażka zebrał odwagę.

— Kniaziówno, — rzekł — już mnie czas w drogę.

Helena milczała.

— A ty mnie nie powiesz: z Bogiem?

— Jedź waćpan z Bogiem! — rzekła poważnie.

Kozakowi ścisnęło się serce: powiedziała to czego chciał, ale on chciał inaczej.

— No, wiem ja — rzekł — że ty na mnie gniewna, że ty mnie nienawidzisz, ale to ci powiem, że inny gorszyby był dla ciebie ode-

mnie. Ja cię tu przywiózł, bo nie mógł inaczej, ale co ja ci złego zrobił? Czy nie obchodził się z tobą jak się godziło, jak z korolewną. Sama powiedz. Czy to ja już taki zbój, że ty mnie dobrego słowa nie dasz? A przecie ty w mojej mocy.

— W Bożej jestem mocy — rzekła z tąż samą jak i poprzednio powagą — ale że waćpan się przy mnie hamujesz — dziękuję i za to.

— To już pojadę, chociaż z takiem słowem. Może pożałujesz, może zatęsknisz!

Helena milczała.

— Żal cię tu samą zostawiać — mówił Bohun — żal odjeżdzać, ale mus. Lżej-by było, żeby ty się uśmiechnęła, żeby krzyżyk ze szczerego serca dała. Co ja mam uczynić, żeby cię przejednać?

— Wróć mi wolność, a Bóg ci wszystko odpuści i ja ci odpuszczę i błogosławić ci będę.

— No może jeszcze będziesz—rzekł kozak— może ty jeszcze pożałujesz, żeś taka była dla mnie sroga.

Bohun chciał kupić chwilę pożegnania, choćby za pół-obietnicę, której dotrzymać nie my-

ślał — i dokazał swego, bo światło nadziei błysnęło w oczach Heleny i surowość jej twarzy znikła. — Splotła dłonie przy piersiach i utkwiła w niego wzrok jasny.

— Byłżebyś ty...

— No, ne znaju — rzekł cicho kozak, bo go i wstyd i litość chwyciły jednocześnie za gardło. Teraz ja nie mogę, nie mogę — orda w dzikich polach leży, czambuły wszędy chodzą — od Raszkowa dobruccy tatarzy idą — ne mohu, bo strach, ale jak wrócę.... Ja przy tobie detyna. Ty ze mną co chcesz zrobisz. Ne znaju... ne znaju....!

— Niech cię Bóg natchnie, niech-że cię Święta Przeczysta natchnie... Jedź z Bogiem.

I wyciągnęła ku niemu rękę. Bohun skoczył i wpił w nią wargi — nagle podniósł głowę, napotkał jej wzrok poważny — i rękę puścił. Natomiast cofając się ku drzwiom, bił pokłony w pas po kozacku, bił jeszcze we drzwiach, i wreszcie zniknął za kotarą.

Wkrótce przez okna doszedł żywszy gwar rozmowy, brzęk broni, a później słowa pieśni rołamanej na kilkanaście głosów:

Bude sława sławna
Pomiż kozakami,
Pomiż druhami,
Na mnohaja lita,
Do konca wika....

Głosy i tętęt oddalały się i cichły coraz bardziej.

ROZDZIAŁ IV.

— Cud jawny już pan Bóg raz nad nią okazał — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego i Podbipięty, siedząc w kwaterze Skrzetuskiego — cud jawny, mówię, że mi ją pozwolił z tych rąk sobaczych wyrwać i przez całą drogę ustrzedz — ufajmy, że się jeszcze nad nią i nad nami zmiłuje. Byle tylko żywa była. A tak mi coś szepce, że on ją znowu porwał. Bo uważcie waszmościowie: przecie, jako nam języki powiadały, on po Pułjanie przy Krzywonosie drugim sprawcą został — żeby go dyabli sprawili! — a więc przy wzięciu Baru musiał być.

— Mógł jej nie odnaleść w owym tłumie nieszczęsnych — przecie tam na dwadzieścia tysięcy ludu wycięto — rzecze pan Wołodyjowski.

— To jego waść nie znasz. A jabym przysiągł, iż on wiedział, że ona jest w Barze. Owóż nie może być inaczej, tylko on ją z rzezi salwował i gdzieś wywiózł.

— Nie wielką nam waść pociechę powiadasz, bo na miejscu pana Skrzetuskiego wolałbym, żeby zginęła, niż żeby miała w jego plugawych rękach zostawać.

— I to nie pociecha, bo jeśli zginęła, to pohańbiona...

— Desperacya! — rzecze Wołodyjowski.

— Och, desperacya! — powtórzył pan Longinus.

Zagłoba począł szarpać wąs i brodę, nakoniec wybuchnął:

— A żeby ich parchy zjadły, cały ten ród arcypieski! żeby z ich bebechów poganie cięciwy pokręcili. Bóg stworzył wszystkie nacye, ale ich dyabeł, takich synów, sodomitów! Bodaj im wszystkie ich maciory zjałowiały!

— Nie znałem ja tej słodkiej panny — mówił smutnie pan Wołodyjowski — ale wolałbym, żeby mnie samego nieszczęście pościgło

— Raz ja ją w życiu widziałem, ale gdy ją wspomnę, z żalu żyć hadko! — rzekł pan Longinus.

— To wam — wołał pan Zagłoba — a cóż mnie, którym ją ojcowskim afektem umiłował— i z toni takiej wyprowadził — cóż mnie?

— A cóż panu Skrzetuskiemu? — pytał Wołodyjowski.

I tak desperowali rycerze, a następnie pogrążyli się w milczenie.

Pierwszy ocknął się pan Zagłoba.

— Zali już niema rady? — spytał.

— Jeśli rady niema, to obowiązek jest pomścić — odpowiedział Wołodyjowski.

— Oby Bóg dał prędzej walną bitwę — westchnął pan Longinus. Mówią o tatarach, że już się przeprawili i w polach koszem zapadli.

Na to pan Zagłoba:

— Nie może być, abyśmy ją niebogę tak zostawili, niczego dla jej ratunku nie przedsiębiorąc. Dość ja już się po świecie starych kości natłukłem, lepiejby mi teraz gdzie w spokoju, w jakiej piekarni, dla ciepła legiwać — ale dla tej niebogi pójdę jeszcze choćby do Stambułu, choćbym na nowo chłopską siermięgę miał włożyć i teorban wziąść, na któren bez abominacyi spojrzeć nie mogę.

— Waćpan tak w fortele obfity, wymyślże co?—rzekł pan Podbipięta.

— Siła mnie już sposobów przez głowę przechodziło. Żeby choć połowę takich miał książę Dominik, toby już Chmielnicki wypatroszony, za zadnie nogi na szubienicy wisiał. Mówiłem już o tem i ze Skrzetuskim, ale z nim się teraz nie można niczego dogadać. Boleść się w nim zapiekła i nurtuje go gorzej choroby. Wy jego pilnujcie, żeby mu się rozum nie pomięszał. Często się to trafia, że od wielkich smutków mens poczyna robić jak wino, aż w końcu skiśnie.

— Bywa to, bywa! — rzekł pan Longinus.

Pan Wołodyjowski poruszył się niecierpliwie i spytał.

— Jakież tedy są waści sposoby.

— Moje sposoby? Owóż naprzód musimy się dowiedzieć, czy ona nieboga najmilsza — niech ją anieli strzegą od wszystkiego złego— żywa jeszcze, a dowiedzieć się możem dwojakim sposobem: albo znajdziemy między książęcemi kozakami ludzi wiernych i pewnych, którzy się podejmą niby to do kozaków uciec, pomieszać się między bohunowemi ludźmi i od nich czegoś się dowiedzieć...

— Ja mam dragonów rusinów! — przerwał Wołodyjowski — ja takich ludzi znajdę.

— Czekaj waść... albo złapać języka z tych hultajów, którzy Bar brali, czy czego nie wiedzą. Wszyscy oni patrzą w Bohuna jak w tęczę, że to im się jego dyabelska fantazya podoba: pieśni o nim śpiewają, żeby im gardziele poropiały! — i jeden drugiemu bają o tem co zrobił i o tem czego nie zrobił. Jeśli on naszą niebogę porwał, to się przed niemi nie ukryło

— To można i ludzi posłać swoją drogą i o języka się starać swoją drogą — zauważył pan Podbipięta.

— Trafiłeś waść w sedno. Jeśli się dowiemy, że żyje — to jest najgłówniejsza rzecz. Wtedy, skoro waszmościowie szczerem sercem Skrzetuskiemu pomagać chcecie, to oddacie się pod moją komendę, bo mam najwięcej experyencyi. Poprzebieramy się za chłopów i postaramy się dowiedzieć, gdzie on ją ukrył—a jak raz będziem wiedzieć, to już głowa moja w tem, że jej dostaniemy. Najwięcej ważę ja i Skrzetuski, bo Bohun nas zna, a jakby poznał—no—toby nas matki rodzone potem nie poznały — ale waszmościów obydwóch nie widział.

— Mnie widział — rzekł pan Podbipięta, ale mniejsza z tem.

— Może też jego pan Bóg poda w naszę ręce! — zawołał pan Wołodyjowski.

— Już ja go tam nie chcę widzieć — mówił dalej Zagłoba. Niech tam kat na niego patrzy. Trzeba ostrożnie poczynać, by całej imprezy nie popsować. Nie może to być, aby on jeden o jej ukryciu wiedział — a już to ręczę waszmościom, że bezpieczniej kogo innego się pytać.

— Może też ludzie nasi wysłani się dowiedzą. Jeśli tylko książę pozwoli, wybiorę pewnych i wyślę choćby jutro.

— Książę pozwoli, ale czy się dowiedzą, wątpię. Posłuchajcie waszmościowie: przychodził mnie do głowy i drugi sposób, oto, abyśmy zamiast ludzi wysyłać, albo języków łapać, sami poprzebierali się po chłopsku i ruszyli nie mieszkając.

— O, nie może to być! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Czemu nie może być?

— To chyba waść służby wojennej nie znasz. Gdy chorągwie nemine excepto stawają, to jest święta rzecz. Choćby ojciec i matka konali, to towarzysz ci nie pójdzie wtedy permissyi odjazdu prosić, bo przed bitwą to jest naj-

większy dyshonor, jakiego się żołnierz dopuścić może. Po bitwie walnej, gdy nieprzyjaciel rozproszon, można, ale nie przedtem. I uważ waść: Skrzetuskiemu pierwszemu chciało się zrywać i lecić i ratować, a ani pary nie puścił. Reputacyą on już ma, książę go kocha, a ani się odezwał, bo swój obowiązek zna. To jest, widzisz waszmość, służba publiczna, a tamto prywatna. Nie wiem, jak tam gdzieindziej, choć mniemam, że wszędzie tak samo, ale u księcia naszego wojewody nie bywała rzecz permissya przed bitwą, jeszcze u oficerów! Choćby się też i dusza podarła Skrzetuskiemu, nie poszedłby z taką propozycyą do księcia.

— Rzymianin on jest i rygorysta—wiem—mówił pan Zagłoba, ale żeby tak kto księciu podszepnął, możeby jemu i waszmościom z własnej woli dał permissyę.

— Ani to jemu w umyśle nie postoi. Książę całą Rzeczpospolitą ma na głowie. Cóż waćpan myślisz, teraz tu najważniejsze sprawy się walą, całego narodu tyczące — żeby on się czyjąś prywatą zajmował. A choćby też, co jest niepodobne, nieproszony permissyę dał, tedy, jak Bóg na niebie, nikt by z nas teraz

z obozu nie wyruszył, bo i my też pierwsze służby ojczyźnie nieszczęsnej, nie sobie powinni.

— Wiem ci ja o tem, wiem i służbę z dawnych czasów znam, dlatego też powiedziałem waszmości, że ten sposób przeszedł mi jeno przez głowę, ale nie powiedziałem, że w niej siedzi. Zresztą, prawdę rzekłszy, póki potęga hultajska stoi nienaruszona, nie wielebyśmy mogli wskórać, ale gdy będą pobici, ścigani, gdy własne gardła będą tylko ratować, wtedy i zapuścić się śmiało między nich możemy, i łatwiej wieści z nich wydobyć. Oby tylko jaknajprędzej reszta wojska nadciągnęła, bo inaczej na śmierć się chyba pod tym Czołhańskim kamieniem zamartwiemy. Żeby tak przy naszym księciu była komenda, już byśmy ruszali, ale książę Dominik często gęsto widać popasa, kiedy go dotąd niema.

— We trzech dniach już się go spodziewają.

— Dajże go Boże jaknajprędzej. Wszakże pan podczaszy koronny dziś nadciąga?

— Tak jest.

W tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Skrzetuski.

Rysy jego, rzekłbyś boleść z kamienia wykowała, taki bił od nich chłód i spokój.

Dziwno było patrzyć na tę twarz młodą, a tak surową i poważną, jakby na niej uśmiech nigdy nie postał — i zgadłeś łatwo, że gdy ją śmierć zetnie, wiele w niej już nie zmieni. Broda wyrosła panu Janowi do wpół piersi, w której to brodzie, śród czarnego jak krucze pióra włosa, wiły się tu i owdzie srebrne nitki.

Towarzysze i wierni przyjaciele odgadywali w nim raczej boleść, bo jej nie okazywał. Wreszcie był przytomny, na pozór spokojny, w służbie swej żołnierskiej jeszcze prawie niż zwykle pilniejszy i cały blizką wojną zajęty.

— Mówiliśmy tu o nieszczęściu waszmości, które zarazem jest i nasze — rzekł pan Zagłoba — gdyż Bóg świadkiem! niczem się pocieszyć nie możemy. Ale jałowy byłby to sentyment, gdybyśmy waćpanu łzy jeno wylewać pomagali, przeto postanowiliśmy i krew wylać, by oną niebogę, jeśli chodzi jeszcze po ziemi, z niewoli wyrwać.

— Bóg zapłać — rzecze pan Skrzetuski.

— Pójdziemy z tobą choćby do obozu Chmielnickiego — mówił pan Wołodyjowski poglądając niespokojnie na przyjaciela.

— Bóg zapłać — powtórzył pan Jan.

— Wiemy — mówił Zagłoba — żeś waćpan sobie poprzysiągł szukać jej żywej czy martwej, przeto gotowiśmy choćby dziś...

Skrzetuski siadłszy na ławie oczy wbił w ziemię i nie odrzekł nic — aż złość porwała pana Zagłobę. Zaliby on miał zamiar jej zaniechać? — pomyślał. — Jeśli tak, niech-że mu Bóg sekunduje! Niemasz widzę ani wdzięczności, ani pamięci na świecie. Ale znajdą się tacy, którzy będą ją jeszcze ratować, chybabym wprzód ostatnią parę wypuścił.

W izbie zapadło milczenie przerywane tylko westchnieniami pana Longina. Tymczasem mały Wołodyjowski zbliżył się do Skrzetuskiego i trącił go w ramię.

— Zkąd wracasz? — rzekł.

— Od księcia.

— I co?

— Wychodzę na noc podjazdem.

— Daleko?

— Aż pod Jarmolińce, jeśli będzie wolna droga.

Wołodyjowski spojrzał na Zagłobę i zrozumieli się od razu.

— To ku Barowi — mruknął Zagłoba.

— Pójdziemy z tobą.

— Musisz iść po permissyą i spytać, jeśli książę innej ci roboty nie przeznaczył.

— To chodźmy razem. Mam też i o coś innego spytać.

— I my z wami — rzekł Zagłoba.

Wstali i poszli. Kwatera książęca była dość daleko, na drugim końcu obozu. W przedniej izbie zastali też pełno oficerów z pod różnych chorągwi, bo wojska zewsząd nadciągały do Czołhańskiego Kamienia, wszyscy zaś biegli służby swoje księciu polecić. Pan Wołodyjowski musiał dość długo czekać, nim wraz z panem Podbipiętą przed obliczem pańskiem stanąć mogli, ale zato książę odrazu pozwolił i samym jechać i dragonów-rusinów kilku wysłać, którzyby zmyśliwszy ucieczkę z obozu, poszli do bohunowych kozaków i tam się o kniaziównę wypytywali. Do Wołodyjowskiego zaś rzekł:

— Sam ja funkcye różne Skrzetuskiemu wynajduję, bo widzę, że się boleść w nim zamknęła i że go stoczy, a szkoda mi go niewypowiedziana. Nic-że on wam o niej nie mówił?

— Mało co. W pierwszej chwili zerwał się, żeby między kozaków na oślep iść, ale przypomniał sobie, że to teraz chorągwie nemine

excepto stoją i żeśmy na ojczyzny ordynansie, którą przed wszystkiem ratować trzeba i dlatego u Waszej K. Mości wcale nie był. Bóg jeden wie, co się w nim dzieje.

— I doświadcza go też ciężko. Czuwaj-że wasze nad nim, bo widzę, żeś mu wiernym przyjacielem.

Pan Wołodyjowski skłonił się nizko i wyszedł, bo w tej chwili wszedł do księcia Wojewoda kijowski, z panem starostą Stobnickim, z panem Denhofem, starostą Sokalskim — i z kilku innymi dygnitarzami wojskowymi.

— I cóż? — spytał go Skrzetuski.

— Jadę z tobą, jeno wpierw muszę pójść do swojej chorągwi, bo mam kilku ludzi gdzieś wysłać.

— Chodźmy razem.

Wyszli, a z niemi pan Podbipięta, Zagłoba i stary Zaćwilichowski, który szedł do swojej chorągwi. Niedaleko namiotów chorągwi dragońskiej Wołodyjowskiego, spotkali pana Łaszcza idącego, a raczej taczającego się na czele kilkunasty szlachty, gdyż i on i towarzysze byli zupełnie pijani. Na ten widok pan Zagłoba westchnął. Pokochali się oni bowiem jeszcze pod Konstantynowem z panem strażnikiem ko-

ronnym, z tej przyczyny, iż pod pewnym względem mieli natury tak podobne, jak dwie krople wody. Pan Łaszcz bowiem, choć rycerz straszliwy, dla pogaństwa jak mało kto groźny, był zarazem przesławnym hulaką, ucztownikiem, kosterą, któren czas od bitew, modlitew, zajazdów i zabijatyk wolny, lubił nadewszystko spędzać w kole takich ludzi, jak pan Zagłoba, pić na umor i krotofil słuchać. Byłto warchoł na wielką rękę, który sam jeden tyle wzniecał niepokoju, tyle razy przeciw prawu wykroczył, że w każdem innem państwie byłby dawno głową nałożył. Ciążyła też na nim nie jedna kondemnata, ale on nawet w czasie pokoju niewiele sobie z nich robił, a teraz w czasie wojny tembardziej wszystko poszło w zapomnienie. Z księciem połączył się był jeszcze pod Rosołowcami i nie małe usługi pod Konstantynowem oddał, ale od chwili odpoczynku w Zbarażu stał się prawie nieznośny przez hałasy, które wzniecał. Swoją drogą niktby nie zliczył i nie spisał, ile pan Zagłoba wina u niego wypił, ile się nagadał i naopowiadał z wielką gospodarza uciechą, któren też go codziennie zapraszał.

Ale od wieści o wzięciu Baru pan Zagłoba spospępniał, stracił humor, werwę i więcej pana strażnika nie odwiedzał. Myślał nawet pan Łaszcz, że gdzieś od wojska ów jowialny szlachcic odjechał, gdy nagle zobaczył go teraz przed sobą.

Wyciągnął tedy ku niemu ręce i rzekł:

— Witam-że waćpana. Czemu to do mnie nie zajdziesz? co porabiasz?

— Panu Skrzetuskiemu towarzyszę — odparł posępnie szlachcic.

Pan strażnik nie lubił Skrzetuskiego za powagę i przezywał go sensatem, zaś o nieszczęściu jego wiedział doskonale, bo był obecny na owej uczcie w Zbarażu, w czasie której wieść przyszła o wzięciu Baru. Ale jako z natury człek wyuzdany, a do tego w tej chwili spity, nie uszanował boleści ludzkiej i chwyciwszy porucznika za guz od żupana — spytał:

— To acpan za panną płaczesz? — a gładka była — co?

— Puść mnie waszmość pan!—rzekł Skrzetuski.

— Czekaj.

— Za służbą idąc, nie mogę być rozkazom J. M. pana powolny.

— Czekaj! — mówił Łaszcz z uporem pijanego człowieka. Tobie służba, nie mnie. Mnie tu nikt nic do rozkazania niema.

Poczem zniżywszy głos, powtórzył pytanie:

— A gładka była — co?

Brwi porucznika zmarszczyły się.

— Tedy powiem waszmości panu, że bolączki lepiejby nie tykać.

— Nie tykać? Nie bój się. Jeśli była gładka, to żyje.

Twarz Skrzetuskiego powlokła się śmiertelną bladością, ale się pohamował i rzekł:

— Mości panie... bym nie zapomniał z kim mówię...

Łaszcz wytrzeszczył oczy.

— Co to? grozisz aspan? aspan mnie?... dla jednej gamratki.

— Ruszaj-że mości strażniku w swoją drogę — huknął, trzęsąc się ze złości stary Zaćwilichowski.

— A wy chłystki, szaraki, sługusy! — wrzeszczał strażnik. Mości panowie do szabel!

I wydobywszy swoją, skoczył nią do Skrzetuskiego, ale w temże mgnieniu oka, żelazo świstnęło w ręku pana Jana i szabla strażnika furknęła jak ptak w powietrzu, on sam zaś

zachwiał się z rozmachu i padł jak długi na ziemię.

Pan Skrzetuski nie dobijał, jeno stał blady jak trup, jakby odurzony, a tymczasem zerwał się tumult. Z jednej strony skoczyli żołnierze strażnikowi, z drugiej dragoni Wołodyjowskiego sypnęli się jak pszczoły z ula. Rozległy się krzyki: „bij! bij!“ Wielu nadlatywało, nie wiedząc o co idzie. Szable poczęły szczękać, tumult lada chwila mógł zmienić się w walną bitwę ogólną. Na szczęście towarzysze Łaszcza, widząc, iż coraz przybywało wiśniowiecczyków, wytrzeźwiawszy ze strachu, porwali pana strażnika i poczęli z nim uchodzić.

I z pewnością, gdyby pan strażnik miał do czynienia z innem, mniej karnem wojskiem, byliby go roznieśli na szablach w drobne szmaty, ale stary Zaćwilichowski, oprzytomniawszy, krzyknął tylko „stój!“ i szable schowały się do pochew.

Nie mniej zawrzało w całym obozie, a echo tumultu doszło do uszu książęcych, zwłaszcza iż pan Kuszel, będący na służbie, wpadł do izby, w której książę z wojewodą kijowskim, ze starostą stobnickim i panem Denhofem obradował — i krzyknął:

— Mości książę, żołnierze szablami się siekają!

W tej chwili pan strażnik koronny blady i bezprzytomny z wściekłości, ale już trzeźwy, wleciał jak bomba.

— Mości książę, sprawiedliwości! — wołał. W tym obozie jak u Chmielnickiego, ni na krew, ni na godność względu nie mają! Szablami dygnitarzy koronnych sieką. Jeśli mi W. K. M. sprawiedliwości nie wymierzysz, na gardło nie skażesz, to ja sam sobie ją wymierzę.

Książę porwał się z za stołu.

— Co się stało? kto waszmości pana napastował.

— Twój oficer — Skrzetuski.

Prawdziwe zdumienie odbiło się na twarzy księcia.

— Skrzetuski?

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Zaćwilichowski.

— Mości książę, ja byłem świadkiem! — rzekł.

— Ja tu nie racye dawać przyszedłem, jeno kary żądać — wołał Łaszcz.

Książę zwrócił się ku niemu i utkwił w niego oczy:

— Powoli, powoli!—rzekł z cicha i z przyciskiem.

Było coś tak strasznego w jego oczach i przyciszonym głosie, że strażnik choć słynny z zuchwałości, zamilkł nagle, jakby mowę stracił — a panowie aż przybledli.

— Mów waść! — rzekł książę do Zaćwilichowskiego.

Zaćwilichowski opowiedział rzecz całą, jak nieszlachetnym i niegodnym, nietylko dygnitarza, ale i szlachcica, sentymentem powodowany pan strażnik, począł przeciw boleści pana Skrzetuskiego bluźnić, a następnie z szablą się na niego rzucił; jaką moderacyą, jego wiekowi prawdziwie niezwyczajną, okazał namiestnik, tylko na wytrąceniu napastnikowi oręża po przestając — nakoniec staruszek tak skończył:

— A jako mnie Wasza książęcą mość zna, iż do siedmdziesięciu lat łgarstwo warg moich nie skalało i póki żyw będę nie skala, tak pod przysięgą jednego słowa w relacyi mojej zmienić nie mogę.

Książę wiedział, że słowo Zaćwilichowskiego złotu równe, a przytem zbyt dobrze znał Łaszcza. Ale na razie nie odrzekł nic, jeno wziął pióro i począł pisać.

Skończywszy spojrzał na pana strażnika.

— Sprawiedliwość będzie waszmości panu wymierzona — rzekł.

Pan strażnik usta otworzył, chciał coś mówić — ale słowa mu jakoś niedopisały, więc wsparł się w bok, skłonił się i wyszedł dumnie z izby.

— Żeleński — rzekł książę — oddasz to pismo panu Skrzetuskiemu.

Pan Wołodyjowski, który namiestnika nie odstępował, strapił się nieco, widząc wchodzącego książęcego pacholika, był bowiem pewny, że wypadnie im przed księciem zaraz się stawić. Tymczasem pacholik zostawił list i nic nie mówiąc wyszedł, a Skrzetuski przeczytawszy go, podał przyjacielowi.

— Czytaj — rzekł.

Pan Wołodyjowski spojrzał i wykrzyknął.

— Nominacya na porucznika!

I chwyciwszy za szyję Skrzetuskiego, ucałował oba jego policzki.

Pełne porucznikowstwo w usarskiej chorągwi było niemal dygnitaryatem wojskowym. Tej, w której służył pan Skrzetuski, rotmistrzem był sam książę, a porucznikiem nominalnym pan Suffczyński z Sieńczy, człowiek już

stary i dawno z czynnej służby wybyły. Pan Jan oddawna sprawował de facto obowiązki i jednego i drugiego, co zresztą w podobnych chorągwiach, w których dwa pierwsze stopnie bywały nieraz tytularnemi tylko godnościami, przytrafiało się często. Rotmistrzem królewskiej chorągwi bywał sam król, prymasowskiej prymas, porucznikami w obydwóch wysocy dygnitarze dworscy — sprawowali zaś chorągwie istotnie namiestnicy, których z tego powodu w zwykłej mowie porucznikami i pułkownikami zwano. Takim faktycznym porucznikiem vel pułkownikiem, był pan Jan. Ale między faktycznem sprawowaniem urzędu, między godnością w potocznej mowie dawaną a istotną, była jednak wielka różnica. Obecnie, na mocy nominacyi, pan Skrzetuski stawał się jednym z pierwszych oficerów księcia wojewody ruskiego.

Ale gdy przyjaciele rozpływali się z radości, winszując mu nowego zaszczytu, twarz jego nie zmieniła się ani na chwilę, i pozostała tak samo surową i kamienną, bo już nie było takich godności a dostojeństw na świecie, któreby mogły ją rozjaśnić.

Wstał jednak i poszedł dziękować księciu, a tymczasem mały Wołodyjowski chodził po jego kwaterze, zacierając ręce.

— No, no! — mówił, — porucznik nominowany w usarskiej chorągwi! W takich młodych latach jeszcze się to chyba nikomu nie zdarzyło.

— Żeby mu Bóg wrócił tylko szczęście! — rzekł Zagłoba.

— Ot, co jest! ot, co jest! Uważaliście, że ani drgnął.

— Wolałby się on tego zrzec — rzekł pan Longinus.

— Mości panie — westchnął Zagłoba — cóż dziwnego! Jabym oto te moje pięć palców za nią oddał, chociażem niemi chorągiew zdobył.

— Tak to, tak!

— Ale to pan Suffczyński musiał umrzeć?— zauważył Wołodyjowski.

— Pewnie że umarł.

— Kto też namiestnictwo weźmie? Chorąży młodzik i dopiero od Konstantynowa funkcyę sprawuje.

Pytanie to pozostało nierozstrzygnięte — ale odpowiedź na nie przyniósł z powrotem sam porucznik Skrzetuski.

— Mości panie,—rzekł do pana Podbipięty— książę mianował waści namiestnikiem.

— O Boże! Boże! — jęknął pan Longinus, składając jak do modlitwy ręce.

— Tak samo mógłby jego inflancką kobyłę mianować — mruknął Zagłoba.

— No, a podjazd? — spytał pan Wołodyjowski.

— Jedziemy nie mieszkając — odpowiedział pan Skrzetuski.

— Siła kazał książę ludzi wziąść?

— Jedną kozacką, drugą wołoską chorągiew, razem pięćset ludzi.

— Hej, to wyprawa, nie podjazd, ale kiedy tak, to czas nam w drogę.

— W drogę, w drogę! — powtórzył pan Zagłoba. Może też Bóg nam dopomoże, że wieści jakowej zasięgniem.

W dwie godziny później, równo z zachodem słońca, czterej przyjaciele wyjeżdżali z Czołhańskiego Kamienia, ku południowi, prawie zaś jednocześnie opuszczał obóz wraz ze swemi ludźmi pan strażnik koronny. Patrzyło na ten odjazd mnóstwo rycerstwa z pod różnych chorągwi, nie szczędząc okrzyków i urągań oficerowie cisnęli się koło pana Kuszla, któren opo-

wiadał, z jakich przyczyn pan strażnik został wypędzony i jak się to odbyło.

— Ja mu nosiłem rozkaz księcia — mówił pan Kuszel i wierzajcie waszmościowie, iż periculosa to była misya, bo gdy go wyczytał, począł tak ryczyć, jak wół, gdy go żelazem cechują. Na mnie się też do nadziaka porwał, dziw, iż nie uderzył, ale zdaje się, iż przez okno ujrzał niemców pana Koryckiego, otaczających kwaterę i moich dragonów z bandoletami w ręku. Dopiero wziął krzyczeć: „Dobrze! dobrze! odejdę kiedy mnie wypędzają! Pójdę do księcia Dominika, któren mnie wdzięczniej przyjmie! Nie będę (prawi) z dziadami służył, ale się pomszczę (krzyczał) jakem Łaszcz! jakem Łaszcz! — i z tego chłystka (prawi) muszę mieć satysfakcyę!!“ Myślałem, że go jad zaleje— a stół to dziobał nadziakiem ze złości raz przy razie. I powiem waszmościom, żem nie jest pewien, czy się co złego panu Skrzetuskiemu nie przytrafi, bo ze strażnikiem niema żartów. Zawzięty to jest człek i dumny, któren jeszcze żadnej urazy płazem nie puścił, a odważny i przytem dygnitarz.

— Cóż się zaś ma Skrzetuskiemu trafić sub tutela księcia pana — rzekł jeden z oficerów.

I pan strażnik, choć na wszystko gotowy, będzie się rachował z taką ręką.

Tymczasem porucznik, nie wiedząc nic o ślubach, jakie przeciw niemu pan strażnik czynił, oddalał się coraz bardziej od obozu na czele swego oddziału, kierując się ku Ożygowcom w stronę Bohu i Medwiedówki. Chociaż już wrzesień powarzył liście na drzewach, noc była pogodna i ciepła jak w lipcu, bo taki to już był cały ów rok, w którym prawie nie było zimy, a wiosną zakwitło wszystko już wówczas, gdy przeszłych lat legiwał jeszcze głęboki śnieg na stepach. Po dość mokrem lecie, pierwsze miesiące jesieni nastały suche, a łagodne, o bladych dniach i widnych księżycowych nocach. Jechali tedy po łatwej drodze, nie strażując zbytecznie, bo byli jeszcze zbyt blizko obozu, aby jaki napad miał grozić — jechali żwawo: namiestnik z kilkunastoma końmi na przedzie, a za nim Wołodyjowski, Zagłoba i pan Longinus.

— Obaczcie-no waszmościowie, jako się światło miesiąca kładzie na owem wzgórzu — szeptał pan Zagłoba — przysiągłbyś, że dzień. Mówią, że tylko w czasie wojen bywają takie noce, aby dusze, wyszłe z ciał, łbów sobie nie

rozbijały po ciemku o drzewa, jako wróble w stodole o krokwie; i łatwiej drogę znalazły. Dziś też jest piątek, dzień Zbawiciela, w którym zjadliwe humory z ziemi nie wychodzą i złe moce nie mają przystępu do człowieka. Czuję, że mi lżej jakoś i nadzieja we mnie wstępuje.

— Żeśmy to już przecie wyjechali i jakowyś ratunek przedsiębierzem — to grunt! — rzecze Wołodyjowski.

— Najgorzej to w umartwieniu na miejscu siedzieć, — mówił dalej Zagłoba — gdy na koń siędziesz, zaraz ci desperacya od trzęsienia się coraz niżej zlatuje, aż ją w końcu i zgoła wytrzęsiesz.

— Nie wierzę ja — szepnął Wołodyjowski — aby tak wszystko można wytrząść; — exemplum: affekt, któren się niby kleszcz w serce wpija.

— Gdy jest szczery — rzecze pan Longinus — to choćbyś się z nim, jako z niedźwiedziem borykał, zmoże cię.

To rzekłszy, pan Longinus ulżył wezbranej piersi westchnieniem, podobnem do sapnięcia miecha kowalskiego, zaś mały Wołodyjowski podniósł oczy ku niebu, jakby szukał między

gwiazdami tej, która księżniczce Barbarze świeciła.

Konie poczęły parskać w całej chorągwi, a pocztowi odpowiadali im: „zdrów, zdrów!“ — potem uciszyło się wszystko, aż jakiś tęskny głos począł śpiewać w tylnych szeregach:

„Jedziesz na wojnę, nieboże,
„Jedziesz na wojnę!
„Noce ci będą na dworze,
„A dzionki znojne...
. . . .

— Starzy żołnierze mówią, że konie zawsze prychają na dobrą wróżbę, co mnie i ojciec nieboszczyk jeszcze powiadał, — rzekł Wołodyjowski.

— Coś mnie jakoby w ucho szepcze, że nie napróżno jedziemy — odpowiedział Zagłoba.

— Dajże Bóg, aby i porucznikowi jakowaś otucha w serce wstąpiła — westchnął pan Longinus.

Zagłoba począł głową kiwać i kręcić, jak człowiek, któren z jakąś myślą się nie może uporać, a nakoniec ozwał się:

— Całkiem mnie co innego w głowie siedzi i muszę się już chyba przed waćpanami z tej myśli spuścić, gdyż mi jest wcale nieznośna: oto, czyście waściowie nie zauważyli,

że od niejakiego czasu Skrzetuski—nie wiem— może dysymiluje — ale taki jest, jakby najmniej z nas wszystkich o salwowaniu onej niebogi myślał.

— Gdzie zaś — odpowiedział Wołodyjowski—humor to tylko u niego taki, aby to nic nikomu nie wyznać. Nigdy on nie był inny.

— To swoją drogą, ale jeno sobie waszmość przypomnij: gdyśmy mu nadzieję pokazowali — mówił: „Bóg zapłać!“ i mnie i waćpanu, tak negligenter, jakby o lada jaką sprawę chodziło — a Bóg widzi — czarnaby to była z jego strony niewdzięczność, bo co się ta niebogа za nim napłakała i natęskniła, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Na własne oczy to widziałem.

Wołodyjowski potrząsnął głową.

— Nie może to być, aby on jej zaniechał— rzekł—choć prawda, że pierwszym razem, gdy mu ją z Rozłogów ów dyabeł porwał, desperował, tak iżeśmy się o jego mentem obawiali, a teraz daleko więcej okazał upamiętania. Ale jeśli mu Bóg spokój w duszę wlał i siły dodał — to i lepiej. Jako szczerzy przyjaciele, powinniśmy się z tego cieszyć...

To rzekłszy, Wołodyjowski konia spiął i posunął się naprzód ku Skrzetuskiemu, a zaś Zagłoba jechał czas jakiś w milczeniu, wedle pana Podbipięty...

— Czy wasze nie tego mniemania, co i ja— że gdyby nie amory, siła złego nie stałaby się na świecie.

— Co komu Pan Bóg przeznaczył, to go i tak nie minie, — odparł litwin.

— A waćpan to nigdy g'rzeczy nie odpowiesz. To inna sprawa, a to inna. Przez cóż Troja zburzona? hę? Albo to i ta wojna nie o ryżą kosę? Zachciało się Chmielowi Czaplińskiej, czy też Czaplińskiemu Chmielnickiej, a my dla ich żądz grzesznych karki kręciemy.

— Bo to niepoczciwe amory, ale są i zacne, od których chwała Boża się przymnaża.

— Teraześ waćpan lepiej utrafił. A prędkoż sam w onej winnicy pracować poczniesz. Słyszałem, żeć szarfą na wojnę przewiązano.

— Braciaszku!... Braciaszku!...

— Ale trzy głowy na zawadzie stają—co?

— Ach! tak ono i jest!

— To ci powiem: machnij dobrze i utnij odrazu: Chmielnickiemu, Chanowi i Bohunowi.

— Żeby się to tylko chcieli ustawić!! —odrzekł rozrzewnionym głosem pan Longin, wznosząc ku niebu oczy.

Tymczasem Wołodyjowski jechał długo wedle Skrzetuskiego i spoglądał w milczeniu z pod chełmu na jego martwą twarz — aż wreszcie trącił strzemieniem w jego strzemię.

— Janie — rzekł — źle, że się zapamiętywasz.

— Ja się nie zapamiętywam, jeno się modlę — odpowiedział Skrzetuski.

— Święta to jest i chwalebna rzecz, aleś ty nie zakonnik, byś na samej modlitwie poprzestawał.

Pan Jan zwrócił zwolna swoją męczeńską twarz ku Wołodyjowskiemu i spytał głuchym, pełnym śmiertelnej rezygnacyi głosem:

— Powiedz-że Michale — co mnie pozostaje więcej jak habit?...

— Pozostaje ci ją ratować — odpowiedział Wołodyjowski.

— Tak też i uczynię — do ostatniego oddechu. Ale choćbym ją też i żywą odnalazł, zali to nie będzie zapóźno? Strzeż mnie Boże, bo o wszystkiem mogę myśleć, tylko nie o tem, strzeż Boże rozumu mojego! Już ja niczego wię-

cej nie pragnę, jeno wyrwać ją z tych rąk potępionych, a potem niech ona znajdzie taki przytułek, jakiego i ja będę szukał. Widać woli Bożej nie było... Daj mnie się modlić Michale, a krwawiącej rany nie tykaj...

Wołodyjowskiemu ścisnęło się serce; chciał jeszcze było pocieszać, o nadziei mówić, ale słowa nie chciały mu przejść przez gardło i jechali dalej w głuchem milczeniu — tylko wargi pana Skrzetuskiego poruszały się szybko w modlitwie, przez którą chciał widocznie myśli okropne odpędzić — a małego rycerza, gdy spojrzał przy świetle księżyca na tę twarz, aż strach zdjął, bo mu się wydało, że to jest zupełnie twarz mnicha, surowa, wynędzniała przez posty i umartwienia.

A wtem ów głos znowu zaczął śpiewać w tylnych szeregach:

„Znajdziesz po wojnie nieboże,
„Znajdziesz po wojnie,
„Pustki z powrotem w komorze,
„Ran w skórze hojnie.

ROZDZIAŁ V.

Pan Skrzetuski szedł ze swym podjazdem w ten sposób, że we dnie wypoczywał w lasach i jarach, pilnie rozstawiając straże, a nocami tylko posuwał się naprzód. Zbliżywszy się do jakiej wioski, zwykle otaczał ją tak, aby noga nie wyszła, brał żywność, paszę dla koni, a przedewszystkiem zbierał wieści o nieprzyjacielu, poczem wychodził, nie czyniąc ludziom nic złego, wyszedłszy zaś, zmieniał nagle drogę, aby nieprzyjaciel nie mógł się we wsi dowiedzieć, w którą podjazd udał się stronę. Celem wyprawy było dowiedzieć się, czy Krzywonos ze swemi czterdziestoma tysiącami ludzi oblega dotąd Kamieniec, czy też rzuciwszy bezowocne oblężenie, idzie w pomoc Chmielnickiemu, aby razem z nim stanąć do walnej rozprawy, a dalej, co robią dobruccy tatarzy?— Czy już Dniestr przeszli i połączyli się z Krzy-

wonosem — czy z tamtej strony jeszcze leżą. Ważne to były dla obozu polskiego wiadomości i regimentarze sami powinni się byli o nie starać, ale że nie przyszło im to, jako niedoświadczonym ludziom do głowy, przeto książę wojewoda ruski wziął na siebie ten ciężar. Jeżeliby bowiem pokazało się, że Krzywonos wraz z Białogrodzkiemi i Dobruckiemi hordami porzucił oblężenie niezdobytego Kamieńca i do Chmielnickiego dążył— tedy należało jaknajprędzej na tego ostatniego uderzać, zanimby do najwyższej potęgi nie wyrósł. Tymczasem generał-regimentarz, książę Dominik Zasławski-Ostrogski, nie śpieszył się i w chwili wyjazdu Skrzetuskiego dopiero za dwa, lub trzy dni spodziewano się go w obozie. Widocznie ucztował swym zwyczajem po drodze i miał się dobrze, a tymczasem mijała najlepsza pora złamania potęgi Chmielnickiego i książę Jeremi rozpaczał na myśl, że jeśli wojna tak dalej prowadzoną będzie, to nietylko Krzywonos i ordy zadniestrzańskie na czas do Chmielnickiego przybędą, ale i sam Chan na czele wszystkich sił perekopskich, nohajskich i azowskich.

Jakoż i były wieści w obozie, że Chan już Dniepr przebył i że w dwieście tysięcy koni dzień i noc na zachód dąży, a książę Dominik nie przybywał i nie przybywał.

Coraz też było prawdopodobniejszem, że wojska stojące pod Czołhańskim Kamieniem muszą stanąć do rozprawy z potęgą pięćkroć liczniejszą — i że w razie klęski regimentarzy, nic już nie przeszkodzi nieprzyjacielowi wtargnąć do serca Rzeczypospolitej. pod Kraków i Warszawę.

Krzywonos tém był niebezpieczniejszy, że na wypadek, gdyby regimentarze chcieli się posunąć w głąb Ukrainy, on idąc z pod Kamieńca wprost na północ, aż pod Konstantynów, mógł im zagrodzić odwrót, a w każdym razie wówczas byliby wzięci we dwa ognie. Przeto pan Skrzetuski postanowił nie tylko wywiedzieć się o Krzywonosie, ale go i powstrzymać. Przejęty ważnością swego zadania, od spełnienia którego los całego wojska w części zależał, ważył porucznik chętnie życie swoje i swoich żołnierzy; jednakowoż przedsięwzięcie owo i tak za szalone poczytywanem być by mogło, gdyby młody rycerz miał zamiar wstępnym bojem w pięćset ludzi powstrzymać

czterdziestotysięczną krzywonosową watahę, posiłkowaną przez białogrodzkie i dobruckie ordy. Ale pan Skrzetuski zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby się na szaleństwa rzucać — i wiedział doskonale, że w razie bitwy, w godzinę fala przejdzie po trupach jego i towarzyszy — chwycił się więc innych środków. Oto, naprzód rozpuścił wieść między własnymi żołnierzami, że idą tylko jako przednia straż całej dywizyi strasznego księcia i wieść tę rozpuszczał wszędzie, we wszystkich chutorach, wioskach i miasteczkach, które wypadało mu przechodzić. Jakoż rozeszła się ona lotem błyskawicy wzdłuż Zbrucza, Smotrycza, Studzienicy, Uszki, Kałusiku, z ich biegiem dostała się do Dniestru i leciała dalej, jakby wiatrem gnana, od Kamieńca aż do Jahorlika. Powtarzali ją baszowie tureccy w Chocimiu i zaporozcy w Jampolu i tatarzy w Raszkowie. I znowu rozległ się ów znany okrzyk: „Jarema idzie!“ od którego zamierały serca zbuntowanego ludu i któren dziczał z przerażenia, niepewny dnia ani godziny.

A nikt nie wątpił w prawdę wieści. Regimentarze uderzą na Chmiela, a Jarema na

Krzywonosa — to leżało w porządku rzeczy. Sam Krzywonos uwierzył i ręce mu opadły. Co miał robić? Ruszyć na księcia? Toż pod Konstantynowem inny duch był w czerni — i większe siły, a jednak zostali pobici, zdziesiątkowani, ledwie z życiem uszli. Krzywonos był pewien, że jego mołojcy będą się bili jak wściekli przeciw każdym innym wojskom Rzeczpospolitej i przeciw każdemu innemu wodzowi, ale za zbliżeniem się Jaremy, pierzchną jak stado łabędzi przed orłem, jak stepowe puchy przed wiatrem.

Czekać księcia pod Kamieńcem było jeszcze gorzej. Krzywonos postanowił rzucić się na wschód, aż hen ku Bracławowi, ominąć swego złego ducha i dążyć do Chmielnickiego. Pewnym był wprawdzie, że tak kołując na czas nie zdąży, ale przynajmniej na czas się o rezultacie dowie i o własnym ratunku pomyśli.

A wtem przyleciały z wiatrem nowe wieści, że Chmielnicki już pobit — puszczał je, jak i poprzednie, umyślnie pan Skrzetuski — wówczas, w pierwszej chwili, nie wiedział już nieszczęsny watażka co począć.

Następnie postanowił tembardziej na wschód ruszyć, jaknajdalej się w stepy posunąć — może też spotka tatarów i przy nich się schroni.

Ale przedewszystkiem chciał się upewnić, dlatego pilnie wypatrywał między swymi pułkownikami, kogoby znalazł na wszystko gotowego a pewnego, by go z podjazdem po języka wysłać. Ale wybór był trudny, chętnych brakło i trzeba było koniecznie znaleść takiego człowieka, któręnby na wypadek dostania się w ręce nieprzyjaciela, ni pieczony ogniem, ni nawlekany na pal, ni łamany kołem, nie wydał planów ucieczki.

Nakoniec Krzywonos znalazł.

Pewnej nocy kazał wołać do siebie Bohuna i rzekł mu:

— Słysz Jurku, mój przyjacielu! idzie na nas Jarema z potęgą wielką — zginąć przyjdzie nieszczęsnym!

— Słyszałem i ja, że idzie. My już z wami batku o tem mówili — ale czemu nam ginąć?

— Ne zderżymo. Innemuby zdzierżyli, Jaremie nie. Mołojcy się jego boją.

— A ja się jego nie boję — ja mu pułk w Wasiłówce na Zadnieprzu wyciął.

— Wiem ja to, że ty się jego nie boisz. Twoja sława kozacka, mołojecka, warta jego kniaziowej, ale ja mu bitwy dać nie mogę, bo mołojcy nie zechcą... Przypomnij, co na radzie mówili, jako się na mnie do szabel i kiścieni rzucali, że ich na rzeź chcę prowadzić.

— To idźmy do Chmiela, tam zażyjemy krwi i zdobyczy.

— Mówią, że Chmiel już od regimentarzy pobit.

— Temu ja nie wierzę, ojcze Maksymie. Chmiel lis, bez tatarów nie uderzy na lachów.

— Tak i ja myślę, ale trzeba wiedzieć. Wtedyby my wrażego Jaremę obeszli i z Chmielem się połączyli, ale trzeba wiedzieć! Ot, żeby się kto Jaremy nie bał, a z podjazdem poszedł i języka porwał, jaby mu czapkę czerwonych złotych nasypał.

— Ja pójdę, ojcze Maksymie, nie czerwonych szukać, ale sławy kozackiej, mołojeckiej!

— Ty tu drugi po mnie ataman, a ty chcesz iść? Będziesz ty jeszcze pierwszym atamanem nad kozakami, nad dobremi mołojcami, bo ty się Jaremy nie boisz. Idź-że ty sokole, a potem czego chcesz, żądaj. No, ja ci powiem: żeby ty

nie pcszedł, to jaby poszedł sam, ale mnie nie można.

— Nie można, bo jakbyście wy ojcze wyszli, tak by mołojcy krzyknęli, że hołowu spasajete i rozlecieliby się na cały świat; a jak ja pójdę, tak im serca przybędzie.

— A siła komunika ci dać?

— Nie wezmę ja dużo, z małą watahą łatwiej się ukryć i podejść — ale z pięćset dobrych mołojców dajcie, a już moja głowa, że wam języków przywiozę i nie pocztowych, ale towarzyszów, od których się wszystkiego dowiecie.

— Jedź-że zaraz. Z Kamieńca już z dział biją na radość i na spasenie lacham, a na pohibel nam niewinnym.

Bohun odszedł i zaraz jął gotować się do drogi. Mołojcy jego, jako nieodmiennie bywało w takich okazyach, pili na zabój, „nim śmierć matka przytuli“, on zaś pił z nimi, aż parskał gorzałką, szalał, hulał, następnie kazał beczkę dziegciu zatoczyć, i jak był w atlembasach i sajetach, rzucił się w nią we wszystkiem, zanurzył się raz, drugi, wraz z głową — i wykrzyknął:

— Czarny ja teraz, jako noc-matka, lackie oczy nie dojrzą!

I wytarzawszy się na perskich kobiercach zdobycznych, skoczył na koń i pojechał i za nim poczłapali, śród pomroki nocnej, wierni mołojcy, przeprowadzani krzykiem:

— Na sławu! na szczastie!

Tymczasem pan Skrzetuski dotarł już do Jarmoliniec, tam trafiwszy na opór, sprawił krwawy chrzest mieszczanom i zapowiedziawszy, że nazajutrz kniaź Jarema nadejdzie, dał odpoczynek strudzonym koniom i żołnierzom.

Poczem, zebrawszy na naradę towarzyszów, rzekł im:

— Dotąd Bóg nam szczęści. Miarkuję też po terrorze, jaki chłopstwo ogarnia, iż zgoła mają nas za przednią straż książęcą — i wierzą, że cała potęga idzie za nami. Ale musimy pomyśleć, aby się zaś nie obaczyli, widząc, iż jedna kupa wszędzie chodzi.

— A długoż my tak będziem chodzić? — spytał pan Zagłoba.

— Póki o Krzywonosie nie będziem wiedzieć, co postanowił.

— Ba, to i na bitwę może do obozu nie zdążymy.

— Być to może, — odrzekł pan Skrzetuski.

— Mości panie! wielcem z tego nie rad — rzekł szlachcic. Zaprawiło się trocha ręce na hultajstwie pod Konstantynowem, zdobyło się tam coś na nich. Ale to psu mucha! palce świerzbią...

— Może tu waszeć więcej bitew zażyjesz, niż sam myślisz — odparł poważnie pan Skrzetuski.

— O! a to quo modo? — pytał dość niespokojnie Zagłoba.

— Bo lada dzień możem się natknąć na nieprzyjaciela, a choć nie po to tu jesteśmy, by mu orężem drogę zagradzać, przecie wypadnie się bronić. Ale wracam do materyi: trzeba nam więcej kraju zająć, aby w kilku miejscach na raz o nas wiedziano, tu i owdzie opornych wyciąć, by się groza rozniosła, a wszędy wieści puszczać; dlatego mniemam, iż wypadnie nam się rozdzielić.

— Tak i ja mniemam — rzecze Wołodyjowski,—będziem im się w oczach mnożyć i ci, co uciekną do Krzywonosa, o krociach będą gadali.

— Mości poruczniku, waszmość tu wodzem, tedy rozporządź — rzekł Podbipięta.

— Pójdę ja na Zinków, ku Sołodkowcom, a jak będę mógł, to dalej — mówił Skrzetuski—waćpan, mości namiestniku Podbipięto, idź prosto na dół ku Tatarzyskom — ty, Michale, podejdź pod Kupin, a pan Zagłoba dotrze do Zbrucza koło Satanowa.

— Ja? — rzecze Zagłoba.

— Tak jest. Waćpan człowiek przemyślny i pełen fortelów; myślałem, że chętnie podejmiesz się tej imprezy, ale jeśli nie, to czwarty oddział weźmie Kosmacz, wachmistrz.

— Weźmie, ale pod moją komendą — zawołał Zagłoba, którego nagle olśniła myśl, iż będzie wodzem osobnego oddziału. — Jeślim się pytał, to dlatego, że mi się żal było z wami rozłączać.

— Czy jeno masz waćpan eksperjencyę w rzeczach wojskowych — spytał Wołodyjowski.

— Czy mam eksperyencyę? Jeszcze żaden bocian nie myślał o tem, aby z waści prezent ojcu i matce zrobić, gdym ja już większe podjazdy, jako ten cały jest, wodził. Wiek życia w wojsku przesłużyłem i dotąd bym służył, gdyby nie to, że jak mnie raz spleśniały suchar w brzuchu stanął, to mi trzy lata sie-

dział. Musiałem za bezoarem do Galaty jeździć, o której peregrynacyi szczegółowo waćpanom w swoim czasie opowiem, gdyż teraz pilno mi w drogę.

— Jedź więc waćpan, a wieści przed sobą puszczaj, że Chmielnicki już pobit i że książę Płoskirów już minął — rzekł pan Skrzetuski. Ladajakiego języka nie bierz, ale gdybyś napotkał podjazdy z pod Kamieńca, to staraj się porwać takich, którzyby o Krzywonosie mogli dać wiadomość, bo ci, co ich mamy, dają relacye sprzeczne.

— Obym samego Krzywonosa napotkał, niechby mu przyszła chętka na podjazd wyjechać, zadał żebym mu pieprzu z imbierem! Nie bójcie się waszmościowie, nauczę ja hultajów śpiewać — ba! nawet i tańcować.

— We trzech dniach zjedziem się napowrót w Jarmolińcach, a teraz każdy w swoją drogę! — rzekł Skrzetuski. A ludzi proszę waszmościów oszczędzać.

— We trzech dniach w Jarmolińcach! — powtórzyli Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta.

ROZDZIAŁ VI.

Gdy pan Zagłoba znalazł się sam, na czele swego oddziału, zrobiło mu się zrazu jakoś niesmaczno, a nawet wcale straszno i dużo byłby za to dał, żeby mieć koło siebie Skrzetuskiego, Wołodyjowskiego, albo pana Longina, których w duszy najmocniej podziwiał i przy których czuł się zupełnie bezpieczny, tak ślepo wierzył w ich obrotność i męztwo.

Jechał więc z początku dość posępnie na czele swego oddziału i rozglądając się podejrzliwie na wszystkie strony, myślą mierzył niebezpieczeństwa, na jakie mógł się natknąć i mruczał:

— Zawsze raźniejby było, żeby który z nich był tutaj. Do czego Bóg kogo przeznaczył, do tego go stworzył, a ci trzej powinni byli bąkami się porodzić, bo na krwi lubią siadać. Tak im właśnie na wojnie, jako innym przy

dzbanie, albo jako rybom we wodzie. W to im graj. Brzuchy mają lekkie, ale ręce ciężkie. Skrzetuskiego widziałem przy robocie—i wiem jako jest peritus. Tak on trzepie ludzi, jak mnichy pacierze. Jego to rzemiosło ulubione. Ów litwin, co własnej głowy niema, a trzech obcych szuka, nic na szwank nie wystawia; najmniej znam tego małego fircyka, ale osa też to musi być nielada, miarkując z tego, com pod Konstantynowem widział i co mnie Skrzetuski o nim powiadał — osa to musi być! Szczęściem niedaleko on odemnie ciągnie i myślę, że najlepiej zrobię, jak się z nim połączę, bo jeśli wiem dokąd iść, to niech mnie kaczki zdepczą.

Pan Zagłoba uczuł się bardzo samotnym na świecie — aż się sam swej samotności użalił.

— Tak to! tak! — mruczał. Każdy ma się na kogoś obejrzyć, a ja co? Ni towarzysza, ni ojca, ni matki! Sierotam jest — i kwita!

W tej chwili, wachmistrz Kosmacz zbliżył się ku niemu:

— Mości komendancie, dokąd idziemy?

— Dokąd idziemy? — powtórzył pan Zagłoba — co? Nagle wyprostował się w siodle i wąs pokręcił.

— Do Kamieńca! jeśli taka będzie moja wola! Rozumiesz, mości wachmistrzu!

Wachmistrz skłonił się i cofnął w milczeniu do szeregów, nie zdając sobie sprawy, dlaczego się komendant rozsierdził, pan Zagłoba zaś cisnął jeszcze okolicy kilka groźnych spojrzeń, następnie uspokoił się i mruczał dalej:

— Jeśli do Kamieńca pójdę, pozwolę sobie dać sto kijów w pięty, turecką modą. Tfu! tfu! żeby który z tamtych był przy mnie, więcej czułbym w sobie ducha. Co ja pocznę ze stem ludzi? Wolałbym być już sam, bo wówczas człek w fortele dufa. A teraz, zadużo nas, by fortelami wojować, a zamało do obrony. Bardzo to niefortunna myśl przyszła Skrzetuskiemu do głowy, żeby podjazd rozdzielać. I gdzie ja pójdę? Wiem co za mną, ale kto mnie powie, co przedemną, i kto mi zaręczy, czy dyabli tam jakiej pułapki nie nastawili. Krzywonos i Bohun! Dobra sfora! Żeby ich dyabli obłuszczyli. Boże mnie broń przynajmniej od Bohuna. Skrzetuski życzy sobie się z nim spotkać — wysłuchaj go Panie! Życzę mu tego, czego sobie sam

życzy, bom mu przyjaciel — amen! Dotrę do Zbrucza i wrócę do Jarmoliniec, a języków więcej im przywiodę, niż sami chcą. O to nie trudno.

Wtem Kosmacz zbliżył się ku niemu.

— Mości komendancie, jakowychś jeźdzców za wzgórzem widać.

— Niech jadą do dyabła! Gdzie? gdzie?

— A ono tam za górą. Znaki widziałem.

— Wojsko?

— Zdaje się wojsko.

— Niech ich psi kąsają. A siła ich?

— Niewiadomo, bo daleko. Byśmy się tu za one skały ukryli, wpadniemy na nich niespodzianie, bo tędy im droga. Jeśli potęga zawielka, to pan Wołodyjowski niedaleko, strzały usłyszy i na pomoc skoczy.

Panu Zagłobie odwaga uderzyła niespodzianie do głowy jak wino. Być może, że to desperacya dała mu taki do czynu pochop; być może, nadzieja, że pan Wołodyjowski jeszcze blisko, dość, że gołą szablą błysnął, oczyma zatoczył straszliwie i zakrzyknął:

— Ukryć się za skały! — wpadniemy na nich niespodzianie! Pokażemy tym hultajom....

Sprawni żołnierze książęcy z miejsca zawrócili pod skały i w mgnieniu oka ustawili się w szyku bojowym, gotowi do niespodzianego napadu.

Upłynęła godzina; nakoniec dał się słyszeć gwar zbliżających się ludzi, echo niosło nutę wesołych pieśni, a po chwili jeszcze, do uszu czatujących w zasadzce, doszły odgłosy skrzypków, dud i bębenka. — Wachmistrz zbliżył się znów do pana Zagłoby i rzekł:

— To nie wojsko panie komendancie, nie kozacy, to wesele.

— Wesele? — rzekł Zagłoba. Zagram-że ja im, niech poczekają.

To rzekłszy, ruszył koniem, za nim wyjechali żołnierze i ustawili się szeregiem na drodze.

— Za mną! — krzyknął groźnie Zagłoba.

Linia ruszyła kłusem, potem galopem — i okrążywszy skałę, stanęła nagle tuż przed gromadą ludzi, zmieszanych i strwożonych niespodzianym widokiem.

— Stój! stój! — wołano z obu stron.

Było to istotnie chłopskie wesele. Naprzód jechali konno dudziarz, teorbanista, skrzypek i dwaj „dowbysze“, trochę już pijani, wycina-

jąc od ucha skoczne kołomyjki. Za niemi panna młoda, hoża dziewczyna, w ciemnym żupanie i z włosami rozpuszczonemi na ramiona. Otaczały ją drużki, śpiewające pieśni i niosące ponawlekane na ręce wieńce — a wszystkie dziewki na koniach, siedzące po męzku, wystrojone, ubrane w polne kwiaty, wyglądały zdala jak zastęp kraśnych kozaków. W drugim szeregu jechał na dzielnym koniu pan młody, wśród drużbów z wieńcami, na długich, podobnych do spis tyczkach — orszak zamykali rodzice nowożeńców — i goście, wszyscy konno; jedynie beczki z gorzałką, miodem i piwem jechały na lekkich wymoszczonych słomą wózkach, bełkocąc smakowicie po nierównej kamienistej drodze.

— Stój! stój! — wołano z obu stron; poczem orszak weselny pomięszał się. Dziewczęta podniosły krzyk przeraźliwy i cofnęły się w tył, zaś parobcy i starsi drużbowie skoczyli naprzód, by piersiami zasłonić mołodycie przed niespodzianym napadem.

Pan Zagłoba skoczył tuż przed nich i machając szablą, świecąc nią w oczy przerażonemu chłopstwu, począł wrzeszczyć:

— Ha! skurczybyki, psie chwosty, rebelizanty! Do buntu wam się zachciało! Za Krzywonosem trzymacie, łajdaki? na przeszpiegi jeździcie? drogę wojsku tamujecie? na szlachtę ręce podnosicie? Dam ja wam pieskie dusze bezecne! W dyby pokuć każę, na pal powbijać, o szelmy, o poganie! Teraz za wszystkie zbrodnie zapłacicie!

Stary i biały jak gołąb drużba, zeskoczył z konia, zbliżył się do szlachcica i chwyciwszy go pokornie za strzemię, począł kłaniać się w pas, a błagać:

— Zmiłujcie się, jasny rycerzu! nie gubcie biednych ludzi. Bóg nam świadek, my niewinni, nie do buntu my idziemy, my z cerkwi, z Husiatynia, naszego krewniaka Dymitra, kowala, z bondarówną Ksenią wieńczyli. My z weselem, z korowajem.

— To niewinni ludzie, panie! — szepnął wachmistrz.

— Precz mi! To szelmy! Od Krzywonosa na wesele przyszli — huknął Zagłoba.

— Kołyb jeho trastia mordowała! — zawołał starzec. My jego na oczy nie widzieli, my biedni ludzie. Zmiłujcie się, jasny panie, do-

zwólcie przejść, my nikomu zła nie czynimy, a swoją powinność znamy.

— Do Jarmoliniec w łykach pójdziecie!...

— Pójdziemy, gdzie każecie, panie! Wam rozkazywać, nam słuchać! Ale wy nam łaskę zróbcie, jasny rycerzu! przykażcie panom żołmirom, żeby oni nam zła nie czynili, a sami— wybaczcie prostakom — i ot, bijem czołem pokornie: wypijcie z nami na szczęście uwieńczonym... Wypijcie, wasza miłość: na radość prostym ludziom, jako Bóg i święta ewangelia nakazuje.

— Jeno nie myślcie, bym wam folgował, gdy wypiję! — rzekł ostro pan Zagłoba.

— Nie, panie! — zawołał z radością dziad, my nie myślim! Hej grajki! — zakrzyknął na muzykę: zagrajcie dla jasnoho łycara, bo jasny łycar dobry, a wy mołojcy skoczcie po miód, po słodki, dla jasnego łycara; on biednych ludzi nie ukrzywdzi. Skoro chłopci, skoro! Diakujem pane!

Mołojcy kopnęli się co duchu do beczek, a tymczasem zawarczały bębenki, zapiszczały raźno skrzypki, dudziarz wydął policzki i począł miętosić dudę pod pachą, drużbowie po-

trząsali wieńcami na tykach, co widząc żołnierze, poczęli się coraz bardziej przysuwać, wąsy kręcić, uśmiechać się i przez plecy mołojców na mołodycie poglądać. Zabrzmiały na nowo pieśni — i strach minął, nawet gdzieniegdzie ozwały się radosne: „u-ha! u-ha!“

Ale pan Zagłoba nie rozchmurzył się odrazu — nawet gdy mu już podano kwartę miodu, mruczał jeszcze zcicha: „A szelmy, a łajdaki!“ Nawet gdy już wąsy zanurzył w ciemnej powierzchni napitku, brwi jego nie rozmarszczyły się jeszcze; podniósł głowę i mrużąc oczy i mlaskając wargami, począł smakować trunek — następnie zdziwienie, ale i oburzenie, odbiło się na jego twarzy.

— Co to za czasy! — mruknął.—Chamy taki miód piją. Boże, ty to widzisz i nie grzmisz?

To rzekłszy, przechylił kwartę i wypróżnił ją do dna.

Tymczasem przyśli ośmieleni weselnicy prosić go całą gromadą, by zła nie czynił i puścił wolno — a między niemi przyszła i panna młoda, Ksenia, nieśmiała, drżąca, ze łzami w oczach, a zapłoniona i śliczna jak zorza. Zbliżywszy się, złożyła ręce: „Pomiłujte pane!“

— i całowała żółty but pan Zagłoby, — serce w szlachcicu odrazu jak wosk zmiękło.

Popuściwszy skórzanego pasa, począł w nim grzebać, a wygrzebawszy ostatnie czerwone złote, które mu swego czasu dał książę—rzekł do Kseni:

— Naści! Niech-że ci Bóg błogosławi, jako i wszelkiej niewinności.

Tu wzruszenie nie pozwoliło mu mówić więcej, bo mu owa wysmukła, czarnobrewa Ksenia przypomniała kniaziównę, którą kochał po swojemu pan Zagłoba: „Gdzie ona teraz nieboga i czy jej tam pilnują święci anieli?“— pomyślał — i całkiem był już rozczulony, gotów z każdym ściskać się i bratać.

Weselnicy zaś widząc jego wspaniały czyn, poczęli hukać z radości, a śpiewać, a cisnąć się do niego, całować poły! „Dobry on! — powtarzano w tłumie — zołotyj lach! czerwonci daje — zła ne dełaje! dobry pan! Na sławu! na szczastie!“ Skrzypek aż się trząsł, tak ciął od ucha, dudziarzowi oczy na wierzch wylazły, „dowbyszom“ ręce ustawały. Stary bondar, tchórzem widocznie podszyty, trzymał się aż dotąd w tyle, teraz wysunął się naprzód i wraz z żoną bondarową i starą kowalichą, matką

pana młodego, nuż kłaniać się w pas, a do chutoru na wesele zapraszać, — że to sława takiego mieć gościa, i dla młodych pomyślna wróżba — że inaczej krzywda im będzie. Za niemi kłaniał się pan młody i czarnobrewa Ksenia, która choć prosta mołodycia, odrazu poznała, że jej prośba najwięcej może. A drużbowie krzyczeli, że chutor niedaleko, nie będzie rycerzowi z drogi, stary zaś bondar, bogaty, nie takiego miodu wytoczy. Pan Zagłoba spojrzał po żołnierzach: ruszali wszyscy wąsami jak zające, różne sobie rozkosze w tańcu i napitkach obiecując — więc choć nie śmieli prosić, by jechać — zlitował się nad niemi pan Zagłoba — i po chwili on, drużbowie, mołodycie i żołnierze ruszyli w najpiękniejszej zgodzie do chutoru.

Chutor istotnie był niedaleko, a stary bondar bogaty, więc i wesele było szumne i popili się wszyscy mocno, a pan Zagłoba tak się rozochocił, że do wszystkiego był pierwszy. Zaczęły się tedy dziwne obrządki. Stare baby zawiodły Ksenię do komory — i zamknęły się tam z nią; bawiły długo, poczem wyszły i oświadczyły, że mołodycia jak gołąbka, jak lilia! Wtedy radość zapanowała w zgromadze-

niu, podniósł się krzyk, „Na sławu! na szczastie!“—kobiety jęły klaskać w ręce i krzyczeć: „A szczo? ne kazały!“—parobcy zaś tupali nogami — i każden tańczył w pojedynkę z kwartą w ręku, którą przed drzwiami komory „na sławu“ wypijał. Tańczył tak i pan Zagłoba, tem tylko zacność swego urodzenia dystyngwując, że nie kwartą, ale półgarncówką pił przed drzwiami. Potem bondarowie i kowalicha wprowadzili młodego Dymitra do komory — ale że młody Dymitr ojca nie miał — więc pokłoniono się panu Zagłobie, by go zastąpił— a on zgodził się i poszedł z innymi. Przez ten czas uciszyło się w izbie—tylko żołnierze, pijący na majdanie przed chatą, krzyk czynili, hałłakując z radości po tatarsku i paląc z bandoletów. Lecz największa radość i hulatyka zaczęły się dopiero wówczas, gdy rodzice pojawili się napowrót w izbie. Stary bondar ściskał z radości kowalichę — parobcy przychodzili do bondarowej i podejmowali ją pod nogi, a niewiasty sławiły ją, że tak ustrzegła córeczki, jako oka w głowie, jak hołubki i lilii (*),

(*) Wesele chłopskie z owych czasów opisuje naoczny świadek Beauplan.

poczem puścił się z nią w tany pan Zagłoba. Poczęli więc dreptać naprzeciw siebie, a on w ręce klaskał i w prysiudach przysiadał, i tak podskakiwał, i tak podkowami bił w podłogę, że aż drzazgi z desek leciały i pot obfity spływał mu z czoła. Poszli ich śladem i inni, kto mógł—w izbie, kto nie mógł — na podwórcu, mołodycie z mołojcami i z żołnierzami. Bondar coraz nowe beczki kazał wytaczać. Wreszcie wytoczyło się całe wesele z izby na majdan — zapalono stosy z suchych bodiaków i łuczywa, bo zapadła już noc głęboka i hulatyka zmieniła się w pijatykę na umor, żołnierze palili z bandoletów i muszkietów, jakby w czasie bitwy.

Pan Zagłoba czerwony, spocony, chwiejący się na nogach — zapomniał co się z nim dzieje, gdzie jest; przez dymy, które mu biły z czupryny, widział twarze biesiadników, ale choćby go na pal wbijano, nie umiałby powiedzieć, kto są ci biesiadnicy. Pamiętał, że jest na weselu — ale na czyjem? Ha! pewnie pana Skrzetuskiego z kniaziówną! Ta myśl wydała mu się najprawdopodobniejszą, utkwiła mu wreszcie jak gwóźdź w głowie i taką napełniła go radością, że począł wrzeszczyć jak opę-

tany: „Niech żyją! niech żyją! Panowie bracia, kochajmy się!“ — i coraz nowe spełniał półgarncówki: „W twoje ręce, panie bracie! Zdrowie naszego księcia pana! Żeby się nam dobrze działo! Bogdaj ten paroksyzm ojczyznę minął!“ — Tu zalał się łzami i potknął się idąc do beczki — i potykał się coraz więcej, bo na ziemi, jakby na pobojowisku, leżało mnóstwo ciał nieruchomych. „Boże! — zawołał pan Zagłoba — nie masz już męztwa w tej Rzeczypospolitej. Jeden pan Łaszcz pić potrafi, drugi Zagłoba — a reszta! Boże! Boże!“ I oczy żałośnie ku niebu podniósł — a wtem postrzegł, że ciała niebieskie nie tkwią już spokojnie nakształt złotych gwoździ w firmamencie, ale jedne trzęsą się, jakoby chciały z oprawy wyskoczyć, drugie zataczają koła, trzecie tańczą naprzeciw siebie kozaka — więc zdumiał się okrutnie pan Zagłoba i rzekł do swej duszy zdumionej:

— Zali ja jeden tylko nie pijany in universo?

Ale nagle i ziemia, tak samo jak gwiazdy, zatrzęsła się szalonym wirem i pan Zagłoba runął jak długi na ziemię.

Wkrótce opadły go sny straszne. Zdało mu się, iż jakieś zmory usiadły mu na piersiach, że go gniotą, przytłaczają do ziemi, że wiążą mu ręce i nogi. Jednocześnie o uszy odbijały mu się wrzaski i jak gdyby huk wystrzałów; jakieś jaskrawe światło przechodziło przez jego zamknięte powieki i raziło mu oczy blaskiem nieznośnym. Chciał się zbudzić, otworzyć oczy i nie mógł. Czuł, iż dzieje się z nim coś niezwykłego, że głowa zwiesza mu się w tył, jak gdyby go niesiono za ręce i nogi... Potem zdjął go jakiś strach; było mu źle, bardzo źle, bardzo ciężko. Wracała mu przez pół przytomność — ale dziwna — bo w towarzystwie takiej niemocy, jakiej nigdy w życiu nie doznawał. I jeszcze raz próbował się poruszyć, ale gdy mu się nie udało, rozbudził się lepiej i odemknął powieki.

Wówczas wzrok jego napotkał parę oczów, które wpijały się w niego chciwie — a były to czarne źrenice jak węgiel i tak złowrogie, że rozbudzony już zupełnie pan Zagłoba, pomyślał w pierwszej chwili, że to dyabeł na niego patrzy — i znów przymknął powieki i znów je prędko otworzył. Owe oczy patrzyły wciąż uporczywie — twarz wydała się znajomą: na-

gle pan Zagłoba zadygotał do szpiku kości, oblał go zimny pot, a po krzyżach przeszło mu aż do nóg tysiące mrówek.

Poznał twarz Bohuna.

ROZDZIAŁ VII.

Zagłoba leżał związany w kij do własnej szabli, w tej samej izbie, w której odbywało się wesele, a straszliwy watażka siedział opodal na zydlu i pasł oczy przerażeniem jeńca.

— Dobry wieczór waszmości! — rzekł, dojrzawszy otwarte powieki swej ofiary.

Pan Zagłoba nie odrzekł nic, ale w jednem mgnieniu oka oprzytomniał tak, jakby kropli wina do ust nie brał, jeno mrówki doszedłszy mu do pięt, wróciły się w górę aż do głowy, a szpik w kościach stał się zimny jak lód. Mówią, że człowiek tonący, w ostatnim momencie widzi jasno całą swoją przeszłość, że przypomina wszystko — i zdaje sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje; — taką jasność widzenia i pamięci posiadał w tej chwili pan Zagłoba — a ostatniem słowem tej jasności był cichy, niewypowiedziany ustami okrzyk:

— Ten mi dopiero da łupnia!

A watażka powtórzył spokojnym głosem:

— Dobry wieczór waszmości.

— Brr! — pomyślał Zagłoba — wolałbym, by wpadł w furyę.

— Nie poznajesz mnie, panie szlachcic?

— Czołem, czołem! Jak zdrowie?

— Nieźle. A waścinem, to już ja sam się zajmę.

— Nie prosiłem Boga o takiego doktora i wątpię, abym mógł strawić twoje lekarstwa, ale dziej się wola boża.

— No, ty mnie kurował, teraz ja się tobie wywdzięczę. My stare druhy. Pamiętasz, jak ty mnie głowę obwiązywał w Rozłogach — co?

Oczy Bohuna poczęły świecić jak dwa karbunkuły, a linia wąsów przedłużała się w straszliwym uśmiechu.

— Pamiętam — rzekł Zagłoba — że mogłem cię nożem pchnąć — i nie pchnąłem.

— A ja to ciebie pchnął? albo cię myślę pchnąć? Nie! ty dla mnie lubczyk — kochańczyk; ja ciebie będę strzegł, jak oka w głowie.

— Zawsze mówiłem, że zacny z ciebie kawaler—rzekł Zagłoba — udając, że bierze za

dobrą monetę słowa Bohuna, a jednocześnie przez głowę przeleciała mu myśl:

— Już on mi widać specyał jakowyś obmyśli; nie umrę poprostu.

— Ty dobrze mówił — ciągnął Bohun — ty także zacny kawaler; tak my się szukali i znaleźli.

— Co prawda, tom cię nie szukał, ale dziękuję za dobre słowo.

— Podziękujesz ty mi jeszcze lepiej niezadługo—i ja tobie podziękuję za to, że ty mnie młodycię z Rozłogów do Baru przywiódł. Tam ja ją i znalazł, a teraz, ot! na weseleby ciebie prosił, ale to nie dziś i nie jutro — teraz wojna, a ty stary człowiek, może nie dożyjesz.

Zagłoba, mimo straszliwego położenia w jakiem się znajdował, nadstawił uszu.

— Na wesele? — mruknął.

— A co ty myślał? — mówił Bohun — czy to ja chłop, żeby ją bez popa niewolił, albo mnie nie stać na to, żeby ja w Kijowie ślub brał? Nie dla chłopa ty ją do Baru przywiódł, ale dla atamana i hetmana...

— Dobrze! — pomyślał Zagłoba.

Poczem zwrócił głowę ku Bohunowi:

— Każ mnie rozwiązać — rzekł.

— Poleż, poleż, ty w drogę pojedziesz, a ty stary, tobie odpocząć przed drogą.

— Gdzie mnie chcesz wieść?

— Ty mój przyjaciel, tak ja cię do drugiego mojego przyjaciela zawiodę, do Krzywonosa. Już my oba pomyślemy, żeby tobie tam było dobrze.

— Będzie mi ciepło!—mruknął szlachcic— i znowu mrówki poczęły mu chodzić po grzbiecie.

Nakoniec począł mówić:

— Wiem, że ty do mnie rankor masz, ale niesłusznie, niesłusznie — Bóg widzi. My żyli razem i w Czechrynie niejeden gąsior wypili, bo miałem dla cię affekt ojcowski, za twoją fantazyę rycerską, jakiej lepszej nie znaleść na całej Ukrainie. Ot co? Czym ja tobie w drogę wchodził? Żebym ja był z tobą do Rozłogów wtedy nie jeździł — tobyśmy do tej pory w dobrej przyjaźni żyli — a pocóżem jechał, jeśli nie z życzliwości ku tobie? I żebyś się nie był wściekł, żebyś nie był mordował onych nieszczęsnych ludzi — Bóg na mnie patrzy — nie byłbym ci wchodził w drogę. Co mnie się do cudzych spraw mięszać. Wolałbym, żeby dziewczyna była twoja, jak czyja inna. Ale

przy twoich tatarskich zalotach sumienie mnie ruszyło — że to przecie szlachecki dom. Sam byś nie inaczej postąpił. Mogłem cię przecię z tego świata zgładzić, z większym swoim pożytkiem — a przecz-żem tego nie uczynił? Bom szlachcic i wstyd mi było. Zawstydź-że się i ty, bo wiem, że się nademną chcesz znęcać. Dziewczynę i tak masz w ręku — czego odemnie chcesz? Zalim jej nie strzegł, jak oka w głowie — tego twojego dobra? Żeś ją uszanował, znać, że i w tobie jest rycerski honor i sumienie, ale jakże to jej podasz rękę, którą w mojej krwie niewinnej ubroczysz? Jako to jej powiesz: tego człeka, któren cię przez chłopstwo i tatarstwo przeprowadził — na mękim wydał? Zawstydź-że się i puść mnie z tych pętów i z tej niewoli, w którą mnie zdradą pochwyciłeś. Młodyś jest i nie wiesz, coć potkać może — a za moją śmierć, Bóg cię będzie karał na tem, co ci najmilsze.

Bohun wstał z zydla, blady z wściekłości, i zbliżywszy się do Zagłoby, zaczął mówić przyduszonym przez furyę głosem:

— Wieprzu nieczysty, pasy drzeć z ciebie każę, na wolnym ogniu spalę, ćwiekami nabiję, na szmaty rozerwę!

I w przystępie szaleństwa, pochwycił za nóż wiszący u pasa — przez chwilę ściskał go konwulsyjnie w pięści — już, już ostrze zaświeciło panu Zagłobie w oczach, ale watażka pohamował się — nóż wepchnął z powrotem w pochwę — i zakrzyknął:

— Mołojcy!

Sześciu zaporozców wpadło do izby.

— Wziąść to ścierwo lackie i w chlewie rzucić, a strzedz, jak oka w głowie.

Kozacy porwali pana Zagłobę, dwóch za ręce i za nogi, jeden z tyłu za czuprynę —i wyniósłszy z izby, przenieśli przez cały majdan, nakoniec porzucili go na gnoju, w stojącym opodal chlewie. Poczem drzwi się zamknęły i jeńca otoczyła zupełna ciemność —jeno przez szpary między belkami i przez dziury w poszyciu, przedzierało się tu i owdzie blade światło nocne. Po chwili, oczy pana Zagłoby przyzwyczaiły się do pomroki. Rozejrzał się dokoła i ujrzał, że w chlewie nie było świń, ani mołojców. Rozmowy tych ostatnich dochodziły go zresztą wyraźnie przez wszystkie cztery ściany. Widocznie cały budynek obstawiony był szczelnie, ale mimo tych straży, pan Zagłoba odetchnął głęboko.

Przedewszystkiem żył. Gdy Bohun błysnął nad nim nożem, był pewien, że już ostatnia jego chwila wybiła — i Bogu ducha polecał, co prawda, z największym strachem. Ale widocznie Bohun postanowił go zakonserwować na śmierć nierównie wymyślniejszą. Pragnął nietylko się zemścić, ale i nasycać się zemstą nad tym, który wydarł mu krasawicę, i sławę jego mołojecką nadwerężył, a samego śmiesznością okrył, spowiwszy go jak dziecko. Była to tedy smutna dla pana Zagłoby perspektywa, ale na razie pocieszała go jednak myśl, że jeszcze żyje, że prawdopodobnie do Krzywonosa go powiodą i tam dopiero na pytki wezmą — że więc ma kilka, a może i więcej dni przed sobą, tymczasem zaś leży sobie oto w chlewie, samotny, i może wśród ciszy nocnej o fortelach pomyślić.

To była jedna dobra strona sprawy, ale gdy o złych pomyślał, znowu mrówki poczęły mu tysiącami chodzić po grzbiecie.

Fortele!...

— Gdyby tu wieprz, albo świnia leżała w tym chlewie — mruczał pan Zagłoba — miałaby ich więcej jak ja, bo by jej nie związali w kij do własnej szabli. Niechby Salomo-

na tak związali, a nie byłby mądrzejszy od własnych pludrów, albo od mego napiętka. O Boże! Boże, za co mnie tak karzesz! Na tyle ludzi na świecie, tego jednego złodzieja najbardziej uniknąć pragnąłem — i takie moje szczęście, żem jego właśnie nie uniknął. Będę miał skórę wyczesaną, jak swiebodzińskie sukno. Żeby to inny mnie złapał, tobym deklarował, że do buntu przystaję, a potem umknął. Ale i innyby nie uwierzył, a cóż dopiero ten! Czuję, że mnie serce zamiera. Dyabli mnie tu przynieśli — o Boże! Boże, ani ręką, ani nogą ruszyć nie mogę, o Boże! Boże!

Po chwili jednak pomyślał pan Zagłoba, że gdyby miał wolne ręce i nogi, łatwiejby mógł jakichkolwiek fortelów się chwycić. A nużby poprobował? Byle tylko szablę zdołał z pod kolan wysunąć, reszta poszłaby łatwiej. Ale jak tu ją wysunąć? przewrócić się na bok — źle — pan Zagłoba zamyślił się głęboko.

Następnie począł się kołysać na własnym grzbiecie coraz prędzej i prędzej — a za każdym takim ruchem posuwał się o pół cala naprzód. Zrobiło mu się gorąco, czupryna zapociła mu się gorzej jak w tańcu i chwilami usta-

wał i spoczywał, chwilami przerywał pracę, bo zdało mu się, że któryś z mołojców idzie ku drzwiom — i znów rozpoczynał z nowym zapałem, nakoniec przysunął się do ściany.

Wówczas począł się kiwać inaczej, bo nie od głowy ku nogom, ale z boku na bok, tak, że za każdym razem uderzał z lekka w ścianę końcem szabli, która wysuwała się przez to z pod kolan, przechylając się coraz bardziej ku wewnątrz, na stronę rękojeści.

Serce poczęło bić w panu Zagłobie, jak młotem, bo ujrzał, że to sposób może być skuteczny.

I pracował dalej, starając się jak najciszej uderzać i tylko wówczas, gdy rozmowa mołojców głuszyła lekkie uderzenia. Przyszła nareszcie chwila, że koniec pochwy znalazł się na jednej linii z łokciem i kolanem i że dalsze kiwania się ku ścianie, nie mogły go już wypychać.

Tak, ale natomiast z drugiej strony zwieszała się już znaczna część szabli, i wiele cięższa, biorąc na uwagę rękojeść.

Na rękojeści był krzyżyk, jako zwykle przy karabelach; pan Zagłoba liczył na ów krzyżyk.

I po raz trzeci począł kołysać się, ale tym razem celem jego usiłowań było odwrócenie się nogami do ściany. Dopiąwszy i tego, jął posuwać się wzdłuż. Szabla jeszcze tkwiła między podkolaniami a rękoma, ale rękojeść zawadzała się co chwila krzyżykiem o nierówności gruntu — nakoniec krzyżyk zawadził silniej — pan Zagłoba kiwnął się ostatni raz i przez chwilę radość przygwoździła go na miejscu.

Szabla wysunęła się zupełnie.

Szlachcic zdjął wówczas ręce z kolan, a chociaż dłonie miał jeszcze związane, uchwycił niemi szablę napowrót. Pochwę przytrzymał nogami — i wyciągnął żeleźce.

Rozciąć pęta na nogach, było teraz dziełem jednej chwili.

Trudniej było z dłońmi. Pan Zagłoba musiał ułożyć szablę na gnoju, tylcem do dołu, ostrzem do góry i trzeć o owe ostrze postronki dopóty, dopóki ich nie rozciął.

Co gdy uczynił, był nietylko wolny od pęt— lecz i uzbrojony.

Odetchnął też głęboko, poczem przeżegnał się i zaczął Bogu dziękować.

Ale od rozcięcia pęt, do uwolnienia się z rąk Bohunowych, było jeszcze bardzo daleko.

— Co dalej?—pytał samego siebie pan Zagłoba.

I nie znalazł odpowiedzi. Chlew na około obstawiony był mołojcami; było ich tam razem ze stu, mysz nie mogłaby się wymknąć niepostrzeżona, a cóż dopiero człowiek tak tęgi, jak pan Zagłoba.

— Widzę, że zaczynam w piętkę gonić — rzekł sam do siebie—a mój dowcip tyle wart, żeby nim buty wysmarować, chociaż i smarowidła lepszego możnaby u węgrzynów na jarmarku kupić. Jeśli mnie Bóg nie ześle jakiej myśli, to pójdę wronom na pieczeń, ale jeśli ześle, to się ofiaruję w czystości trwać, jako pan Longinus.

Głośniejsza rozmowa mołojców za ścianą, przerwała mu dalsze rozmyślania — poskoczył więc i ucho przyłożył do szpary między belkami.

Wysuszone sosnowe belki odbijały głosy jak pudło teorbanu — słowa dochodziły wyraźnie.

— A gdzie my ztąd pojedziemy, ojcze Owsiwuju? — pytał jeden głos.

— Ne znaju, pewno do Kamieńca — odparł drugi.

— Ba, konie ledwie nogami włóczą — nie dojdą.

— Dlatego tu i stoimy — do rana wypoczną.

Nastała chwila milczenia, potem pierwszy głos ozwał się ciszej, jak poprzednio:

— A mnie się widzi, ojcze, że ataman z pod Kamieńca za Jampol ruszy.

Zagłoba wstrzymał oddech w piersi.

— Milcz, jeśli ci młoda głowa miła! — brzmiała odpowiedź.

Nastała chwila milczenia, tylko z za innych ścian dochodziło szeptanie.

— Wszędy są, wszędy pilnują! — mruknął Zagłoba.

I poszedł ku przeciwległej ścianie.

Tym razem doszedł go chrzęst żutych obroków i parskanie koni, które widocznie stały tuż, a między niemi mołojcy rozmawiali leżący, bo głosy dochodziły z dołu.

— Hej — mówił jeden—my tu jechali nie śpiąc, nie jedząc, koniom nie popasając, po to, by na pale w obozie Jaremy poszli.

— To już pewno, że on tu jest?

— Ludzie, co z Jarmoliniec uciekli, widzieli go, jako ciebie widzę. Strach co mówią: wielki on jak sosna, we łbie dwie głownie, a koń pod nim smok.

— Hospody pomiłuj!

— Nam tego lacha z żołnierzami zabrać i uciekać.

— Jak uciekać. Konie i tak zdychają.

— Źle, braty ridnyje. Żeby ja był atamanem, tak jaby temu lachowi szyję uciął i do Kamieńca choć piechotą wracał.

— Jego ze sobą pod Kamieniec weźmiemy. Tam z nim atamany nasze poigrają.

— Pierwej z wami dyabli poigrają — mruczał Zagłoba.

Jakoż, mimo całego strachu przed Bohunem, a może właśnie dlatego, poprzysiągł sobie, że się żywcem nie da wziąść. Jest wolny od pęt, szablę ma w ręku — będzie się bronił. Rozsiekają go, to rozsiekają; ale żywcem nie wezmą.

Tymczasem parskanie i stękanie koni, widocznie nadzwyczajnie zdrożonych, zgłuszyło dalszą rozmowę, a natomiast poddało pewną myśl panu Zagłobie.

— Żebym to mógł przez tę ścianę się przedostać a na konia niespodzianie skoczyć! — myślał. — Jest noc — nimby się obaczyli, co się stało, jużbym im uszedł z oczu. Po tych jarach i rozłogach przy słońcu trudno gonić, a cóż dopiero w ciemnościach, dajże mi Boże sposobność.

Ale o sposobność nie było łatwo. Trzebaby chyba było ścianę rozwalić, a na to trzeba było być panem Podbipiętą — lub się podkopać jak lis — a i wówczas pewnieby usłyszeli, zobaczyli i ucapili zbiega za kark, nimby nogą strzemienia sięgnął.

Do głowy panu Zagłobie cisnęły się tysiące fortelów, ale właśnie dlatego, że ich było tysiące, żaden nie przedstawiał się jasno.

— Nie może już inaczej być, jeno skórą zapłacę—pomyślał.

I ruszył ku trzeciej ścianie.

Nagle uderzył głową o coś twardego, zmacał: była to drabinka. Chlew nie był świński, ale bawoli i do połowy długości miał strych, służący za skład słomy i siana. Pan Zagłoba bez chwili namysłu wylazł na górę.

Poczem siadł, odetchnął i począł zwolna wciągać za sobą drabinkę.

— No, tom jest i w fortecy! — mruknął. Choćby też i drugą drabinę znaleźli, nie prędko się tu dostaną. Jeśli pierwszego łba, który się tu wychyli, nie rozwalę na dwoje, to się pozwolę na schab uwędzić. O do dyabła! — rzekł nagle—istotnie będą mnie mogli nietylko uwędzić, ale upiec i na łój przetopić. Ale niech tam! chcą chlew spalić — dobrze! żywcem mnie tembardziej nie dostaną — a wszystko mi jedno, czy mnie krucy zdziobią surowego, czy pieczonego. Bylem tych zbójeckich rąk uszedł, o resztę niedbam i mam nadzieję, że jeszcze jakoś to będzie.

Pan Zagłoba łatwo przechodził widać od ostatniej rozpaczy do nadziei. Jakoż niespodzianie taka w niego wstąpiła ufność, jakby już był w obozie księcia Jeremiego. A jednak położenie jego nie poprawiło się o wiele. Siedział na strychu i mając szablę w garści, mógł istotnie długo przystępu bronić. Ot, i wszystko. Ale ze strychu do wolności była droga, jak z pieca na łeb — z tą jeszcze różnicą, że w dole czekały szable i spisy mołojców, czychających pod ścianami.

— Jakoś to będzie! — mruknął pan Zagłoba i zbliżywszy się do dachu, począł zlekka

rozrywać i unosić poszycie, aby sobie „prospectus“ na świat otworzyć.

Poszło mu to z łatwością, gdyż mołojcy rozmawiali ciągle pod ścianami, chcąc zabić nudę czuwania, a przytem wstał dość silny wiatr i głuszył powiewem śród pobliskich drzew, szelest unoszonych snopków.

Po pewnym czasie dziura była gotowa — pan Zagłoba wetknął w nią głowę i począł rozglądać się naokoło.

Noc poczynała już ustępować, a na wschodnią stronę nieba wstępował pierwszy brzask dnia, więc przy bladem świetle ujrzał pan Zagłoba cały majdan zapełniony końmi, przed chatą szeregi śpiących mołojców, powyciągane nakształt długich niewyraźnych linii, dalej żóraw studzienny i koryto, w którem świeciła woda, a obok nich znów szereg śpiących ludzi i kilkunastu mołojców z gołemi szablami w ręku, przechadzających się wzdłuż owego szeregu.

— To moi ludzie, których w łyka wzięto— mruknął szlachcic. Ba! — dodał po chwili — żeby to byli moi, ale to książęcy. Dobrym byłem im wodzem, niema co mówić! Zawiodłem ich psu w gardło. Wstyd będzie oczy pokazać,

jeśli mnie Bóg wróci wolność. A wszystko przez co? przez amory i napitki. Co mnie było do tego, że się chamy żenią? Tyle miałem do roboty na tem weselu, ile na psiem. Wyrzekam się tego zdrajcy miodu, który włazi w nogi, nie w głowę. Wszystko złe na świecie z pijaństwa, bo gdyby nas byli trzeźwych napadli, byłbym jako żywo otrzymał wiktoryą i Bohuna w chlewie zamknął.

Tu wzrok pana Zagłoby padł znowu na chatę, w której spał watażka—i zatrzymał się na jej drzwiach.

— O śpij, złodzieju — mruknął — śpij! niech ci się przyśni, żeć dyabli łuszczą, co cię i tak nie minie. Chciałeś z mojej skóry przetak uczynić — sprobój tu wleść do mnie na górę, a obaczymy, czy ci twojej tak nie posiekam, że się i psom na buty nie zda. Żebym się tylko mógł ztąd wyrwać, żebym się mógł wyrwać! Ale jak?

Rzeczywiście zadanie było prawie nie do spełnienia. Cały majdan tak był zapchany ludźmi i końmi, że choćby pan Zagłoba zdołał wydostać się z chlewa, choćby zsunąwszy się z dachu, skoczył na jednego z tych koni, które stały tuż pod chlewem, nie zdołałby żadną

miarą dotrzeć nawet do wrot, a cóż dopiero wydostać się za wrota.

A jednak zdawało mu się, że dokonał większej połowy zadania: był wolny, uzbrojony i siedział pod strychem, jakoby w fortecy.

— Cóż u licha — myślał — czy po tom się z łyk uwolnił, żeby się na nich powiesić?

I znowu fortele poczęły mu huczyć w głowie, ale było ich takie mnóstwo, że ani rusz wybrać.

Tymczasem szarzało coraz bardziej. Okolice chaty poczęły się wychylać z cienia, dach chaty powlókł się jakoby srebrem. Już pan Zagłoba mógł dokładniej odróżnić pojedyncze grupy na majdanie, już dojrzał czerwoną barwę swych ludzi, leżących koło studni — i baranie kożuchy, pod któremi spali mołojcy wedle chaty.

Nagle jakaś postać podniosła się z szeregu spiących i poczęła iść wolnym krokiem przez majdan, zatrzymując się tu i owdzie koło ludzi i koni; chwilkę pogadała z mołojcami, pilnującemi jeńców i nakoniec zbliżyła się do chlewa. Pan Zagłoba sądził w pierwszej chwili, że to jest Bohun, zauważył bowiem, że stra-

żnicy rozmawiali z ową postacią, tak jak podwładni z przełożonym.

— Ej! — mruknął — żebym to miał teraz guldynkę w ręku, nauczyłbym cię, jak to nogami się nakrywać.

W tej chwili postać owa podniosła głowę i na twarz jej padł szary blask świtu — to nie był Bohun, ale sotnik Hołody, którego pan Zagłoba poznał natychmiast, bo go znał doskonale jeszcze z tych czasów, gdy dotrzymywał Bohunowi kompanii w Czehrynie.

— Chłopcy! — rzekł Hołody—a nie śpicie?

— Nie bat'ku, choć i chce się spać. Czasby nas zmienić.

— Zaraz was zmienią. A wraży syn nie uciekł?

— Oj, oj! Chyba dusza z niego uciekła, ojcze, bo się ani ruszył.

— Szczwana to liszka. A obaczcie no, co się z nim dzieje, bo on gotów się w ziemię zapaść.

— Zaraz! — odrzekło kilku mołojców, zbliżając się ku drzwiom chlewa.

— Stoczcie też i siana ze stropu. Konie wytrzeć! Ze wschodem ruszamy.

— Dobrze, batku.

Pan Zagłoba porzuciwszy co tchu swoje stanowisko przy dziurze w dachu, przyczołgał się do otworu w stropie. Jednocześnie usłyszał skrzyp drewnianej zawory i szelest słomy pod nogami mołojców. Serce biło mu młotem w piersi, a ręką ściskał głownię szabli, ponawiając sobie w duchu śluby, że prędzej da się spalić razem z chlewem, lub na sieczkę pociąć, niż żywcem wziąść. Spodziewał się też, że lada chwila mołojcy podniosą wrzask straszliwy, ale się omylił. Czas jakiś słychać było jak chodzili coraz to śpieszniej po całym chlewie, nareszcie jeden ozwał się:

— Jaki tam czort? nie mogę go zmacać! My go ot tu rzucili.

— Niesamowity, czy co? Skrzesz ognia Wasil, ciemno tu jak w lesie.

Nastała chwila milczenia, Wasil szukał widocznie hubki i krzesiwa, drugi zaś mołojec począł wołać zcicha:

— Pane szlachcic, odezwij się!

— Całuj psa w ucho! — mruknął Zagłoba.

W tem żelazo poczęło szczękać o krzemień, sypnął się rój iskier i rozświecił ciemne wnętrze chlewa i głowy mołojców przybrane w kapuzy, poczem zapadła ciemność jeszcze głębsza.

— Niema! niema! — wołały gorączkowe głosy.

Wówczas jeden z mołojców poskoczył ku drzwiom.

— Batku Hołody! batku Hołody!

— Co takiego? — pytał sotnik, ukazując się we drzwiach.

— Niema lacha!

— Jakto niema?

— W ziemię zapadł! Niema nigdzie. O Hospody pomiłuj! My ogień krzesali — niema!

— Nie może być. Oj, byłoby wam od atamana! Uciekł czy co? pospaliście się?

— Nie batku! my nie spali. Z chlewa on nie wyszedł naszą stroną.

— Cicho! nie budzić atamana — jeśli nie wyszedł, to musi gdzieś być. A wy wszędzie szukali?

— Wszędzie.

— A na stropie.

— Jak jemu było na strop leźć, kiedy był w łykach.

— Durny ty! Żeby on się nie rozwiązał, toby tu był. Szukać na stropie. Skzresagnia.

Sypnęły się znowu iskry. Wieść przeleciała wnet przez wszystkie straże. Poczęto się tłoczyć do chlewa z owym pośpiechem, zwyczajnym w nagłych razach; słychać było szybkie kroki, szybkie pytania i jeszcze szybsze odpowiedzi. Rady krzyżowały się jak miecze w boju.

— Na strop! na strop!

— A pilnuj z zewnątrz!

— Nie budzić atamana, bo będzie bieda!

— Niema drabiny!

— Przynieść drugą!

— Niema nigdzie!

— Skoczyć do chaty, czy tam niema?

— O lach przeklęty!

— Leźć po węgłach na dach, dachem się przedostać.

— Nie można, bo wystaje i podbity deskami.

— Przynieść spisy. Po spisach tędy wejdziemy. A sobaka! drabinę wciągnął.

— Przynieść spisy! — zabrzmiał głos Hołodego.

Mołojcy skoczyli po spisy, drudzy zaś popodnosili głowy ku stropowi. Już też rozpierzchłe światło wniknęło przez otwarte drzwi i do chlewa, a przy jego niepewnym blaskn

widać było kwadratowy otwór stropu czarny i cichy.

Z dołu ozwały się pojednawcze głosy:

— No, pane szlachcic! Spuść drabinę i zleź. I tak się nie wymkniesz, po co ludzi trudzić. Zleź, zleź!

Cisza.

— Ty mądry człowiek! żeby tobie to co pomogło, tak tyby siedział, ale że to tobie nie pomoże, tak ty zleziesz dobrowolnie — ty dobry!

Cisza.

— Zleź, a nie, to ci skórę ze łba zedrzemy, łbem na dół w gnój cię zrzucimy!

Pan Zagłoba pozostał równie głuchy na groźby, jak na pochlebstwa i siedział w ciemnościach jak borsuk w jamie, gotując się do zaciętej obrony. Tylko szablę coraz mocniej ściskał i sapał trochę i w duchu pacierz szeptał.

Tymczasem przyniesiono spisy, związano trzy w pęk i postawiono ostrzami ku otworowi. Panu Zagłobie przemknęła przez głowę myśl, czyby nie porwać ich i nie wciągnąć — ale pomyślał także, że dach może być za nizko

i że nie zdoła ich wciągnąć zupełnie. Zresztą przyniesionoby w tej chwili drugie.

Tymczasem cały chlew napełnił się mołojcami. Niektórzy świecili łuczywem, inni poznosili najrozmaitsze drągi i drabiny od wozów, które okazały się zakrótkie, więc wiązano je co duchu rzemieniami, bo po spisach trudno istotnie było się wspinać. Jednakże znaleźli się chętni.

— Ja pójdę — wołało kilka głosów.

— Czekać na drabinę! — rzekł Hołody.

— A co szkodzi, bat'ku, popróbować po spisach.

— Wasil wlezie! — on jak kot chodzi.

— To probuj.

A inni poczęli zaraz żartować:

— Ej ostrożnie! On szablę ma, szyję utnie— obaczysz.

— Sam za łeb złapie i wciągnie, a tam cię opatrzy jak niedźwiedź.

Wasil nie dał się stropić.

— On znaje — rzekł — że niechby on mnie palcem dotknął, czortaby mu ataman dał zjeść i wy braty.

Było to ostrzeżenie dla pana Zagłoby, który siedział cicho ani mruknął.

Lecz mołojcy, jako to zwykle między żołnierzami, wpadli już w dobry humor, bo całe zajście poczęło ich bawić, więc dalej przymawiać Wasilowi.

— Będzie jednym durnym mniej na świecie, na białym.

— On tam nie będzie zważał, jak my jemu zapłacim za twoją szyję. On śmiały mołojec.

— Ho! ho! On nie samowity. Czort jego wie w co on się tam już zmienił — to czarownik! Ty, Wasil, niewiadomo kogo tam znajdziesz w czeluści.

Wasil, który splunął już w dłonie i obejmował właśnie niemi spisy, wstrzymał się nagle.

— Na lacha pójdę — rzekł — na czorta nie.

Ale tymczasem związano drabiny i przystawiono je do otworu. Źle było i po nich wchodzić, bo się zaraz wygięły na związaniu i szczeble cienkie trzeszczały pod stopami, które na próbę na najniższym stawiono. Ale począł wchodzić sam Hołody, wchodząc zaś mówił:

— Ty panie szlachcic widzisz, że to nie żarty. Uparłeś się na górze siedzieć, to siedź,

ale się nie broń, bo my cię dostaniem i tak, choćby i cały chlew mieli rozebrać. Ty miej rozum!

Nakoniec głowa jego dotknęła czeluści i pogrążała się w niej zwolna. Nagle dał się słyszeć świst szabli, kozak krzyknął strasznie, zachwiał się i padł między mołojców, z rozwaloną na dwie połowy głową.

— Koli, koli! — zawrzasnęli mołojcy.

W całym chlewie powstał straszliwy zamęt, podniosły się krzyki, wołania, które zgłuszył grzmiący głos pana Zagłoby:

— Ha, złodzieje, ludojady, ha basałyki! do nogi was wytłukę szelmy parszywe! Poznajcie rycerską rękę. Ludzi uczciwych po nocy napadać! w chlewie szlachcica zamykać — ha łotry! W pojedynkę ze mną, w pojedynkę, albo i po dwóch! Chodźcie no sam! ale łby zostawcie w gnoju, bo poucinam, jakom żyw!

— Koli, koli! — wołali mołojcy.

— Chlew spalemy.

— Ja sam spalę, bycze ogony! byle z wami.

— Po kilku! po kilku na raz — krzyknął stary kozak. Trzymać drabiny! spisami podpierać! przynieść snopów na łby i dalej!! Musiemy go dostać.

To rzekłszy ruszył w górę, a razem z nim dwóch towarzyszów, szczeble poczęły się łamać, drabiny wygięły się jeszcze mocniej, ale przeszło dwadzieścia krzepkich rąk pochwyciło je za drągi, w górze popodpierano spisami. Inni powtykali ostrza spis w otwór, by cięcia szabli zahamować.

W kilka chwil później, trzy nowe ciała spadły na głowy stojącym w dole.

Pan Zagłoba rozgrzany tryumfem, ryczał jak bawół i zionął takie przekleństwa, jakich świat nie słyszał i od jakich dusze niezawodnie zamarłyby w mołojcach, gdyby nie to, że wściekłość poczęła ich ogarniać. Niektórzy kłuli spisami strop, inni darli się na drabinę, chociaż w czeluści czekała śmierć pewna. Nagle krzyk się zrobił przy drzwiach i do chlewa wpadł sam Bohun.

Był bez czapki, tylko w szarawach i koszuli, w ręku miał gołą szablę, w oczach płomień.

— Przez dach psiawiary! — krzyknął. Poszycie rozerwać i żywcem brać!

A Zagłoba ujrzawszy go ryczał.

— Chamie! pójdź-no tu tylko. Nos i uszy ci obetnę, gardła nie wezmę, bo to kata własność. A co! tchórz cię obleciał? boisz się parobku!

Związać mi tego szelmę, a łaskę znajdziecie! Cóż wisielcze! — cóż kukło żydowska, sam tu. Wychyl jeno łba nad strop! Chodź, chodź! będę ci rad — poczęstuję, tak żeć się przypomni i twój ojciec dyabeł i twoja mać gamratka!

Tymczasem krokwie dachu jęły trzeszczyć. Widocznie mołojcy dostali się nań i teraz rwali już poszycie.

Zagłoba dosłyszał, ale strach nie odjął mu sił. Był jakby spity bitwą i krwią.

— Skoczę w kąt i tam zginę — pomyślał.

Ale w tej chwili na całym majdanie rozległy się strzały, a jednocześnie kilkunastu mołojców wpadło do chlewa.

— Batku! batku! krzyczeli w niebogłosy— bywaj!!

Pan Zagłoba w pierwszej chwili nie zrozumiał co się stało — i zdumiał. Spojrzy przez czeluść na dół, aż tam nikogo już niema. Krokwie w dachu nie trzeszczą.

— Co to jest? co się stało? — zawołał głośno. Ha! rozumiem! Chcą chlew puścić z ogniem i z pistoletów do dachu palą.

Tymczasem na zewnątrz słychać było coraz straszniejsze wrzaski ludzkie, tętęt koni. Strzały zmieszane z wyciem, szczęk żelaza: Boże! to

chyba bitwa! — pomyślał pan Zagłoba i skoczył do swojej dziury w dachu.

Spojrzał — i nogi ugięły się pod nim z radości.

Na majdanie wrzała bitwa, a raczej ujrzał pan Zagłoba straszliwy pogrom bohunowych mołojców. Napadnięci znienacka, rażeni ogniem z pistoletów, przykładanych do łbów i piersi, przyparci do płotów, do chaty i do stodoły, cięci mieczami, pchani falą piersi końskich, miażdżeni kopytami, mołojcy ginęli nie dając prawie oporu. Szeregi żołnierzy przybranych w krasne barwy, siekąc zapamiętale i naciskając uciekających, nie zezwoliły im ni się sformować, ni szablą się złożyć, ni odetchnąć, ni dosiąść koni. Broniły się tylko pojedyńcze kupy; inni dopinali wśród wrzawy i zamętu i dymu rozluźnione popręgi kulbak i ginęli zanim zdołali nogą dotknąć strzemienia — inni rzucając spisy i szable, zmykali pod płoty, więźli między żerdziami i przeskakiwali przez wierzch, wrzeszcząc i wyjąc nieludzkiemi głosami. Zdawało się nieszczęsnym, że sam książę Jeremi spadł na nich niespodzianie jak orzeł, że druzgoce ich cała jego potęga. Nie mieli czasu się opamiętać, obejrzeć: okrzyki zwycięzców

i świst szabel i huki wystrzałów gnały ich jak burza, gorący oddech koński oblewał im karki: „ludy spasajtes!“ rozległo się ze wszystkich stron — „bij zabij!“ — odpowiadali napastnicy.

I dojrzał nakoniec pan Zagłoba małego pana Wołodyjowskiego, jak stojąc wedle wrot na czele kilkunastu żołnierzy, głosem i buławą wydawał innym rozkazy, a niekiedy rzucał się na swym gniadym koniu w zamęt i wówczas ledwo się złożył, ledwie uderzył, ledwie się zwrócił, już padał człowiek, nawet i nie wydawszy okrzyku. O bo mistrz to był nad mistrzami, mały pan Wołodyjowski! — i żołnierz z krwi i kości, więc bitwy nie tracił z oka, ale poprawiwszy tu i owdzie, znowu się wracał — i patrzył i poprawiał, właśnie jako ów, który kapelą kierując, czasem sam zagra, czasem grać przestaje, a nad wszystkiemi ustawicznie czuwa, by każdy swoje odegrał.

Co widząc pan Zagłoba, począł nogami tupać w deski stropu, aż kłęby kurzu powstały, w ręce klaskać i ryczyć:

— Bij psubraty, bij, morduj, ze skóry łup! siekaj, tnij, wal, rżnij, morduj! Dalejże w nich, dalej! na szable ich i w pień!

Tak krzyczał pan Zagłoba i rzucał się, oczy krwią mu zaszły z wysilenia i zaniewidział na chwilę, ale gdy znów wzrok odzyskał ujrzał jeszcze piękniejszy widok — oto w kupie kilkudziesięciu mołojców pomykał na koniu jak błyskawica Bohun, bez czapki, w koszuli tylko i hajdawerach, a za nim na czele żołnierzy mały pan Wołodyjowski. „Bij!“ — krzyknął Zagłoba — „to Bohun!“ — ale głos nie doszedł; tymczasem Bohun z mołojcami przez płot, pan Wołodyjowski przez płot, niektórzy zostali — innym konie zwinęły się w skoku. Spojrzy Zagłoba: Bohun na równinę, pan Wołodyjowski na równinę. Wnet rozproszyli się i mołojcy w ucieczce i żołnierze w biegu, rozpoczął się pościg pojedyńczy. Zagłobie dech zamarł w piersi, oczy ledwie mu z powiek nie wyskoczą, cóż bowiem widzi? Oto jedzie już pan Wołodyjowski na karku Bohuna, jak ogar na dziku, watażka zwraca głowę, nadstawia szablę, — „biją się!“ — krzyczy Zagłoba — chwila jeszcze: i Bohun pada wraz z koniem, a pan Wołodyjowski tratując po nim, pędzi za innemi.

Ale Bohun żyw, bo zrywa się z ziemi i poku skałom zarośniętym haszczami.

— Trzymaj! trzymaj! — ryczy Zagłoba, to Bohun!

Wtem pędzi nowa wataha mołojców, która aż do tej chwili przemykała się z drugiej strony skał, a teraz odkryta, szuka nowej drogi dla ucieczki. Za nią w odległości pół stai pędzą żołnierze. Wataha owa dogania Bohuna, ogarnia go, porywa i uprowadza ze sobą. Nakoniec ginie z oczu w zakrętach parowu, a za nią giną i żołnierze.

Na majdanie zapanowała cisza i pustka, bo nawet i żołnierze pana Zagłoby odbici przez Wołodyjowskiego, dopadłszy koni po mołojcach, pognali wraz z innemi za rozproszonym nieprzyjacielem.

Pan Zagłoba spuścił drabinę, zlazł z góry i wyszedłszy z chlewa na majdan, rzekł:

— Wolnym jest....

To rzekłszy, począł rozglądać się naokoło. Na majdanie leżało mnóstwo trupów zaporozców i kilkanaście żołnierskich. Szlachcic chodził między niemi zwolna i oglądał każdego starannie, nakoniec przykląkł nad jednym.

Po chwili podniósł się z blaszaną manierką w ręku.

— Pełna — mruknął.

I przyłożywszy do ust, przechylił głowę.

— Niezła!

Znów się obejrzał naokoło i znów powtórzył, ale już wiele raźniejszym głosem:

— Wolnym jest.

Poczem poszedł do chaty, na progu natknął się na trupa starego bondara, którego mołojcy zamordowali, i zniknął w wnętrzu. Gdy wyszedł, na okół bioder, na kubraku zawalanym w nawozie, świecił mu pas Bohuna, gęsto przeszywany złotem, za pasem zaś nóż z wielkim rubinem w głowni.

— Bóg wynagrodził męztwo — mruczał — bo i trzosik dość pełny. Ha zbój plugawy! Mam nadzieję, że się nie wymknie! Ale ten mały fircyk! niech go kule biją. Cięta to sztuka, jak osa. Wiedziałem, że dobry żołnierz, ale żeby tak sobie na Bohunie jechał, jak na łysej kobyle, tegom się po nim nie spodziewał. Że też to w tak małem ciele, taki może być animusz i wigor. Bohun mógłby go u pasa na sznurku nosić, jak kozik. Niechże go kule biją! — albo lepiej: niech mu Bóg szczęści! Musiał Bohuna nie poznać, bo byłby go dokończył. Fu! jak tu prochem pachnie, aż w nozdrzech wierci! Alem się też z takich terminów

wykręcił, w jakowych jeszcze nie bywałem. Chwała bądź Bogu! No, no, ale żeby tak na Bohunie jechać! Muszę się temu Wołodyjowskiemu jeszcze przypatrzyć, bo chyba dyabeł w nim siedzi.

Tak rozprawiając, siadł pan Zagłoba na progu chlewa i czekał.

Tymczasem zdala na równinie ukazali się żołnierze, wracający z pogromu, a na czele jechał pan Wołodyjowski. Ujrzawszy Zagłobę przyśpieszył biegu i zeskoczywszy z konia szedł ku niemu.

— Waćpana to jeszcze oglądam? — pytał zdala.

— Mnie we własnej osobie! — rzekł pan Zagłoba — Bóg waści zapłać, iżeś z pomocą przybył.

— Chwalić Boga, że w porę — odpowiedział mały rycerz, ściskając z radością dłoń pana Zagłoby.

— Ale zkądżeś się waszmość o opresyi, w jakiej tu zostawałem, dowiedział?

— Chłopi dali znać z tego chutoru.

— O! a ja myślałem, że mnie zdradzili.

— Gdzietam, to dobrzy ludzie. Ledwie z życiem uszli: chłopak i dziewczyna, a co się z resztą weselników stało, nie wiedzą.

— Jeśli nie zdrajcy, to od kozaków pobici. Chutornik leży wedle chaty. Ale mniejsza z tem. Mów że waść czy Bohun żyw? uciekł?

— Alboż to był Bohun?

— Ten bez czapki, w koszuli i hajdawerach, któregoś waść z koniem obalił.

— Ciąłem go w dłoń; bogdaj to licho, żem go nie poznał. Ale waść, ale waść, mości Zagłobo, cóżeś to waszmość najlepszego uczynił?

— Com uczynił? — powtórzył pan Zagłoba. Chodź, panie Michale, i patrz!

To rzekłszy, ujął go za rękę i wprowadził do chlewa.

— Patrz — powtórzył.

Pan Wołodyjowski nie widział przez chwilę nic, bo wszedł ze światła, ale gdy już oczy jego oswoiły się nieco z ciemnością, dojrzał ciała leżące nieruchomie na gnoju.

— A tych ludzi kto narżnął?—pytał zdziwiony.

— Ja! — rzekł Zagłoba — pytałeś waść com uczynił — więc masz.

— No! — rzekł młody oficer kręcąc głową. A jakim-że to sposobem?

— Tam się broniłem na górze, a oni szturmowali mnie z dołu i przez dach. Nie wiem jak długo to było, bo w bitwie człowiek czasu nie liczy. Bohun to był, Bohun ze srogą potęgą i z wyborem ludzi. Popamięta on waćpana, popamięta i mnie! Innym czasem ci opowiem, jako w niewolę popadłem, com wytrzymał i jakom Bohuna splantował, bom i na języki się z nim próbował. Alem dziś tak fatigatus, że ledwie na nogach się trzymam.

— No — powtórzył pan Wołodyjowski — nie ma co mówić, mężnie waść stawałeś; jeno to powiem, żeś lepszy rębacz niż wódz.

— Panie Michale — rzecze szlachcic — nie pora rozprawiać. Lepiej Bogu dziękujmy, że nam obydwom tak wielką dziś spuścił wiktoryę, o której pamięć nieprędko między ludźmi zaginie.

Pan Wołodyjowski spojrzał zdumiony na Zagłobę. Jakoś dotąd wydawało mu się, że to on sam odniósł ową wiktoryę, którą pan Zagłoba widocznie chciał się z nim podzielić.

Ale popatrzył tylko na szlachcica, pokręcił głową i rzekł:

— Niechże i tak będzie.

W godzinę później obaj przyjaciele, na czele połączonych oddziałów wyruszyli ku Jarmolińcom.

Z ludzi Zagłoby nie brakło prawie nikogo, gdyż w śnie zaskoczeni nie stawiali oporu — Bohun zaś wysłany głównie po języka, kazał żywcem brać nie mordować.

ROZDZIAŁ VIII.

Bohun lubo wódz mężny i przezorny nie miał szczęścia w tej wyprawie, którą pod rzekomą dywizyę księcia Jeremiego przedsięwziął. Utwierdził się tylko w przekonaniu, że książę istotnie wyruszył całą potęgą przeciw Krzywonosowi, bo tak mu powiadali wzięci w niewolę żołnierze pana Zagłoby, którzy sami wierzyli w to najświęciej, iż książę ciągnie za niemi. Nie pozostawało więc nic innego nieszczęsnemu atamanowi, jak cofać się co prędzej do Krzywonosa, ale zadanie nie było łatwe. Zaledwie trzeciego dnia zebrała się koło niego wataha złożona z dwustu kilkunastu mołojców; inni albo w boju polegli, albo zostali ranni na polu potyczki, albo błąkali się jeszcze wśród jarów i oczeretów, nie wiedząc co czynić jak się obrócić, dokąd iść. A i ta kupa przy Bohunie nie na wiele była przydatna, bo zbita,

za lada alarmem skłonna do ucieczki, zdemoralizowana, przerażona. A byłto przecie wybór mołojców; lepszych żołnierzy trudno było w całej Siczy znaleść. Ale mołojcy nie wiedzieli z jak małą siłą pan Wołodyjowski na nich uderzył i że, dzięki tylko niespodzianemu napadowi na śpiących i nieprzygotowanych, taką klęskę mógł zadać i wierzyli najświęciej, że mieli sprawę jeśli nie z samym księciem, to przynajmniej z potężnym, kilkakroć liczniejszym podjazdem. Bohun wrzał jak ogień: cięty w rękę, stratowany, chory, pobity i wroga zaklętego z rąk wypuścił i sławę nadwerężył, bo już ci mołojcy, którzy w wiliję klęski, do Krymu, do piekła i na samego księcia byliby ślepo za nim poszli, teraz stracili wiarę, stracili ducha i o tem tylko myśleli, jakby gardła całe z pogromu wynieść. A przecie Bohun uczynił wszystko, co wódz uczynić powinien, niczego nie zaniedbał, straże opodal chutoru porozstawiał i spoczywał dlatego tylko, że konie które z pod Kamieńca prawie jednym tchem przyszły, całkiem niezdatne były do drogi. Ale pan Wołodyjowski, któremu życie młode zbiegło w podejściach i łowach na tatarów, podszedł jak wilk nocą pod straże, pochwytał je

nim zdołały krzyknąć lub wystrzelić — i napadł tak, że oto on, Bohun, w hajdawerach tylko i w koszuli ujść potrafił. Gdy o tem watażka myślał, świat mu czerniał w oczach, w głowie się przewracało i rozpacz kąsała mu duszę jak pies wściekły. On, który na Czarnem morzu na galery tureckie się rzucał; on, który aż do Perekopu na karkach tatarskich dojeżdżał i chanowi w oczy pożogą ałusów świecił; on, który księciu pod ręką, przy samych Łubniach, regiment w Wasiłówce wyciął, musiał uciekać w koszuli i bez czapki — i bez szabli, bo i tę w spotkaniu z małym rycerzem utracił. To też, gdy nikt nie patrzył, na postojach i popasach, watażka chwytał się za głowę i krzyczał: „Gdzie moja sława mołojecka, gdzie moja szabla-drużka?“ A gdy tak krzyczał, porywał go obłęd dziki i spijał się jak nie Boże stworzenie, poczem na księcia chciał iść, na całą siłę jego uderzyć — i zginąć i przepaść na wieki.

On chciał — ale mołojcy nie chcieli. „Ubij batku nie pójdziemy!“ — odpowiadali ponuro na jego wybuchy — i napróżno mu było w napadach szaleństwa szablą ich siec, z pistoletów twarze osmalać — nie chcieli, nie poszli.

Rzekłbyś ziemia usuwała się z pod nóg atamana, bo nie tu jeszcze był koniec jego nieszczęść. Bojąc się dla prawdopodobnej pogoni uchodzić wprost na południe i sądząc, że może Krzywonos już oblężenia zaniechał, rzucił się sam ku wschodowi i trafił na oddział pana Podbipięty. Ale czujny jak żóraw pan Longinus nie dał się zejść, pierwszy uderzył na watażkę, rozbił go tem łatwiej, że mołojcy bić się nie chcieli — i podał w ręce panu Skrzetuskiemu, a ten go najpotężniej rozgromił, tak że Bohun po długiem błądzeniu w stepach, w kilkanaście zaledwie koni, bez sławy, bez mołojców, bez zdobyczy i bez języków, dotarł nareszcie do Krzywonosa.

Lecz dziki Krzywonos, tak straszny zwykle dla podwładnych, którym nie dopisało szczęście, tym razem nie rozgniewał się wcale. Wiedział z własnego doświadczenia, co to sprawa z Jeremim, więc przybołubił jeszcze Bohuna, pocieszał i uspokajał, a gdy watażka zapadł na złą gorączkę, kazał go strzedz i leczyć i pilnować jak oka w głowie.

Tymczasem czterej książęcy rycerze napełniwszy kraj grozą i przestrachem, stanęli szczęśliwie z powrotem w Jarmolińcach, gdzie

zatrzymali się na dni kilka, by ludziom i koniom dać odpoczynek. Tam gdy stanęli w jednej kwaterze, zdawał kolejno każdy panu Skrzetuskiemu sprawę z tego, co go spotkało i czego dokonał — poczem zasiedli przy gąsiorku, aby w przyjacielskiem opowiadaniu ulżyć sercom i dać folgę wzajemnej ciekawości.

Ale wówczas pan Zagłoba mało komu pozwolił przyjść do słowa. Nie chciał słuchać, pragnął, by jego tylko słuchano, jakoż pokazało się, że najwięcej miał do opowiadania.

— Mości panowie! — mówił — popadłem w niewolę — prawda jest! — ale fortuna kołem się toczy. Bohun całe życie bijał, a my dziś jego pobili. Tak to, tak! zwyczajnie na wojnie! Dziś ty garbujesz, jutro ciebie garbują. Ale Bohuna za to Bóg skarał, iż nas śpiących smaczno snem sprawiedliwego napadł i w tak bezecny sposób rozbudził. Ho, ho! myślał, że mnie swoim plugawym językiem przestraszy, a tu mówię waściom, jakem go przycisnął, tak zaraz stracił fantazyę, zmieszał się i wygadał to, czego nie chciał. Co tu długo mówić, żebym w niewolę nie wpadł, nie bylibyśmy mu obaj z panem Michałem klęski zadali, mówię: obaj, bo że w tym terminie ma-

gna pars fui, nie przestanę twierdzić do śmierci. Tak mi Boże daj zdrowie! Słuchajcie dalej moich racyi: żebyśmy go z panem Michałem nie pobili, nie byłby mu podbił pięt pan Podbipięta, dalej pan Skrzetuski, a nakoniec, żebyśmy go nie rozgromili, byłby on nas rozgromił — co że się nie stało, kto przyczyną?

— A z waścią, to jak z liszką — rzecze pan Longinus — tu ogonem machniesz, tam się umkniesz, a zawsze się wykręcisz.

— Głupi ogar, co za ogonem bieży, bo i nie dogoni i niczego poczciwego się nie dowącha, a w ostatku wiatr straci. Ilużeś waść ludzi postradał?

— Ot, z dwunastu wszystkiego, a kilku rannych, już tam nie bardzo nas bili.

— A waszmość, panie Michale?

— Ze trzydziestu, bom na nieprzygotowanych uderzył.

— A wasze, panie poruczniku?

— Tylu, ilu pan Longinus.

— A ja dwóch. Powiedźcież sami, kto lepszy wódz? Ot, co jest! Po co żeśmy tu przyjechali? po służbie książęcej, wieści o Krzywonosie nałapać, otóż powiem waszmościom, że jam się pierwszy o nim dowiedział i z najlep-

szych ust, bo od Bohuna, i wiem, że pod Kamieńcem stoi, ale oblężenia myśli zaniechać, bo go tchórz obleciał. To wiem de publicis, ale wiem też jeszcze i coś innego, od czego radość wstąpi waćpaństwu w serca i o czem dotąd nie mówiłem dlatego, że chciałem, abyśmy w kupie o tem radzili; byłem też dotąd nie zdrów, bo mnie fatygi obaliły i od tego zbójeckiego wiązania w kij, wnętrzności we mnie rebelizowały. Myślałem, że mnie krew zaleje.

— Mów-że waszmość na miłość bozką — zawołał Wołodyjowski. Zali-żeś co o naszej niebodze słyszał?

— Tak jest, niech jej Bóg błogosławi — rzekł Zagłoba.

Pan Skrzetuski podniósł się na całą swą wysokość i usiadł natychmiast — i nastała taka cisza, że słychać było brzęczenie komarów na okienku, aż pan Zagłoba zabrał głos znowu:

— Żyje ona, wiem to napewno — i jest w bohunowem ręku. Moi mości panowie, straszne to ręce, ale przecie Bóg nie pozwolił, aby ją krzywda lub hańba spotkała. Moi mości pa-

nowie, to mnie sam Bohun powiadał, którenby prędzej czem innem chełpić się gotów.

— Jak to może być? jak to może być? — pytał gorączkowo Skrzetuski.

— Jeśli łżę, niech mnie piorun zapali — odrzekł poważnie Zagłoba — bo to jest święta rzecz. Słuchajcie, co mnie Bohun mówił, gdy sobie chciał drwić ze mnie, nimem go do ostatka splantował: „Cóżeś to myślał (prawi), żeś dla chłopa ją do Baru przywiózł! że to ja chłop (prawi), abym ją siłą niewolił, czy to mnie nie stać, by mnie w Kijowie w cerkwi ślub dali i czerńcy (powiada) żeby mi śpiewali, i żeby trzysta świec mi palili — mnie atamanowi! hetmanowi!“ — i nogami nademną tupał i nożem mi groził, bo myślał, że mnie ustraszy, alem mu powiedział, żeby psy straszył.

Skrzetuski już się opamiętał, tylko mu się mnisza twarz rozświeciła i grała na niej napowrót obawa, nadzieja, radość i niepewność.

— Gdzie ona tedy jest? gdzie jest? — pytał z pośpiechem. Jeśliś się i tego waść dowiedział, toś z nieba spadł.

— Tego on mi nie mówił, ale mądrej głowie dość dwie słowie. Uważcie waszmościowie, że ciągle drwił ze mnie, nimem go splantował

i tak znowu powiada: „Naprzód, powiada, do Krzywonosa cię zawiodę, a potem na wesele-bym cię prosił, ale teraz wojna, więc to jeszcze nieprędko“. Uważcie waszmościowie: jeszcze nie prędko! — zatem mamy czas! Powtóre, uważcie także: naprzód do Krzywonosa, potem na wesele, więc żadną miarą niema jej u Krzywonosa, ale gdzieś dalej, gdzie wojna nie doszła.

— Złoty z waści człowiek! — zawołał Wołodyjowski.

— Myślałem tedy naprzód — mówił mile połechtany Zagłoba, — że może ją do Kijowa odesłał, ale nie, bo mi rzekł, że na wesele do Kijowa z nią pojedzie; jeżeli tedy pojedzie, to znaczy, że jej tam niema. I za mądry on na to, by ją tam wozić, bo gdyby się Chmielnicki ku Czerwonej Rusi posunął, to Kijowa łatwo litewskie wojska mogą dostać.

— Prawda! prawda! — wykrzyknął pan Longinus. Ot, jak mnie Bóg miły, niejeden mógłby się z waścią na rozum pomieniać.

— Jeno jabym się nie z każdym mieniał, od strachu, abym zaś boćwiny zamiast rozumu nie kupił, coby mi się między litwą snadnie przytrafić mogło.

— Już swoje zaczyna — rzekł Longinus.

— Pozwól-że waść skończyć. Tak tedy niema jej u Krzywonosa, ni w Kijowie, więc gdzie jest?

— W tem sęk?

— Jeśli waść się domyślasz, to powiedz prędzej, bo mnie ogień pali!—krzyknął Skrzetuski.

— Za Jampolem! — rzekł Zagłoba i potoczył tryumfalnie swojem zdrowem okiem.

— Zkąd waść wiesz? — pytał Wołodyjowski.

— Zkąd wiem? Ot zkąd: siedziałem w chlewie, bo mnie w chlewie ów zbój kazał zamknąć, żeby go wieprze za to zećpały! a naokoło gadali ze sobą kozacy. Przykładam tedy ucho do ściany i co słyszę: jeden mówi: „Teraz chyba za Jampol ataman pojedzie“—a drugi na to: „Milcz, jeśli ci młoda głowa miła.“— Szyję daję, że ona jest za Jampolem.

— O! jako Bóg na niebie! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— Na Dzikie pola przecie jej nie zaprowadził, więc wedle mojej głowy musiał ją ukryć gdzieś między Jampolem a Jahorlikiem. Byłem też raz w tamtych stronach, gdy się królew-

scy i chanowi sędzie zjeżdzali, bo w Jahorliku, jak waćpaństwu wiadomo, pograniczne sprawy się sądzą o zabrane stada, których spraw nigdy nie brak. Pełno tam jest nad całym Dniestrem jarów i zakrytych miejsc i różnych komyszy, w których żyją w chutorach ludzie, co żadnej zwierzchności nie znają, mieszkając w pustyni i bliźnich nie widując. U takich to dzikich pustelników, on pewnie ją ukrył, bo mu tam było i najbezpieczniej.

— Ba, ale jak się tam dostać teraz, gdyż drogę Krzywonos zagradza — rzecze pan Longinus. Jampol to też, jak słyszałem, gniazdo rozbójnicze.

Na to Skrzetuski:

— Choćbym i dziesięć razy gardło miał stracić, będę ją ratował. Pójdę przebrany i będę szukał —Bóg mnie pomoże — znajdę.

— Ja z tobą, Janie! — rzecze pan Wołodyjowski.

— I ja po dziadowsku z teorbanem. Wierzajcie mi waszmościowie, że najwięcej mam między wami eksperyencyi, a że mnie teorban z ostatkiem obrzydł, więc wezmę dudy.

— Toż i ja się na coś przydam, braciaszki? — rzekł pan Longinus.

— I pewnie,—odpowiedział pan Zagłoba.— Jak będzie nam trzeba przez Dniestr się przebrać, to waćpan będziesz nas przenosił, jako święty Krysztof.

— Dziękuję z duszy waszmościom — rzekł Skrzetuski — i gotowość waszą chętnem przyjmuję sercem. Niemasz to w przeciwnościach nad przyjaciół wiernych, których, jak widzę, nie pozbawiła mnie Opatrzność. Daj-że mnie wielki Boże odsłużyć waszmościom zdrowiem i mieniem.

— Wszyscy my jako jeden mąż!—wykrzyknął Zagłoba. — Bóg zgodę pochwala i obaczycie, iż frukta naszych prac niedługo będziemy oglądali.

— To już nie pozostaje mnie nic innego — mówił po chwili milczenia Skrzetuski, jak chorągiewkę księciu odprowadzić i zaraz w kompanii ruszyć. Pójdziem Dniestrem, hen, na Jampol, aż do Jahorlika, i wszędzie będziem szukali. A gdy, jak mam nadzieję, Chmielnicki już musi być zniesiony, lub nim dojdziemy do księcia, zniesiony będzie, przeto i służba publiczna nie staje nam na przeszkodzie. Pewnie chorągwie ruszą na Ukrainę, by buntu dogasić, ale się tam już bez nas obejdzie.

— A poczekajcie waszmościowie — rzecze Wołodyjowski — pewnie po Chmielnickim na Krzywonosa przyjdzie kolej, może więc razem z chorągwiami ku Jampolowi ruszymy.

— Nie, nam tam trzeba być pierwej, — odparł Zagłoba — ale najpierwej odprowadzić chorągwie, by mieć wolne ręce. Spodziewam się też, że książę będzie z nas contentus.

— Szczególniej z waćpana.

— Tak jest — bo mu najlepsze wieści przywożę. Wierzaj mi waćpan, iż nagrody się spodziewam.

— Więc tedy w drogę?

— Do jutra musimy spocząć — rzekł Wołodyjowski. Zresztą niech Skrzetuski rozkazuje, on tu wodzem, ale ja przestrzegam, iż jeśli dziś ruszymy, konie mnie wszystkie popadają.

— Wiem, że to jest niepodobieństwo — rzecze Skrzetuski, ale myślę, iż po dobrych obrokach jutro możemy.

Jakoż nazajutrz ruszono. Wedle ordynansów książęcych, mieli się wrócić do Zbaraża i tam czekać dalszych rozkazów. Szli więc na Kuźmin, w bok od Felsztyna ku Wołoczyskom, zkąd na Chlebanówkę wiódł stary gościniec

do Zbaraża. Drogę mieli przykrą, bo padały deszcze, ale spokojną i tylko pan Longinus, idący w sto koni naprzód, rozgromił kilka kup swawolnych, które się na tyłach wojsk regimentarskich zebrały. Dopiero w Wołoczyskach zatrzymali się znów na nocny wypoczynek.

Ale zaledwie zasnęli snem smacznym po długiej drodze, zbudził ich alarm — i straże dały znać, że jakiś konny oddział się zbliża. Wnet jednak przyszła wieść, że to wierszułłowa tatarska chorągiew, zatem swoi. Zagłoba, pan Longinus i mały Wołodyjowski natychmiast zebrali się w izbie Skrzetuskiego, a w ślad za niemi, wpadł jak wicher oficer z pod lekkiego znaku, zziajany, cały pokryty błotem, na którego spojrzawszy Skrzetuski, wykrzyknął:

— Wierszułł!

— Jam... jest! — mówił przybyły, nie mogąc oddechu złapać.

— Od księcia?

— Tak!... O tchu! tchu!

— Jakie wieści. Już po Chmielnickim?

— Już... po... Rzeczypospolitej!

— Na rany Chrystusa, co waść gadasz? Klęska?

— Klęska, hańba, sromota!... bez bitwy... Popłoch!... O! o!

— Uszom się nie chce wierzyć. Mów-że, mów na Boga żywego!... Regimentarze?...

— Uciekli.

— Gdzie nasz książę?

— Uchodzi.... bez wojska... Ja tu od księcia... rozkaz... do Lwowa natychmiast... idą za nami.

— Kto? Wierszułł, Wierszułł! Opamiętaj się człowieku! Kto?

— Chmielnicki, tatarzy.

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!— zawołał Zagłoba — ziemia się rozstępuje.

Ale Skrzetuski zrozumiał już o co chodzi.

— Na potem pytania — rzekł — teraz na koń!

— Na koń, na koń!

Kopyta koni pod wierszułłowemi tatarami szczękały już przed oknami, mieszkańcy zbudzeni nadejściem wojska, wychodzili z domów z latarkami i pochodniami w ręku. Wieść przeleciała całe miasto jak błyskawica. Wnet uderzono we dzwony na trwogę. Ciche przed chwilą miasteczko napełniło się zgiełkiem, tętętem koni, okrzykami komendy i wrzaskiem

żydowskim. Mieszkańcy chcieli uchodzić wraz z wojskiem, zaprzęgano wozy, ładowano na nie dzieci, żony, pierzyny; burmistrz na czele kilku mieszczan, przyszedł błagać Skrzetuskiego, by nie odjeżdżał naprzód i odprowadził mieszkańców chociaż do Tarnopola, ale pan Skrzetuski i słuchać go nie chciał, mając wyraźny rozkaz, co tchu ruszać do Lwowa.

Ruszyli tedy i dopiero w drodze Wierszułł ochłonąwszy, opowiadał jak i co się stało.

— Jak Rzeczpospolita Rzeczpospolitą — mówił—nigdy nie poniosła takiej klęski. Nic Cecora, nic Żółte Wody, nic Korsuń!

A Skrzetuski, Wołodyjowski, pan Longinus Podbipięta aż na karki koniom się kładli, to się za głowy brali, to ręce ku niebu podnosili.

— Rzecz ludzką wiarę przechodzi — mówili — gdzież był książę?

— Opuszczony, od wszystkiego umyślnie usunięty, swoją nawet dywizyą nie władał.

— Kto miał komendę?

— Nikt i wszyscy. Dawno służę, na wojnie zęby zjadłem, jeszczem takich wojsk i takich wodzów nie widział.

Zagłoba, który nie miał wielkiego afektu dla Wierszułła i mało go znał, począł głową kręcić i cmokać — nakoniec rzekł:

— Mój mości panie! czyli się waćpanu w oczach tylko nie pomieszało, lub czyś częściowej porażki za ogólną klęskę nie poczytał, bo to, co powiadasz, całkiem imaginacyę przechodzi.

— Że przechodzi, przyznaję, i powiem więcej waści, że szyję bym sobie dał z radością uciąć, gdyby jakim cudem pokazało się, iż się mylę.

— Bo jakim-żeś waść sposobem pierwszy po klęsce w Wołoczyskach stanął? Przecię nie chcę przypuścić, żebyś pierwszy dał drała? Gdzieś są tedy wojska? którędy uciekają? co się z niemi stało? dlaczego uciekający nie uprzedzili waćpana? Na wszystkie owe kwestye napróżno szukam responsu!

Wierszułł w każdym innym czasie nie byłby puścił płazem takich pytań, ale w tej chwili nie mógł myśleć o niczem więcej, jak o klęsce, więc odrzekł tylko:

— Jam pierwszy stanął w Wołoczyskach, gdyż inni uchodzą na Ożygowce, a mnie książę umyślnie pchnął w stronę, gdzie się waćpa-

nów spodziewał, aby was nawałnica nie ogarnęła, gdybyście się zapóźno dowiedzieli, a powtóre dlatego, że pięćset koni, które macie, to teraz nie mała dla niego pociecha, bo dywizya w większej części wyginęła, lub rozproszona.

— Dziwne to rzeczy! — mruknął Zagłoba.

— Strach pomyśleć, desperacya ogarnia, serce się kraje, łzy płyną! — mówił łamiąc ręce Wołodyjowski. Ojczyzna zgubiona, niesława po śmierci — takie wojska rozproszone!... zatracone. Nie może być inaczej, tylko koniec świata i sąd ostateczny się zbliża!

— Nie przerywajcie mu — rzekł Skrzetuski — pozwólcie, aby wszystko opowiedział.

Wierszułł zamilkł, jakby siły zbierał, przez chwilę słychać było tylko pluskanie kopyt w błocie, bo deszcz padał. Noc była jeszcze głęboka i ciemna bardzo, bo chmurna, a w tych ciemnościach, w tym dżdżu, dziwnie złowrogo brzmiały słowa Wierszułła, który tak mówić począł:

— Gdybym się nie spodziewał, że w boju polegnę, tobym chyba rozum utracił. Mówiliście waszmościowie o sądzie ostatecznym — i ja tak mniemam, że wprędce on już nastąpi— gdyż wszystko się rozprzęga, złość bierze gó-

rę nad cnotą i antychryst już chodzi po świecie. Wyście nie patrzyli na to, co się stało — ale jeśli nawet relacyi o tem znieść nie możecie — cóż ja, którym klęskę i niezmierną hańbę własnemi oczyma oglądał! Bóg nam dał szczęśliwy początek w tej wojnie. Nasz książę otrzymawszy pod Czołhańskim Kamieniem sprawiedliwość z pana Łaszcza, resztę puścił w niepamięć i pogodził się z księciem Dominikiem. Cieszyliśmy się wszyscy z tej concordyi — jakoż było i błogosławieństwo Boże. Książę powtórnie pogromił pod Konstantynowem i samo miasto wziął, bo je nieprzyjaciel po pierwszym szturmie opuścił. Poczem ruszyliśmy pod Piławce, choć książę nie radził tam chodzić. Ale zaraz w drodze pokazały się przeciw niemu rozmaite machinacye, niechęci, zawiści i jawne knowania. Nie słuchano go na radach, nie zważano na to, co mówił, a przedewszystkiem usiłowano rozdzielić naszą dywizyę, aby jej książę w ręku całej nie miał. Gdyby się sprzeciwił, zwalonoby na niego klęskę, więc milczał, cierpiał, znosił. Zostały tedy lekkie znaki z rozkazu generał-regimentarza w Konstantynowie, wraz z Wurclem, z ar-

matami i z oberszterem Machnickim; odłączono pana oboźnego litewskiego Osińskiego i pułk Koryckiego, tak, że przy księciu została tylko usarya pod Zaćwilichowskim, dwa regimenty dragonów — i ja z częścią mojej chorągwi. Wszystkiego nie było nad dwa tysiące ludzi. A wtedy już go lekceważono, i sam słyszałem, jak mówili klienci księcia Dominika: „Już teraz nie powiedzą po wiktoryi, że za sprawą samego Wiśniowieckiego przyszła“. I głośno opowiadali, że gdyby tak niezmierna sława pokryła księcia, toby i na elekcyi jego kandydat królewicz Karol się utrzymał, a oni chcą Kazimierza. Zarazili fakcyami całe wojsko, tak, że poczęły się dyskursa w kołach, jakby na sejmie, wysyłanie delegatów — i o wszystkiem tam myślano, prócz o bitwie, tak, jakby nieprzyjaciel był już pogromion. A owóż, gdybym zaczął opowiadać waszmościom o tych ucztach, o tych wiwatach, o tym przepychu, wiarybym w waszych uszach nie znalazł. Niczem były hufce Pyrrusowe przy onych wojskach, całych od złota, klejnotów i strusich piór. A toż dwieście tysięcy sług i ćmy wozów szły za nami, konie padały pod ciężarem złotogłowiów i jedwabnych namiotów, wozy łamały się pod

kredensami. Myślałby kto, że na zawojowanie świata całego idziemy. Szlachta z pospolitego ruszenia po całych dniach i nocach trzaskała batogami: „Ot (mówili) czem chamów uspokojemy, szabli nie dobywając.“ A my starzy żołnierze, przywykli bić się, nie rozprawiać, jużeśmy na widok onej pychy niesłychanej przeczuwali coś złego. Dopieroż zaczęły się tumulty przeciw panu Kisielowi, że zdrajca, i za nim, że zacny senator. Siekano się szablami po pijanemu. Strażników obozowych nie było. Nikt ładu nie przestrzegał, nikt dowództwa nie sprawował, każden robił co chciał, szedł gdzie mu było lepiej, stawał gdzie mu się zdawało czeladź wzniecała hałasy — o Boże miłosierny! toż to był kulig, nie wyprawa wojenna, kulig na którym salutem Reipublicae przetańcowano, przepito, przejeżdżono i przefrymarczono w ostatku.

— Jeszcze my żyjemy! — rzekł Wołodyjowski.

— I Bóg jest w niebie, — dodał Skrzetuski.

Nastała znów chwila milczenia, poczem Wierszułł mówił dalej.

— Zginiemy totaliter, chyba, że Bóg cud uczyni, za grzechy nas chłostać przestanie

i niezasłużone miłosierdzie okaże. Chwilami ja sam nie wierzę temu, com na własne oczy oglądał i zdaje mi się, że mnie zmora we śnie dusiła.....

— Powiadaj waćpan dalej, — rzekł Zagłoba. — Przyszliście tedy pod Piławce i co?

— I staliśmy. O czem tam regimentarze radzili, nie wiem; — na sądzie ostatecznym za to odpowiedzą, bo gdyby odrazu na Chmielnickiego uderzyli, byłby zniesiony i rozbity jak Bóg w niebie, mimo nieładu, niesforności i tumultów, i braku wodza. Już tam popłoch był między czernią, już radzono jakby Chmielnickiego i starszyznę wydać, a on sam ucieczkę zamierzał. Książę nasz od namiotu do namiotu jeździł, prosił, błagał, groził: „uderzmy nim tatary nadejdą, uderzmy!“—i włosy z głowy wyrywał — a tam się jeden na drugiego oglądał — i nic, i nic! Pili, sejmikowali... Przyszły słuchy, że tatary idą—Chan w dwieście tysięcy koni — oni radzili i radzili. Książę zamknął się w namiocie, bo go całkiem spostponowali. W wojsku poczęto mówić, że kanclerz zakazał księciu Dominikowi bitwy staczać, że się układy toczą; — wszczął się jeszcze większy nieład — nakoniec tatarzy

przyszli, ale Bóg nam poszczęścił pierwszego dnia, potykał się książę i pan Osiński i pan Łaszcz stawał bardzo dobrze — spędzili ordę z pola, wysiekli znacznie — a potem.....

Tu głos Wierszułłowi zamarł w piersi.

— A potem? — pytał pan Zagłoba.

— Przyszła noc straszna, niepojęta. Pamiętam, strażowałem z memi ludźmi, wedle rzeki, gdy na raz słyszę, aż w obozie kozackim biją z armat jak na wiwaty i słychać krzyki. Dopieroż przypomniało mi się, co wczoraj mówiono w obozie, że jeszcze wszystka potęga tatarska nie stanęła, tylko Tuhaj-bey z częścią. Pomyślałem więc: kiedy tam wiwatują, to już musiał i chan, osobą swoją stanąć. Aż tu i w naszym obozie zaczyna się tumult. Skoczyłem sam z kilkoma ludzi. — Co się stało?—krzykną mi: „Regimentarze uszli!“ Ja do księcia Dominika, — niema go! do podczaszego — niema! do chorążego koronnego — niema! Jezu Nazareński! Żołnierze latają po majdanie, krzyk, wrzask, zgiełk, głowniami świecą: gdzie regimentarze? gdzie regimentarze? a inni wołają: Koni! koni! a inni: „panowie bracia ratujcie się! zdrada! zdrada!“ ręce do góry podnoszą, twarze obłąkane, oczy wytrzeszczone,

tłoczą się, depczą, duszą, siadają na koń, lecą na oślep, bez broni. Dopieroż ciskać chełmy, pancerze, broń, namioty! Aż tu jedzie książę na czele usaryi w srebrnej zbroi: sześć pochodni koło niego niosą, a on stoi w strzemionach i krzyczy: „Mości panowie, jam został, kupą do mnie!“ gdzietam! nie słyszą go, nie widzą, lecą na husaryę, mieszają ją, przewracają ludzi i konie, ledwieśmy księcia samego uratowali — potem po zdeptanych ogniskach, w ciemności, niby wezbrany potok, niby rzeka, wszystko wojsko w dzikim popłochu wypada z obozu, rozprasza się, ginie, ucieka.... Niemasz już wojsk, niemasz wodzów, niemasz Rzeczpospolitej, jest tylko hańba nie zmyta i noga kozacka na szyi....

Tu pan Wierszułł jęczyć począł i konia targać, bo go szał rozpaczy ogarnął; ten szał udzielił się innym i jechali wśród owego dżdżu i nocy jak obłąkani.

Jechali tak długo—pierwszy Zagłoba przemówił:

— Bez bitwy — o szelmy! o takie syny! pamiętacie, jak wspaniałą postać w Zbarażu czynili? jak sobie zjeść Chmielnickiego bez pieprzu i soli obiecywali. O szelmy!

— Gdzietam!—krzyknął Wierszułł,—uciekli po pierwszej bitwie wygranej nad tatary i czernią, po bitwie, w której nawet pospolite ruszenie jako lwy walczyło.

— Jest w tem palec boży — rzekł Skrzetuski, — ale jest i jakowaś tajemnica, która wyjaśnić się musi...

— Bo gdyby wojsko pierzchło — to się na świecie zdarza, — rzekł Wołodyjowski, — ale tu wodze pierwsi obóz opuścili, jakby chcąc umyślnie nieprzyjacielowi wiktoryę ułatwić i wojsko na rzeź wydać.

— Tak jest! tak jest!—rzecze Wierszułł—mówią też, że to umyślnie uczynili.

— Umyślnie? — na rany bozkie, to nie może być!

— Mówią, że umyślnie — a dlaczego — kto dojdzie! kto zgadnie!

— Żeby ich groby przytłukły, żeby ich rody wyginęły, a jeno pamięć niesławna po nich została! — rzekł Zagłoba.

— Am en! — rzekł Skrzetuski.

— Amen! — rzekł Wołodyjowski.

— Amen! — powtórzył pan Longinus.

— Jeden jest człowiek, któren może ojczyznę jeszcze ratować, jeśli mu buławę i resztę

sił Rzeczypospolitej oddadzą, jeden jest, bo o innym już ani wojsko, ani szlachta, nie będzie chciała słyszeć.

— Książę! — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest.

— Przy nim będziem stać, przy nim zginiemy. — Niech żyje Jeremi Wiśniowiecki! — wykrzyknął Zagłoba.

— Niech żyje! — powtórzyło kilkadziesiąt niepewnych głosów, ale okrzyk zamarł zaraz, bo w tej chwili, gdy ziemia rozstępowała się pod nogami, a niebo zdawało się walić na głowy, nie był czas na okrzyki i wiwaty.

Tymczasem poczęło świtać i w oddaleniu ukazały się mury Tarnopola.

ROZDZIAŁ IX.

Pierwsi rozbitkowie z pod Piławiec dotarli do Lwowa świtaniem dnia 26 września i równo z otwarciem bram miejskich, straszna wieść piorunem rozleciała się po całem mieście, wzbudziwszy niedowierzanie w jednych, popłoch w drugich, w innych zaś rozpaczliwą chęć obrony. Pan Skrzetuski ze swym oddziałem przybył w dwa dni później, gdy już cały gród był zapchany uciekającem żołnierstwem, szlachtą i uzbrojonem mieszczaństwem. Myślano już o obronie, gdyż lada chwila spodziewano się tatarów, ale nie wiedziano jeszcze, kto stanie na czele i jak się do dzieła weźmie, dlatego wszędy panował bezład i popłoch. Niektórzy uciekali z miasta, wywożąc rodziny i mienie, okoliczni zaś mieszkańcy szukali w niem schronienia; wyjeżdżający i wjeżdżający zawalali ulice i wzniecali tumulty o przejazd; wszędy peł-

no było wozów, pak, tłomoków i koni, żołnierzy z pod najrozmaitszych znaków; na wszystkich twarzach czytałeś niepewność, gorączkowe oczekiwanie, rozpacz lub rezygnacyę. Co chwila przestrach, jak wir powietrzny, zrywał się niespodzianie — rozlegały się krzyki: „Jadą! jadą!“ i tłumy poruszały się jak fala, czasem biegły na oślep przed siebie, rażone szaleństwem trwogi, dopóki nie pokazało się, że to nadjeżdża nowy jakiś oddział rozbitków. A oddziałów tych kupiło się coraz to więcej— ale jakże żałosny widok przedstawiali ci żołnierze, którzy jeszcze niedawno w złocie i piórach szli ze śpiewaniem na ustach a dumą w oczach na oną wyprawę przeciw chłopstwu! Dziś obdarci, wygłodzeni, znędzniali, pokryci błotem, na wyniszczonych koniach, z hańbą w twarzach, podobniejsi do żebraków, niż do rycerzy, litośćby tylko wzbudzać mogli, gdyby był czas na litość w tem mieście, na którego mury wnet mogła zwalić się cała potęga wroga. I każden z tych pohańbionych rycerzy tem jedynie się pocieszał, że tak wielu, że tyle tysięcy miał towarzyszów wstydu; wszyscy kryli się w pierwszej godzinie, by następnie ochłonąwszy, rozwodzić skargi, narzekania, rzucać

przekleństwa i groźby, włóczyć się po ulicach, pić po szynkowniach i powiększać tylko nieład i trwogę.

Każdy bowiem powtarzał: „Tatarzy tuż! tuż!“ — Jedni widzieli pożogi za sobą, drudzy klęli się na wszystkie świętości, iż przyszło im już odcinać się zagonom. Gromady otaczające żołnierzy słuchały z natężeniem tych wieści. Dachy i wieże kościołów usiane były tysiącami ciekawych; dzwony biły larum — a tłumy niewiast i dzieci dusiły się po kościołach, w których wśród świec jarzących błyszczał Przenajświętszy Sakrament.

Pan Skrzetuski przeciskał się zwolna od bramy Halickiej ze swoim oddziałem, przez zbite masy koni, wozów, żołnierzy, przez cechy mieszczańskie, stojące pod swemi banderjami i pospólstwo, które ze zdziwieniem spoglądało na ową chorągiew, wchodzącą nie w rozsypce, ale w szyku bojowym do miasta. Poczęto krzyczyć, że pomoc nadchodzi! i znów niczem nieusprawiedliwiona radość ogarnęła tłuszczę, która jęła się cisnąć i chwytać za strzemiona pana Skrzetuskiego. Zbiegli się też i żołnierze wołając: „To wiśniowiecczycy! Niech żyje książę Jeremi!“ Tłok zrobił się tak wielki, że cho-

rągiew zaledwie noga za nogą mogła się posuwać.

Nakoniec naprzeciw ukazał się oddział dragonów z oficerem na czele. Żołnierze rozgarniali tłumy, oficer zaś krzyczał: „z drogi! z drogi!“— i płazował tych, którzy mu nie ustępowali dość rychło.

Skrzetuski poznał Kuszla.

Młody oficer powitał serdecznie znajomych.

— Co to za czasy! co to za czasy!—rzekł.

— Gdzie książę — pytał Skrzetuski.

— Umorzyłbyś go frasunkiem, gdybyś dłużej nie przyjeżdżał. Bardzo się tu za tobą i twojemi ludźmi oglądał. Jest teraz u Bernardynów; mnie wysłano za porządkiem w mieście, ale już Grozwajer tem się zajął. Pojadę z tobą do kościoła. Tam się rada odbywa.

— W kościele?

— Tak jest. Będą księciu buławę ofiarować, bo żołnierze oświadczają, że pod innym wodzem nie chcą bronić miasta.

— Jedźmy! Mnie też pilno do księcia.

Połączone oddziały ruszyły. Po drodze Skrzetuski wypytywał się o wszystko, co działo się we Lwowie—i czyli obrona już postanowiona.

— Właśnie teraz się sprawa waży, — rzecze Kuszel. — Mieszczanie chcą się bronić. Co za czasy! ludzie nikczemnych kondycyi okazują więcej serca od szlachty i żołnierzy.

— A regimentarze? co się z niemi stało? Czyli są w mieście i czyli nie będą księciu przeszkód stawiali?

— Byle on sam nie stawiał! Był lepszy czas na oddanie mu buławy, teraz zapóźno. Regimentarze oczu nie śmieją pokazać. Książę Dominik popasał tylko w pałacu arcybiskupim i zaraz się wyniósł — i dobrze zrobił, bo nie uwierzysz, jaka jest w żołnierzach na niego zawziętość. Już go niema, a jeszcze ciągle krzyczą: „Dawaj go sam, wnet go rozsiekamy!“ — pewnie nie byłby uszedł jakowego przypadku. Pan Podczaszy Koronny pierwszy tu przybył, ba, nawet i na księcia wygadywać począł, ale teraz siedzi cicho, bo i przeciw niemu powstają tumulty. Do oczu mu wszystkie winy wymawiają, a on jeno łzy połyka. W ogólności strach co się dzieje! jakie czasy nadeszły! Mówię ci: dziękuj Bogu, żeś pod Piławcami nie był, żeś ztamtąd nie uciekał, bo że nam, którzyśmy tam byli, rozum się nie pomieszał z ostatkiem — to chyba cud.

— A nasza dywizya?

— Niema już jej — ledwie coś zostało. Wurcla niema, Machnickiego niema, Zaćwilichowskiego niema. Wurcel i Machnicki nie byli pod Piławcami, bo zostali w Konstantynowie. Tam ich ten belzebub, książę Dominik zostawił, by księcia naszego potęgę osłabić. Niewiadomo czy uszli, czy ich nieprzyjaciel ogarnął. Stary Zaćwilichowski przepadł jak kamień w wodzie. Daj Bóg, żeby nie zginął.

— A wszystkich żołnierzy siła się tu zebrało?

— Jest dosyć—ale co z nich! Jeden książę mógłby sobie dać z niemi rady, gdyby chciał buławę przyjąć, bo nikogo słuchać nie chcą. Okrutnie się książę o ciebie frasował — i o żołnierzy. Jedyna też to cała chorągiew. Jużeśmy cię opłakali.

— Teraz ten szczęśliwy, kogo płaczą.

Przez czas jakiś jechali w milczeniu, poglądając po tłumach, słuchając zgiełku i krzyków: „Tatary! tatary!“ w jednem miejscu ujrzeli straszny widok rozdzieranego na sztuki człowieka, którego tłum o szpiegostwo posądził — dzwony biły ciągle.

— Czy orda prędko tu stanie? — spytał Zagłoba.

— Licho ją wie, może dziś jeszcze. To miasto nie będzie się długo bronić, bo nie wytrzyma. Chmielnicki idzie w dwieście tysięcy kozaków, prócz tatarów.

— Kaput! — odpowiedział szlachcic. — Lepiej nam było jechać dalej na złamanie szyi.— Po co my tyle zwycięztw odnieśli?

— Nad kim?

— Nad Krzywonosem, nad Bohunem, dyabeł wie nie nad kim!

— Ale! — rzekł Kuszel — i zwróciwszy się do Skrzetuskiego, pytał cichym głosem:

— A ciebie Janie w niczem-że Bóg nie pocieszył? nie znalazłeś tego, czegoś szukał? nie dowiedziałeś się przynajmniej czego?

— Nie czas o tem myśleć!—zawołał Skrzetuski—co ja znaczę i moje sprawy, wobec tego co się stało? Wszystko marność i marność! a na końcu śmierć!

— Tak i mnie się widzi, że cały świat niedługo zginie — rzekł Kuszel.

Tymczasem dojechali do kościoła Bernardynów, którego wnętrze pałało światłem. Tłumy niezmierne stały przed kościołem, ale nie mo-

gły się do środka dostać, bo sznur halebardników zamykał wejście, puszczając tylko znaczniejszych i starszyznę wojskową.

Skrzetuski kazał drugi sznur wyciągnąć swoim ludziom.

— Wejdźmy — rzekł Kuszel. Pół Rzeczypospolitej jest w tym kościele.

Weszli. Kuszel nie wiele przesadził. Co było znakomitszego w wojsku i w mieście, zgromadziło się na naradę, więc wojewodowie, kasztelanowie, pułkownicy, rotmistrze, oficerowie cudzoziemskiego autoramentu, duchowieństwo, tyle szlachty, ile kościół mógł pomieścić, mnóstwo wojskowych niższych stopni i kilkunastu rajców miejskich z Grozwajerem na czele, któren mieszczaństwem miał dowodzić. Był także obecny i książę, i pan Podczaszy koronny, jeden z regimentarzy, — i wojewoda kijowski i starosta stobnicki i Wesel i Arciszewski i pan Oboźny litewski Osiński — ci siedzieli przed wielkim ołtarzem, tak, aby publicum mogło ich widzieć. Radzono pośpiesznie, gorączkowo, jako zwykle w takich wypadkach: mówcy wstępowali na ławy i zaklinali starszyznę, by niepodawała miasta w ręce wraże bez obrony. Choćby i zginąć przyszło, miasto wstrzyma

nieprzyjaciela, Rzeczpospolita ochłonie. Czego brak do obrony? Są mury, są wojska, jest determinacya — wodza tylko trzeba. A gdy tak mówiono, w publiczności zrywały się szmery, które przechodziły w głośne okrzyki — zapał ogarniał zgromadzonych. Zginiemy! zginiemy chętnie! — wołano — hańbę piławiecką nam zmazać, ojczyznę zasłonić! — I rozpoczynało się trzaskanie szablami, i gołe ostrza migotały przy blasku świec. A inni wołali: uciszyć się! obrady porządkiem! — Bronić się, czy nie bronić? — Bronić! bronić!! wrzeszczało zgromadzenie, aż echo odbite od sklepień, powtarzało: bronić się! Kto ma być wodzem? Kto ma być wodzem? Książę Jeremi — on wódz! on bohater! niech broni miasta, Rzeczypospolitej — niech mu oddadzą buławę i niech żyje.

Wówczas z tysiąca płuc wyrwał się okrzyk tak gromki, że aż ściany zadrżały i szyby zabrzęczały w oknach kościelnych:

— Książę Jeremi! książę Jeremi! Niech żyje! niech żyje! niech zwycięża!

Zabłysło tysiące szabel — wszystkie oczy skierowały się na księcia, a on wstał spokojny, ze zmarszczoną brwią. Uciszyło się natychmiast, jakby kto makiem posiał.

— Mości panowie! — rzekł książę dźwięcznym głosem, który w tej ciszy doszedł do wszystkich uszu.—Gdy Cymbrowie i Teutoni napadli na Rzeczpospolitę rzymską, nikt nie chciał ubiegać się o konsulat, aż go wziął Marjus. Ale Marjus miał prawo go brać, bo nie było wodzów przez senat naznaczonych... I jabym się w tej toni od władzy nie wybiegał, chcąc ojczyźnie miłej zdrowiem służyć— ale buławy przyjąć nie mogę — gdyż ojczyźnie, senatowi i zwierzchności bym ubliżył — a samozwańczym wodzem być nie chcę. Jest między nami ten, któremu Reczpospolita buławę oddała — jest pan podczaszy koronny...

Tu książę dalej mówić nie mógł, bo zaledwie pana podczaszego wspomniał, powstał straszliwy wrzask, szczękanie szablami; tłum zakołysał się i wybuchnął jak prochy, na które iskra padła. „Precz! na pohibel! pereat!“ — rozlegało się w tłumie, — „pereat! pereat!“ — brzmiało coraz potężniej. Podczaszy zerwał się z krzesła, blady, z kroplami zimnego potu na czole, a tymczasem groźne postacie zbliżały się ku stalom, ku ołtarzowi — i słychać już było złowrogie: „dawajcie go!“ Książę widząc na co się zanosi, wstał i wyciągnął prawicę.

Tłumy wstrzymały się sądząc, że chce mówić, uciszyło się w mgnieniu oka.

Ale książę chciał tylko burzę i tumult zażegnać, rozlewu krwi w kościele nie dopuścić, więc gdy spostrzegł, że najgroźniejsza chwila minęła, usiadł napowrót.

O dwa krzesła dalej, przegrodzony tylko przez wojewodą kijowskiego, siedział nieszczęsny Podczaszy: siwą głowę opuścił na piersi, ręce mu zwisły, a z ust wydobywały się słowa przerywane łkaniem:

— Panie! za grzechy moje przyjmuję z pokorą ten krzyż.

Starzec mógł wzbudzić litość w najtwardszem sercu, ale tłum zwykle bywa bezlitosny, więc nanowo wszczynały się hałasy, gdy nagle wojewoda kijowski powstał, dając znać ręką, że chce przemówić.

Był to towarzysz zwycięztw Jeremiego, dlatego słuchano go chętnie.

On zaś zwrócił się do księcia i w najczulszych słowach zaklinał go, by buławy nie odrzucał i nie wahał się ratować ojczyzny. Gdy Rzeczpospolita ginie, niech śpią prawa, niech ją ratuje nie wódz mianowany, ale ten, któren najwięcej ratować zdolny — „bierz-że ty buła-

wę wodzu niezwyciężony! bierz, ratuj! nie miasto samo, ale całą Rzplitę. Oto ustami jej, ja starzec błagam ciebie, a ze mną wszystkie stany, wszyscy mężowie, niewiasty i dzieci — ratuj! ratuj!“

Tu zdarzył się wypadek, który poruszył wszystkie serca: niewiasta w żałobie zbliżyła się do ołtarza i rzucając pod nogi księcia złote ozdoby i klejnoty, klęknęła przed nim — i szlochając głośno, wołała:

— Mienie ci nasze przynosim! życie oddajem w twe ręce ratuj! ratuj! — bo giniemy!

Na ten widok senatorowie, wojskowi, a za niemi całe tłumy, zaryczały ogromnym płaczem — i był jeden głos w tym kościele:

— Ratuj!

Książę zakrył oczy rękoma — a gdy podniósł twarz i w jego źrenicach błyszczały łzy — jednak się wahał. — Co się stanie z powagą Rzeczypospolitej, jeśli on tę buławę przyjmie?!

Wtem wstał Podczaszy Koronny.

— Jam stary, rzekł, nieszczęśliwy i przybity. Mam prawo zrzec się ciężaru, któren jest nad moje siły i włożyć go na młodsze barki. Otóż wobec tego Boga ukrzyżowanego i wszy-

stkiego rycerstwa, tobie oddaję buławę—bierz ją.

I wyciągnął oznakę ku Wiśniowieckiemu. Nastała chwila takiej ciszy, że słyszałbyś przelatującą muchę, nakoniec rozległ się uroczysty głos Jeremiego:

— Za grzechy moje — przyjmuję.

Wtedy szał opanował zgromadzenie. Tłumy złamały stale, przypadały do nóg Wiśniowieckiego, ciskały kosztowności i pieniądze, wieść rozniosła się lotem błyskawicy po całem mieście — żołnierstwo odchodziło od zmysłów z radości i krzyczało, że chce iść na Chmielnickiego, na tatarów i sułtana! — mieszczanie nie myśleli już o poddaniu, ale o obronie do ostatniej kropli krwi; ormijanie znosili dobrowolnie pieniądze do ratusza, zanim o szacunku poczęto mówić; żydzi w bóżnicy podnieśli wrzask dziękczynny — armaty na wałach oznajmiły grzmotem radosną nowinę; po ulicach palono z rusznic, samopałów i pistoletów. Okrzyki: „niech żyje!“ trwały przez całą noc. Ktoś, rzeczy nie świadom, mógłby sądzić, iż to miasto tryumf jakiś, czy uroczyste święto obchodzi.

A jednak lada chwila trzysta tysięcy nieprzyjaciół — armia większa od tych, jakie

cesarz niemiecki lub król francuzki mogli wystawić, a dziksza od zastępów Tamerlana, miała obledz mury tego grodu.

ROZDZIAŁ X.

W tydzień później, rankiem dnia 6 października, gruchnęła po Lwowie wieść zarówno nieoczekiwana jak straszliwa, że książę Jeremi, zabrawszy większą część wojska, opuścił potajemnie miasto i wyjechał niewiadomo dokąd.

Tłumy zebrały się przed arcybiskupim pałacem — nie chciano początkowo wierzyć. Żołnierze twierdzili, iż jeśli książę wyjechał, to niezawodnie wyjechał na czele potężnego podjazdu, aby zlustrować okolicę. Pokazało się (mówiono), że zbiegowie fałszywe głosili wieści, zapowiadając lada chwila Chmielnickiego i tatarów, bo oto od 26 września upłynęło dni dziesięć, a nieprzyjaciela jeszcze nie widać. Książę zapewne chciał się naocznie przekonać o niebezpieczeństwie i po sprawdzeniu wieści

niezawodnie powróci. Zresztą zostawił kilka regimentów i do obrony wszystko gotowe.

Tak było w istocie. Wszelkie rozporządzenia zostały wydane, miejsca wyznaczone; armaty zatoczone na wały. Wieczorem przybył rotmistrz Cichocki na czele pięćdziesięciu dragonów. Natychmiast opadli go ciekawi, ale on z tłumem rozmawiać nie chciał — i udał się wprost do generała Arciszewskiego; obaj wezwali Grozwayera i po naradzie poszli na ratusz. Tam Cichocki oświadczył przerażonym rajcom, że książę wyjechał bezpowrotnie.

W pierwszej chwili opadły wszystkim ręce i jedne zuchwałe usta wymówiły słowo „zdrajca!“ Ale wówczas Arciszewski, stary wódz, wsławiony wielkiemi czynami w służbie holenderskiej, powstał i w ten sposób do wojskowych i rajców mówić począł:

— Słyszałem słowo bluźniercze, którego bodajby nikt nie był wymówił, bo go desperacya nawet usprawiedliwić nie może. Książę wyjechał i nie wróci — tak jest! Ale jakież to prawo macie wymagać od wodza, na którego barkach zbawienie całej ojczyzny spóczywa, aby jedynie waszego miasta bronił? Coby się stało, gdyby tu ostatek sił Rzeczypospolitej

otoczył nieprzyjaciel? Ni zapasów żywności, ni broni na tak wielkie wojsko tu niema — więc to wam powiem, a memu doświadczeniu wierzyć możecie, że im większa potęga byłaby tu zamkniętą, tem krócej obrona trwaćby mogła, bo głód zwyciężyłby nas prędzej od nieprzyjaciela. Bardziej chodzi Chmielnickiemu o osobę księcia, niż o wasze miasto, więc gdy się dowie, że go tu niemasz, że nowe wojska zbiera i z odsieczą przybyć może, łacniej wam będzie folgował i na układy się zgodzi. Dziś szemrzecie, a ja wam powiadam, że książę opuściwszy ten gród, grożąc Chmielnickiemu z zewnątrz, ocalił was i dzieci wasze. Trzymajcie się, brońcie: zadzierżcie tego nieprzyjaciela czas jakiś, a i miasto ocalić możecie i wiekopomną usługę Rzeczpospolitej oddacie, bo książę przez ten czas siły zbierze, inne fortece opatrzy, przebudzi zdrętwiałą Rzeczpospolitę i na ratunek wam pośpieszy. Jedyną on obrał zbawienia drogę, bo, gdyby tu głodem zmorzon, padł z wojskiem, tedyby już nikt nieprzyjaciela nie wstrzymał, któren poszedłby na Kraków, na Warszawę i całą ojczyznę zalał, nigdzie nie znajdując oporu! Dlatego, miast szemrać, śpieszcie na

wały bronić siebie, dzieci waszych, miasta i całej Rzeczypospolitej.

— Na wały! na wały! — powtórzyło kilka śmielszych głosów.

Grozwayer, człowiek energiczny i śmiały, ozwał się:

— Cieszy mnie determinacya ichmościów — i wiedzcie, że książę nie odjechał bez obmyślenia obrony. Każdy tu wie co ma robić—i stało się to, co się było stać powinno. Obronę mam w ręku i będę się bronił do śmierci.

Nadzieja nanowo wstąpiła w struchlałe serca — co widząc Cichocki, ozwał się w końcu:

— Jego książęca mość przysyła też waćpanom wiadomość, iż nieprzyjaciel blizko. Porucznik Skrzetuski otarł się skrzydłem o dwutysięczny czambuł, który rozbił. Jeńcy mówią, że sroga potęga idzie za niemi.

Wiadomość ta wielkie wywarła wrażenie; nastała chwila milczenia; wszystkie serca zabiły żywiej.

— Na wały! — rzekł Grozwayer.

— Na wały! na wały! — powtórzyli obecni oficerowie i mieszczanie.

A wtem rumor uczynił się za oknami; słychać było zgiełk tysiąca głosów, które zlały

się w jeden niezrozumiały szum, podobny do szumu fal morskich — nagle drzwi sali otworzyły się z łoskotem, wpadło kilkunastu mieszczan i zanim obradujący mieli czas spytać co zaszło — rozległy się wołania:

— Łuny na niebie! łuny na niebie!

— A słowo stało się ciałem! — rzekł Grozwajer—na wały!!!

Sala opustoszała — po chwili huk armat wstrząsnął murami miasta, oznajmiając mieszkańcom samego grodu, przedmieści i okolicznych wiosek, że nieprzyjaciel nadciągnął.

Na wschodzie niebo czerwieniło się jak okiem dojrzeć — rzekłbyś: morze ognia zbliżało się ku miastu.

Książę tymczasem rzucił się do Zamościa i starłszy po drodze czambulik, o którym Cichocki mieszczanom wspominał, zajął się naprawą i opatrzeniem tej potężnej z natury twierdzy, którą też w krótkim czasie niezdobytą uczynił. Skrzetuski, wraz z panem Longinem i częścią chorągwi, został w twierdzy, przy panu Weyherze, staroście wałeckim, a książę ruszył do Warszawy, by od sejmu uzyskać środki na zaciągi nowych wojsk i zarazem

wziąść udział w elekcyi, która wraz miała się odprawiać. Losy i Wiśniowieckiego i całej Rzplitej miały ważyć się na tej elekcyi, gdyby bowiem królewicz Karol został obrany, tedyby partya wojenna wzięła górę — książę otrzymałby naczelne dowództwo wszystkich sił Rzplitej —i musiałoby przyjść do walnej, na śmierć i życie z Chmielnickim rozprawy. Królewicz Kazimierz, lubo słynny z męztwa i pan wcale wojenny, słusznie uchodził za stronnika polityki kanclerza Ossolińskiego, zatem polityki układów z kozakami i znacznych dla nich ustępstw. Obaj bracia nie szczędzili obietnic i wysilali się na jednanie sobie stronników — dlatego wobec równej siły obydwóch partyi, nikt nie mógł przewidzieć rezultatu elekcyi. Stronnicy kanclerscy obawiali się, aby Wiśniowiecki, dzięki rosnącej coraz sławie, i miłości, jaką posiadał u rycerstwa i szlachty, nie przeważył umysłów na stronę Karola, książę zaś dla tych samych przyczyn pragnął osobiście popierać swego kandydata. Dlatego ciągnął spiesznym pochodem do Warszawy, pewny już, że Zamość zdoła długo całą potęgę Chmielnickiego i Krymską wytrzymać. Lwów, według wszelkiego prawdopodobieństwa można było

uważać za ocalony, gdyż Chmielnicki nie mógł żadną miarą bawić się długo zdobywaniem tego miasta, mając przed sobą potężniejszy Zamość, któren mu drogę do serca Rzplitej zamykał. Te myśli krzepiły umysł książęcy i wlewały otuchę w jego serce, tylu tak strasznemi klęskami kraju strapione. Nadzieja wstąpiła weń pewna, że choćby też i Kazimierz został obrany — już wojna jest nieuniknioną i straszliwa rebelia musi w morzu krwi utonąć. Spodziewał się, że Rzeczpospolita jeszcze raz wystawi potężną armię — bo i układy były o tyle tylko możliwe, o ile poparłaby je potężna armia.

Kołysany temi myślami, jechał książę pod zasłoną kilku chorągwi, mając przy sobie Zagłobę i pana Wołodyjowskiego, z których pierwszy klął się na wszystko, że przeprowadzi wybór księcia Karola, bo umie do szlachty braci gadać i wie, jak jej zażyć — drugi zaś eskortą książęcą dowodził. W Siennicy, niedaleko Mińska, czekało księcia miłe, chociaż niespodziane spotkanie, zjechał się bowiem z księżną Gryzeldą, która z Brześcia litewskiego do Warszawy dla bezpieczeństwa dążyła, spodziewając się przytem słusznie, że i książę tam ścią-

gnie. Witali się tedy serdecznie po długiem niewidzeniu. Księżna, lubo duszę miała żelazną, rzuciła się z takim płaczem w objęcia męża, że utulić się przez kilka godzin nie mogła, bo ach! jak często bywały takie chwile, że już się go nie spodziewała ujrzeć więcej; a tymczasem Bóg dał, że oto wracał sławniejszy niż kiedykolwiek, otoczon taką chwałą, jaka nikogo jeszcze z jego rodu nie opromieniła, największy z wodzów, jedyna całej Rzeczypospolitej nadzieja. Księżna odrywając się co chwila od jego piersi, spoglądała przez łzy na tę twarz chudą, zczerniałą, na to czoło wyniosłe, które troski i trudy poorały w głębokie bruzdy, na oczy zaczerwienione od nocy bezsennych i nanowo zalewała się łzami, a cały fraucymer wtórował jej z głębi wezbranych serc. — Zwolna dopiero księstwo uspokoiwszy się, poszli do obszernej plebanii miejscowej i tam poczęły się pytania o przyjaciół, dworzan i rycerzy, którzy jakoby do rodziny należeli i z któremi pamięć o Łubniach się zrosła. Uspokoił tedy naprzód książę troskliwość księżnej o pana Skrzetuskiego, tłumacząc, iż dla tego tylko w Zamościu został, iż w utrapieniach, jakie od Boga mu były zesłane, nie chciał po-

grążać się w szum stołeczny i wolał w surowej służbie wojennej i w pracy leczyć rany serdeczne. Potem prezentował książę pana Zagłobę i o czynach jego opowiadał. „Vir to jest incomparabilis, mówił, któren nietylko Kurcewiczównę Bohunowi wydarł, ale ją przez środek obozów Chmielnickiego i tatarów przeprowadził, potem zaś razem z nami z wielką swoją sławą, najchwalebniej pod Konstantynowem stawał.“ — Słysząc to księżna pani, nie szczędziła pochwał panu Zagłobie, kilkakrotnie mu rękę do pocałowania podając i lepszą jeszcze kontentacyę w stosownej porze obiecując — a „vir incomparabilis“ kłaniał się, modestyą bohaterstwo osłaniał, to znów się puszył i na fraucymer zerkał, bo choć był stary, i niewiele sobie od płci białej obiecywał, przecie miło mu to było, że tyle o jego męztwie i czynach słyszała. Nie brakło jednak i smutku w tem radosnem zkąd inąd powitaniu, bo pominąwszy już czasy na ojczyznę ciężkie, ileż to razy na pytania księżnej o różnych znajomych rycerzy, książę odpowiadał: „zabit, zabit, zaginion“ — przytem i panny zawodziły, bo niejedno tam między zabitemi drogie nazwisko wymieniono.

Tak radość mieszała się ze smutkiem, łzy

z uśmiechami. Ale najbardziej strapiony był mały pan Wołodyjowski, napróżno się bowiem rozglądał i oczyma na wszystkie strony obracał—księżniczki Barbary nie było nigdzie. Co prawda, wśród trudów wojny, wśród ciągłych bojów, potyczek i pochodów, już był ów kawaler trochę o niej zapomniał, gdyż i z natury o ile do miłości był łatwy, o tyle niezbyt w niej wytrwały; ale teraz, gdy ujrzał znów fraucymer, gdy mu przed oczyma stanęło jako żywe życie łubniańskie, pomyślał sobie, że milejby mu też było, gdy chwila odpoczynku nadeszła, i powzdychać, i serce nanowo zająć. Więc gdy to się nie zdarzyło, a sentyment jak na złość odżył nanowo, strapił się pan Wołodyjowski ciężko i wyglądał jakby go deszcz ulewny zmoczył. Głowę spuścił na piersi, wąsiki zwykle tak podkręcone w górę, że aż za nozdrza sięgały, jak u chrabąszcza, zwisły mu także ku dołowi, zadarty nos się wydłużył, z twarzy znikła zwyczajna pogoda i stał milczący, nie poruszył się nawet, gdy książę z kolei jego męztwo i nadzwyczajne przewagi wychwalał. Cóż bowiem znaczyły dlań wszystkie pochwały, gdy ona ich słyszyć nie mogła.

Aż zlitowała się nad nim Anusia Borzobohata i choć miewali między sobą sprzeczki, postanowiła go pocieszyć. W tym celu, strzygąc oczyma ku księżnej, przysuwała się nieznacznie do rycerza i wreszcie znalazła się tuż przy nim.

— Dzień dobry waćpanu! — rzekła — dawnośmy się nie widzieli.

— Oj, panno Anno — odrzekł melancholicznie pan Michał — siła wody upłynęło i w niewesołych czasach się znów widzimy — i nie wszyscy.

— Pewnie, że nie wszyscy, tylu rycerzy poległo!

Tu westchnęła Anusia, po chwili zaś mówiła dalej:

— I my nie w tej liczbie, jako dawniej, bo panna Sieniutówna za mąż poszła, a księżniczka Barbara została u pani wojewodziny wileńskiej.

— I pewnie także za mąż idzie?

— Nie, nie bardzo ona o tem myśli. A czemu się to waćpan o to dopytuje?

To rzekłszy, Anusia przymrużyła czarne oczęta, tak iż tylko szpareczki pozostały i spoglądała ukośnie z pod rzęs na rycerza.

— Przez życzliwość dla familii — odparł pan Michał.

A Anusia na to:

— Oj! to i słusznie, bo też wielką pan Michał ma w księżniczce Barbarze przyjaciółkę. Nieraz pytała: gdzie to ów mój rycerz, któren na turnieju w Łubniach najwięcej głów tureckich zrzucił, za com mu nagrodę dawała? — co on porabia? zali żyje jeszcze i o nas pamięta?

Pan Michał podniósł z wdzięcznością oczy na Anusię i popierwsze ucieszył się, powtóre dostrzegł, że Anusia wyładniała niepomiernie.

— Zali naprawdę księżniczka Barbara tak mówiła? —spytał.

— Jako żywo — i to jeszcze wspominała, jakeś waćpan przez fosę dla niej skakał, wtedy gdyś to w wodę wpadł.

— A gdzie teraz pani wojewodzina Wileńska?

— Była z nami w Brześciu, a tydzień temu pojechała do Bielska, zkąd do Warszawy przybędzie.

Pan Wołodyjowski drugi raz spojrzał na Anusię—i nie mógł już wytrzymać.

— A panna Anna, — rzekł — już do takowej gładkości doszła, że aż oczy bolą patrzyć.

Dziewczyna uśmiechnęła się wdzięcznie.

— Pan Michał tak jeno mówi, by mnie skaptować.

— Chciałem swego czasu — rzekł, ruszając ramionami rycerz — Bóg widzi chciałem i nie mogłem — a teraz panu Podbipięcie życzę, by był szczęśliwszy.

— A gdzie pan Podbipięta? — spytała cicho Anusia spuszczając oczki.

— W Zamościu ze Skrzetuskim; został już namiestnikiem w chorągwi i służby pilnować musi, ale gdyby był wiedział, kogo tu ujrzy, o! jak Bóg na niebie, byłby wziął permisyę i tu z nami wielkim krokiem nadążył. Wierny to jest kawaler, na wszelką łaskę zasługujący.

— A na wojnie.... nie doznał jakowego szwanku?

— Widzi mi się, że waćpanna nie o to chcesz pytać, jeno o te trzy głowy, które ściąć zamierzył?

— Nie wierzę, aby on to naprawdę zamierzył.

— A jednak wierz waćpanna, bo bez tego nie będzie nic. Nie leniwie on też szuka okazyi. Pod Machnówką ażeśmy jeździli oglądać miejsce, w którem śród tłumu walczył i sam książę z nami jeździł, bo powiem waćpannie, dużo bitew widziałem, ale takich jatek, pókim żyw, nie będę widział. Kiedy się szarfą waćpanny do bitwy przepasze — strach, co dokazuje. Znajdzie on swoje trzy głowy, bądź waćpanna spokojna.

— Niechże każdy znajdzie to, czego szuka — rzekła z westchnieniem Anusia.

Za nią westchnął pan Wołodyjowski i wzrok podniósł ku górze, nagle spojrzał ze zdziwieniem w jeden kąt izby.

Z tego kąta patrzyła na niego jakaś twarz gniewna, zapalczywa, a całkiem mu nieznana, zbrojna w olbrzymi nos i wąsiska do dwóch wiech podobne, które poruszały się szybko, jakby z tłumionej passyi.

Można się było przestraszyć tego nosa, tych oczu i wąsów, ale mały pan Wołodyjowski wcale nie był łatwo płochliwy, więc jako się rzekło, zdziwił się tylko i zwróciwszy się do Anusi, pytał:

— Co to za jakowaś figura, ot, tam w kącie, która spogląda na mnie tak, jakby mnie z kretesem połknąć chciała i wąsiskami rusza, jako właśnie stary kot przy pacierzu.

— To? — rzekła Anusia, ukazując białe ząbki — to jest pan Charłamp.

— Cóż to za poganin?

— Wcale to nie poganin, jeno z chorągwi pana wojewody wileńskiego, rotmistrz petyhorski, którен nas aż do Warszawy odprowadza i tam na wojewodę ma czekać. Niech pan Michał jemu w drogę nie włazi, bo to wielki ludojad.

— Widzę ja to, widzę. Ale skoro to ludojad — przecie tu są tłustsi odemnie, dlaczegoż na mnie, nie na innych zęby ostrzy.

— Bo.... rzekła Anusia i zachychotała zcicha.

— Bo co?

— Bo on się we mnie kocha i sam mi powiedział, że każdego, któryby się do mnie zbliżał, w sztuki posieka, a teraz, wierz mi waćpan, że się tylko przez wzgląd na obecność księztwa wstrzymuje, inaczej zarazby poszukał okazyi.

— Masz że tobie!—rzecze wesoło pan Wołodyjowski. — To tak panno Anno? Oj! nie darmośmy, jak widzę, śpiewywali: „jak tatarska orda, bierzesz w jassyr corda!“ Pamiętasz waćpanna? Że też waćpanna nie możesz się ruszyć, żeby się ktoś zaraz nie zakochał!

— Takie to już moje nieszczęście! — odparła, spuszczając oczki, Anusia.

— Ej faryzeusz z panny Anny! A co na to powie pan Longinus?

— Cóż ja winna, że ten pan Charłamp mię prześladuje, ja go nie cierpię i patrzyć na niego nie chcę.

— No, no! patrz waćpanna, aby się przez nią krew nie polała. Podbipiętę, choć do rany przyłożyć — ale w rzeczach sentymentu, żarty z nim niebezpieczne.

— Niech mu uszy obetnie, jeszcze będę rada.

To rzekłszy, Anusia zakręciła się jak fryga i furknęła na drugą stronę izby, do Imć Carboniego, doktora księżnej, z którym zaczęła coś żywo szeptać i rozmawiać, a włoch oczy wlepił w pułap, jakoby go ekstaza porwała.

Tymczasem Zagłoba zbliżył się do Wołodyjowskiego i począł mrugać krotofilnie swojem zdrowem okiem.

— Panie Michale — spytał — a co to za dzierlatka?

— Panna Anna Borzobohata-Krasieńska, respektowa księżnej pani.

— A gładka bestyjka, oczy jak tareczki, pysio jak malowanie, a szyjka — uf!

— Niczego, niczego!

— Winszuję waszmości!

— Dałbyś waść pokój. To narzeczona pana Podbipięty, albo tak jak narzeczona.

— Pana Podbipięty? Bój-że się waćpan ran bozkich! przecie on czystość ślubował? a prócz tego, przy takiej między niemi proporcyi, chybaby ją za kołnierzem nosił; na wąsach mogłaby mu siadać, jak mucha—cóż znowu?

— Ej, jeszcze go ona w karby weźmie. Herkules był mocniejszy, a przecie białogłowa go usidliła.

— Byle mu tylko rogów nie przyprawiła, choć ja pierwszy o to się postaram, jakem Zagłoba.

— Będzie takich więcej jak waćpan, choć w samej rzeczy z dobrego to gniazda dziewczyna i uczciwa. Płoche to, bo młode i gładkie.

— Zacny z waści kawaler, i dlatego ją chwalisz, ale że dzierlatka, to dzierlatka.

— Uroda ludzi ciągnie, exemplum: ten oto rotmistrz, okrutnie podobno w niej rozmiłowan.

— Ba, a spojrz-no waćpan na tego kruka, z którym ona rozmawia — co to za czort?

— To włoch Carboni, doktór księżnej.

— Uważ panie Michale, jak mu się latarnia rozjaśniła i ślepie przewraca jak w delirium. Ej! źle z panem Longinem! Znam ja się na tem trochę, bom za młodu niejednego doświadczył. W innej porze muszę waćpanu opowiedzieć wszystkie terminy w jakich bywałem, albo jeśli masz ochotę, to choć zaraz posłuchaj.

Pan Zagłoba począł szeptać coś do ucha małego rycerza i mrugać silniej jak zwykle, ale wtem nadeszła pora wyjazdu. Książę siadł z księżną do karety, aby przez drogę nagadać się z nią po długiem niewidzeniu dowoli; panny pozajmowały kolaski, a rycerstwo siadło na koń — i ruszono. Naprzód jechał dwór, a wojsko opodal z tyłu, gdyż kraj tu

był spokojny i chorągwie tylko dla ostentacyi, nie dla bezpieczeństwa potrzebne. Ciągnęli więc z Siennicy do Mińska, a ztamtąd do Warszawy, często gęsto ówczesnym obyczajem popasając. Trakt był tak zapchany, iż zaledwie noga za nogą można się było posuwać. Wszystko dążyło na elekcyę i z okolic pobliższych i z dalekiej Litwy: więc tu i owdzie spotykano dwory pańskie, całe orszaki pozłocistych karet, otoczone hajdukami, olbrzymiemi pajukami, ubranemi po turecku, za któremi postępowały nadworne roty, to węgierskie, to niemieckie, to janczarskie, to oddziały kozaków, to wreszcie poważne znaki niezrównanej jazdy polskiej. Każdy ze znaczniejszych starał się stawić i najokazalej i w jaknajliczniejszej asystencyi. Obok licznych magnackich kalwakat, ciągnęły i szczuplejsze dygnitarzy powiatowych i ziemskich. Co chwila z kurzawy wychylały się pojedyncze karabony szlacheckie, obite czarną skórą, zaprzężone w parę lub cztery konie, a w każdym siedział szlachcic, personat, z krucyfiksem, lub obrazem Najświętszej Panny, zawieszonym na jedwabnym pasie u szyi. Wszyscy zbrojni: muszkiet po jednej stronie siedzenia, szabla po drugiej, a u aktu-

alnych, lub byłych towarzyszów chorągwianych, jeszcze i kopja stercząca na dwa łokcie za siedzeniem. Pod karabonami szły psy legawe lub charty, nie dla potrzeby, boć przecie nie na łowy się zjeżdżano, ale dla pańskiej rozrywki. Z tyłu luzacy prowadzili konie powodowe, pokryte dekami dla ochrony bogatych siedzeń od deszczu lub kurzawy, dalej ciągnęły wozy skrzypiące o kołach powiązanych wiciami, a w nich namioty i zapasy żywności dla sług i panów. Gdy wiatr chwilami zwiewał kurzawę z traktu na polu, cała droga odsłaniała się i mieniła, jako wąż stubarwny, lub jako wstęga misternie ze złota i jedwabiów utkana. Gdzieniegdzie, na owej drodze, brzmiały ochocze kapele włoskie, lub janczarskie, zwłaszcza przed chorągwiami koronnego i litewskiego komputu, których również w tym tłumie nie brakło, bo dla asystencyi przy dygnitarzach iść musiały, a wszędy pełno było krzyku, gwaru, nawoływań, pytań i kłótni, gdy jedni drugim ustępować nie chcieli.

Raz wraz też doskakiwali konni żołnierze i słudzy i do orszaku książęcego, wzywając do ustąpienia dla takiego to a takiego dygnitarza, lub pytając, kto jedzie. Ale gdy uszu

ich doszła odpowiedź: wojewoda ruski! natychmiast dawali znać panom swym, którzy zostawiali drogę wolną, lub jeśli byli na przedzie, zjeżdżali w bok, by widzieć przeciągający orszak. Po popasach kupiła się szlachta i żołnierze, chcąc napoić ciekawe oczy widokiem największego w Rzeczypospolitej wojownika. Nie brakło też i wiwatów, na które książę wdzięcznie odpowiadał, raz z przyrodzonej mu ludzkości, a powtóre chcąc tą ludzkością kaptować stronników dla królewicza Karola, których też i nakaptował samym swym widokiem niemało.

Z równą ciekawością patrzono na chorągwie książęce, na owych „rusinów“, jak ich nazywano. Nie byli oni już tak obdarci i wynędzniali, jak po konstantynowskiej bitwie, bo książę w Zamościu dał nową barwę chorągwiom, ale zawsze poglądano na nich, jak na cuda zamorskie, gdyż w mniemaniu mieszkańców blizkich okolic stolicy, przychodzili z końca świata. Więc też i dziwy opowiadano o owych stepach tajemniczych i borach, w których się rodzi takie rycerstwo, podziwiano ich płeć ogorzałą, spaloną wichrami z Czarnego morza, ich hardość spojrzenia i pewną dzikość postawy, od dzikich sąsiadów przyjętą.

Ale najwięcej oczu zwracało się, po księciu na pana Zagłobę, który dostrzegłszy, jaki go podziw otacza, spoglądał tak dumnie i hardo, toczył tak strasznie oczyma, iż zaraz szeptano w tłumie: „ten to musi być rycerz między niemi najprzedniejszy!“ A inni mówili: „siła on już musiał dusz z ciał wypędzić, taki smok sierdzisty“ — gdy zaś podobne słowa dochodziły do uszu pana Zagłoby, starał się tylko o to, by jeszcze większą sierdzistością wewnętrzne ukontentowanie pokryć.

Czasem odzywał się do tłumu, czasem szydził, a najwięcej z litewskich komputowych chorągwi, w których poważne znaki nosiły złotą, a lekkie, srebrną pętelkę na ramieniu. — „Naści hetkę panie pętelko!“ — wołał na ten widok pan Zagłoba — więc też niejeden towarzysz sapnął, zgrzytnął, szablą trzasnął, ale pomyślawszy, iż to żołnierz z chorągwi wojewody ruskiego tak sobie pozwala, w ostatku spłunął i okazyi zaniechał.

Bliżej Warszawy, tłumy stały się tak gęste, iż tylko noga za nogą można się było posuwać. Elekcya obiecywała być liczniejszą jak zwykle, bo nawet szlachta z dalszych ruskich i litewskich okolic, która z przyczyny odległo-

ści nie byłaby dla samej elekcyi przybyła, ściągała teraz do Warszawy dla bezpieczeństwa. A przecie dzień wyboru był jeszcze daleki, gdyż zaledwie pierwsze posiedzenia sejmu się rozpoczęły; ale ściągano na miesiąc i dwa naprzód, by ulokować się w mieście, temu i owemu się przypomnieć, tu i owdzie promocyi poszukać; po dworach pańskich jadać i pijać i wreszcie, by po żniwach w stolicy rozkoszy zażyć.

Książę poglądał ze smutkiem przez tafle karety na owe tłumy rycerstwa, żołnierzy i szlachty, na te bogactwa i przepych ubiorów, myśląc, jakąby to siłę można z nich tworzyć— ile wojska wystawić! Czemu to ta Rzeczpospolita taka silna, ludna i bogata, dzielnem rycerstwem przepełniona, jest zarazem tak mdła, że sobie z jednym Chmielnickim i z dziczą tatarską poradzić nie umie? Czemu? Na krocie Chmielnickiego, możnaby krociami odpowiedzieć, gdyby owa szlachta, owo żołnierstwo, owe bogactwa i dostatki, owe pułki i chorągwie, chciały tak rzeczy publicznej służyć, jako prywacie służyły. Cnota w Rzeczypospolitej ginie! — myślał książę, — i wielkie ciało psuć się poczyna; męztwo dawne ginie i w słod-

kich wczasach, nie w trudach wojennych kocha się wojsko i szlachta! Książę miał poniekąd słuszność, ale o niedostatkach Rzeczypospolitej myślał tylko jak wojownik i wódz, któren wszystkich ludzi chciałby na żołnierzy przerobić i na nieprzyjaciela poprowadzić. Męztwo mogło się znaleść i znalazło się, gdy stokroć większe wojny zagroziły wkrótce Rzeczypospolitej. Jej brakło jeszcze czegoś więcej, czego książę-żołnierz w tej chwili nie dostrzegał, ale co widział jego nieprzyjaciel, kanclerz koronny, bieglejszy od Jeremiego statysta.

Lecz oto w siwem i błękitnem oddaleniu zamajaczyły spiczaste wieże Warszawy, więc dalsze księcia rozmyślania rozpierzchły się, a natomiast wydał rozkazy, które oficer służbowy wnet Wołodyjowskiemu, dowódcy eskorty, odniósł. Skoczył wskutek tych rozkazów pan Michał od kolaski anusinej, przy której dotąd koniem toczył, do ciągnących znacznie z tyłu chorągwi, aby szyk sprawić i w ordynku dalej już ciągnąć. Zaledwie jednak ujechał kilkanaście kroków, gdy usłyszał, że pędzi ktoś za nim, — obejrzał się: był to pan Charłamp, rotmistrz lekkiego znaku pana wojewody wileńskiego i anusin adorator.

Wołodyjowski wstrzymał konia, bo odrazu zrozumiał, że pewnie przyjdzie do jakowegoś zajścia, a lubił z duszy takie rzeczy pan Michał; pan Charłamp zaś zrównał się z nim i z początku nic nie mówił, sapał tylko i wąsami srodze ruszał, widocznie szukając wyrazów — nakoniec ozwał się:

— Czołem, czołem, panie dragan!

— Czołem, panie pocztowy.

— Jak waszmość śmiesz nazywać mnie pocztowym, — pytał zgrzytając zębami pan Charłamp, — mnie towarzysza i rotmistrza? ha?

Pan Wołodyjowski począł podrzucać obuszek, który trzymał w ręku, całą uwagę skupiwszy niby na to tylko, by po każdym młyńcu chwytać go za rękojeść — i odrzekł, jakby od niechcenia:

— Bo po pętelce nie mogę poznać szarży.

— Waść całemu towarzystwu uwłaczasz, którego nie jesteś godzien.

— A to dlaczego? — pytał zgłupia frant Wołodyjowski.

— Bo w cudzoziemskim autoramencie służysz.

— Uspokój-że się waćpan — rzecze pan Michał, — choć w dragonach służę, przeciem jest towarzysz i to nie lekkiego, ale poważnego znaku pana Wojewody — możesz tedy ze mną mówić, jak z równym, albo jak z lepszym. (*)

Pan Charłamp pomiarkował się trochę, poznawszy, iż nie z tak lekką, jak mniemał, osobą ma do czynienia, ale nie przestał zębami zgrzytać, bo go zimna krew pana Michała do jeszcze większej złości doprowadziła—więc rzekł:

— Jak waćpan śmiesz mi w drogę włazić?

— Ej, widzę waszmość okazyi szukasz?

— Może i szukam i to ci powiem, (tu pan Charłamp pochylił się do ucha pana Michała i kończył cichszym głosem) żeć uszy obetnę, jeśli mi przy pannie Annie będziesz zastępował drogę.

(*) Towarzysz z pod poważnego znaku nie mógł iść pod komendę nawet jenerała wojsk cudzoziemskiego autoramentu, przeciwnie nawet, często jenerał bywał oddawany pod komendę towarzysza; aby tego uniknąć, jenerałowie i oficerowie regimentów cudzoziemskich, starali się być jednocześnie towarzyszami w polskich. Takim towarzyszem był i pan Wołodyjowski.

Pan Wołodyjowski znów począł podrzucać obuszek bardzo pilnie, jakby to czas był właśnie na takową zabawę i ozwał się tonem perswazyi:

— Ej dobrodzieju, pozwól jeszcze pożyć — zaniechaj mnie!

— O nie! nic z tego! nie wymkniesz się! — rzekł pan Charłamp, chwytając za rękaw małego rycerza.

— Ja się przecie nie wymykam, — mówił łagodnie pan Michał, ale teraz na służbie jestem i z ordynansem księcia pana mojego dążę. Puść waść rękaw, puść proszę cię, bo inaczej co mnie biednemu robić: chyba tym oto obuchem w łeb zajadę i z konia zwalę.

Tu pokorny z początku głos Wołodyjowskiego, tak jakoś zasyczał jadowicie, że pan Charłamp spojrzał z mimowolnem zdziwieniem na małego rycerza i rękaw puścił.

— O! wszystko jedno! — rzekł — w Warszawie dasz mi pole, dopilnuję cię!

— Nie będę się krył, wszelako jakże to nam bić się w Warszawie? racz że mnie waszmość nauczyć! nie bywałem tam jeszcze w życiu mojem, ja prosty żołnierz, alem słyszał

o sądach marszałkowskich, które za wydobycie szabli pod bokiem króla, lub interrexa, gardłem karzą.

— Znać to, żeś waćpan w Warszawie nie bywał i żeś prostak, skoro się sądów marszałkowskich boisz, i nie wiesz, że w czasie bezkrólewia kaptur sądzi — z którym sprawa łatwiejsza, a już o waścine uszy gardła mi nie wezmą, bądź pewien!

— Dziękuję za naukę i często o instrukcyę poproszę, bo widzę, żeś waćpan praktyk nie lada, i mąż uczony, a ja, jakom tylko infimę minorum praktykował, ledwie adiectivum cum substantivo pogodzić umiem i gdybym waćpana chciał, broń Boże, głupim nazwać, to tyle tylko wiem, że powiedziałbym: stultus, a nie stulta, ani stultum.

Tu pan Wołodyjowski począł znów podrzucać obuszek, pan Charłamp zaś aż zdumiał się, potem krew mu uderzyła do twarzy i szablę z pochwy wyciągnął, ale w tem samem mgnieniu oka i mały rycerz, chwyciwszy obuszek pod kolano, swoją błysnął. Przez chwilę patrzyli na się jak dwa odyńce z rozwartemi nozdrzami i z płomieniem w oczach — lecz pan Charłamp zmiarkował się pierwszy, iż z samym

wojewodą przyszłoby mu mieć sprawę, gdyby na jego oficera, jadącego z rozkazem napadł— więc też i pierwszy szablisko napowrót schował.

— O! znajdę cię, taki synu! — rzekł.

— Znajdziesz, znajdziesz boćwino! — rzekł mały rycerz.

I rozjechali się, jeden do kalwakaty, drugi do chorągwi, które znacznie się przez ten czas zbliżyły, tak iż z kłębów kurzawy dochodził już tupot kopyt po twardym trakcie. Pan Michał wnet sprawił jazdę i piechotę do porządnego pochodu i ruszył na czele. Po chwili przyczłapał ku niemu pan Zagłoba.

— Czego chciało od ciebie owo straszydło morskie? — spytał Wołodyjowskiego.

— Pan Charłamp? Ej nic, wyzwał mnie na rękę.

— Masz tobie! — rzekł Zagłoba.—Na wylot cię swoim nosem przedziobie. Bacz, panie Michale, gdy się będziecie bili, abyś największego nosa w Rzeczypospolitej nie obciął, bo osobny kopiec trzebaby dla niego sypać. Szczęśliwy wojewoda wileński! inni muszą podjazdy pod nieprzyjaciela posyłać, a jemu ten towa-

rzysz zdaleka go zawietrzy. Ale za co cię wyzwał?

— Za to, żem przy kolasce panny Anny Borzobohatej jechał.

— Ba! trzeba mu było powiedzieć, żeby się do pana Longina do Zamościa udał. Tenby go dopiero poczęstował pieprzem z imbierem. Źle ten boćwinkarz trafił i widać mniejsze ma szczęście od nosa.

— Nie mówiłem mu nic o panu Podbipięcie, — rzekł Wołodyjowski, — bo nużby mnie zaniechał! Będę się na złość do Anusi z podwójnym ferworem zalecał, chcę też mieć swoją uciechę. A co my w tej Warszawie będziem mieli lepszego do roboty.

— Znajdziemy, znajdziemy! panie Michale— rzekł mrugając oczyma Zagłoba. — Kiedy byłem za młodych lat deputatem do exakcyi od chorągwi, w której służyłem, jeździło się po całym kraju, ale takiego życia jak w Warszawie nigdzie nie zaznałem.

— Mówisz waćpan, że inne jak u nas na Zadnieprzu?

— Ej! co i mówić!

— Bardzom ciekaw, — rzekł pan Michał.
A po chwili dodał:
— A tak i temu boćwinkowi wąsy podetnę, bo ma zadługie.

ROZDZIAŁ XI.

Upłynęło kilka tygodni. Szlachty na elekcyę zjeżdżało się coraz więcej. W mieście dziesięćkrotnie zwiększyła się ludność, bo razem z tłumami szlachty napływało tysiące kupców i bazarników z całego świata, począwszy od Persyi dalekiej, aż do Anglii zamorskiej. Na Woli zbudowano szopę dla senatu, a naokół bieliło się już tysiące namiotów, któremi obszerne błonia całkiem okryte zostały. Nikt jeszcze nie umiał powiedzieć, który z dwóch kandydatów, królewicz Kazimierz, kardynał, czy Karol Ferdynand, biskup płocki, zostanie wybrany. Z obu stron wielkie były starania i usilności. Puszczano w świat tysiące ulotnych pism, opiewających zalety i wady pretendentów — obaj mieli stronników licznych i potężnych. Po stronie Karola stał, jak wiadomo, książę Jeremi, tem groźniejszy dla

przeciwników, że zawsze prawdopodobnem było, iż pociągnie za sobą rozmiłowaną w nim szlachtę, od której wszystko ostatecznie zależało. Ale i Kazimierzowi sił nie brakło. Przemawiało za nim starszeństwo, po jego stronie stawały wpływy kanclerza, na jego stronę zdawał się przechylać prymas, za nim obstawała większość magnatów, z których każden licznych miał klijentów, a między magnatami i książę Dominik Zasławski-Ostrogski, wojewoda sandomierski, po Piławcach zniesławion wprawdzie bardzo i nawet sądem zagrożony, ale zawsze największy pan w całej rzeczypospolitej, ba, nawet w całej Europie — i mogący w każdej chwili niezmierny ciężar bogactw na szale swego kandydata przyrzucić.

Jednakże stronnicy Kazimierza gorzkie nieraz miewali chwile zwątpienia, bo jako się rzekło, wszystko zależało od szlachty, która już od 4 października tłumnie obozowała pod Warszawą i nadciągała jeszcze tysiącami ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, a która w niezmiernej większości opowiadała się przy księciu Karolu, pociągana urokiem imienia Wiśniowieckiego i ofiarnością królewicza na cele publiczne. Królewicz bowiem, pan gospodarny

i zamożny, nie zawahał się w tej chwili poświęcić znacznych kosztów na formowanie nowych regimentów wojsk, które pod komendę Wiśniowieckiego miały być oddane. Kazimierz chętnie byłby poszedł za jego przykładem i pewnie nie chciwość go wstrzymywała, ale właśnie przeciwnie: zbytnia hojność, której bezpośrednim skutkiem był niedostatek i wieczny brak pieniędzy w skarbcu. Tymczasem obaj żywe prowadzili ze sobą rokowania. Codziennie latali posłańcy między Nieporętem a Jabłonną. Kazimierz w imię swego starszeństwa i miłości braterskiej zaklinał Karola, by ustąpił — biskup zaś opierał się, odpisywał, iż nie godzi mu się gardzić szczęściem, które go spotkać może „gdyż to szczęście in liberis suffragiis Rzplitej i komu pan Bóg obiecał“ — a tymczasem czas płynął, sześciotygodniowy termin zbliżał się — i razem z nim groza kozacka, bo przyszły wieści, że Chmielnicki porzuciwszy oblężenie Lwowa, któren się po kilku szturmach okupił, stanął pod Zamościem i dzień i noc do tej ostatniej zasłony Rzeczpospolitej szturmuje.

Mówiono również, że oprócz posłów, których Chmielnicki do Warszawy wysłał z listem

i oświadczeniem, iż jako szlachcic polski za Kazimierzem głos daje, kryło się między tłumami szlachty i w samem mieście pełno przebranej starszyzny kozackiej, której nikt rozpoznać nie umiał, bo poprzybywali jako szlachta słuszna i zamożna, w niczem się od innych elektorów, zwłaszcza z ziem ruskich nie różniąc — nawet i mową. Jedni, jak mówiono, poprzekradali się dla prostej ciekawości, aby się elekcyi i Warszawie przypatrzyć, inni na przeszpiegi, dla zasięgnięcia wieści, co o przyszłej wojnie mówią, ile wojsk myśli Rzplita wystawić i jakie na zaciągi obmyśli fundusze? Może było i dużo prawdy w tem, co o owych gościach mówiono, bo między starszyzną zaporozką wielu było zkozaczonych szlachciców, którzy i łaciny nieco zarwali, a przeto nie było ich po czem poznać, zresztą na dalekich stepach w ogóle nie kwitła łacina i tacy kniazie Kurcewicze, nie umieli jej tak dobrze, jak Bohun i inni atamani.

Ale gadania podobne, których pełno było i na polu elekcyjnem i w mieście, wraz z wieściami o postępach Chmielnickiego i o podjazdach kozacko-tatarskich, które jakoby aż po Wisłę docierały, napełniały niepokojem i trwo-

gą dusze ludzkie, a nieraz stawały się przyczyną tumultów. Dość było między zebraną szlachtą rzucić na kogo podejrzenie, iż jest przebranym zaporożcem, aby go w jednej chwili, nim zdołał się usprawiedliwić, rozniesiono w drobne strzępy na szablach. W ten sposób ginąć mogli ludzie niewinni i powaga obrad była znieważana, zwłaszcza, że obyczajem ówczesnym niezbyt przestrzegano i trzeźwości. Kaptur postanowiony „propter securitatem loci" nie mógł sobie dać rady z ciągłemi burdami w których siekano się z lada powodu. Ale jeśli ludzi statecznych, przejętych miłością dobra i spokoju, oraz niebezpieczeństwem, jakie ojczyźnie groziło, martwiły owe tumulty, siekaniny i pijatyki, natomiast szałapuci, kosterzy i warchołowie, czuli się jakoby w swoim żywiole, uważali, że to ich właśnie czas, ich żniwo — i tem śmielej dopuszczali się różnych zdrożności.

Nie trzeba zaś mówić, że między niemi rej wodził pan Zagłoba, którą to hegemonię zapewniła mu i wielka sława rycerska i nienasycone pragnienie, poparte możnością picia i język tak wyprawny, że żaden inny zrównać mu nie mógł i wielka pewność siebie, której

nic zachwiać nie zdołało. Chwilami miewał on jednak napady „melankolii“ — wówczas zamykał się w izbie lub w namiocie i nie wychodził, a jeśli wyszedł, bywał w gniewliwym humorze, skłonny do zwady i bójki naprawdę. Zdarzyło się nawet, iż w takiem usposobieniu poszczerbił mocno pana Duńczewskiego, rawianina, za to tylko, iż przechodząc, o jego szablę zawadził. Pana Michała tylko wówczas obecność znosił, przed którym uskarżał się, iż go tęskność za panem Skrzetuskim i za „niebogą“ trawi. „Opuściliśmy ją panie Michale, mawiał, wydaliśmy ją jako judasze w bezbożne ręce — już wy mnie się waszem: „nemine excepto“ nie zasłaniajcie! Co się z nią dzieje, panie Michale—powiedz?“

Napróżno pan Michał tłumaczył mu, że gdyby nie Piławce, toby „niebogi“ szukali, ale że teraz, gdy przegrodziła ich od niej cała potęga Chmielnickiego, jest to rzecz niepodobna. Szlachcic nie dawał się pocieszyć, tylko w jeszcze większą pasyę wpadał, klnąc na czem świat stoi *pierzynę*, *dziecinę* i *łacinę*.

Ale owe chwile smutku krótko trwały. Zwykle potem pan Zagłoba, jakoby chcąc sobie wynagrodzić czas stracony, hulał i pił

jeszcze więcej jak zwykle; czas spędzał pod wiechami, w towarzystwie największych opojów, lub stołecznych gamratek, w czem pan Michał wiernie dotrzymywał mu towarzystwa.

Pan Michał, żołnierz i oficer wyborny, nie miał w sobie jednak ani na szeląg tej powagi, jaką np. w Skrzetuskim wyrobiły nieszczęścia i cierpienie. Obowiązek swój względem Rzeczypospolitej rozumiał Wołodyjowski w ten sposób, że bił kogo mu kazano — o resztę nie dbał, na sprawach publicznych się nie rozumiał; klęskę wojskową gotów był zawsze opłakiwać, ale ani do głowy mu nie przyszło, że warcholstwo i tumulty tyle są rzeczy publicznej szkodliwe, ile i klęski. Był to słowem młodzik i wietrznik, który dostawszy się w szum stołeczny, utonął w nim po uszy, i przyczepił się jak oset do Zagłoby, bo ten był mu mistrzem w swawoli. Jeździł więc z nim i między szlachtę, której przy kielichu niestworzone rzeczy opowiadał Zagłoba, kaptując zarazem stronników dla królewicza Karola, pił z nim razem, w potrzebie osłaniał go, kręcili się obaj i po polu elekcyjnem i w mieście jak muchy w ukropie — i nie było kąta, do któregoby nie wleźli, byli i w Nieporęcie

i w Jabłonnie i na wszystkich ucztach, obiadach u magnatów i pod wiechami, byli wszędy i uczestniczyli we wszystkiem. Pana Michała swierzbiała młoda ręka, chciał się pokazać i okazać zarazem, że szlachta ukraińska lepsza jak inna, a żołnierze książęcy nad wszystkich Więc jeździli umyślnie szukać awantur, między łęczycanów, jako do korda najsprawniejszych, a głównie między partyzantów księcia Dominika Zasławskiego, ku którym obaj szczególną czuli nienawiść. Zaczepiali tylko co znamienitszych rembajłów, których sława była niezachwiana i ustalona i z góry układali zaczepki. „Waszmość dasz okazyę, mawiał pan Michał, a ja potem wystąpię.“ Zagłoba biegły bardzo w szermierce i do pojedynku z bratem szlachcicem wcale nie tchórz, nie zawsze zgadzał się na zastępstwo, zwłaszcza w zajściach z Zasławczykami, ale gdy z jakim łęczyckim graczem przyszło mieć do czynienia, poprzestawał na dawaniu okazyi, gdy zaś już szlachcic rwał się do szabli i wyzywał, wtedy pan Zagłoba mawiał: „Mój mospanie! jużbym też nie miał sumienia, gdybym na śmierć oczywistą waćpana narażał, sam się z nim potykając sprobuj się lepiej z tym oto moim synalkiem;

i uczniem, bo nie wiem, czy i jemu sprostasz“. Po takich słowach wysuwał się pan Wołodyjowski ze swemi zadartemi wąsikami, zadartym nosem i miną gapia i czy go przyjmowano, czy nie, puszczał się w taniec, a że istotnie mistrz to był nad mistrzami, więc po kilku złożeniach kładł zwykle przeciwnika. Takie to sobie obaj z Zagłobą wymyślali zabawy, od których ich sława między niespokojnemi duchami i między szlachtą rosła, ale szczególniej sława pana Zagłoby, bo mówiono, „Jeśli uczeń taki, jakiż mistrz być musi.“ Jednego tylko pana Charłampa, Wołodyjowski nigdzie przez długi czas odnaleść nie mógł — myślał nawet, że go może na Litwę napowrót w jakich sprawach wysłano.

W ten sposób zeszło sześć blizko tygodni, w czasie których i rzeczy publiczne posunęły się znacznie naprzód. Wytężona walka między braćmi kandydatami, zabiegi ich stronników, gorączka i wzburzenie namiętności w partyzantach, wszystko przeszło prawie bez śladu i pamięci. Wiadomo już było wszystkim, że Jan Kazimierz będzie wybrany, bo królewicz Karol bratu ustąpił i dobrowolnie zrzekł się kandydatury. Dziwna rzecz, że w tej chwili

wiele głos Chmielnickiego zaważył, gdyż spodziewano się powszechnie, że podda się powadze króla, zwłaszcza takiego, który w jego myśl obrany został. Jakoż te przewidywania, sprawdziły się w znacznej części. Za to dla Wiśniowieckiego, który ani na chwilę, jak ongi Kato, nie przestawał upominać, aby owa zaporozka Kartagina została zburzona — taki obrót rzeczy był nowym ciosem. Teraz musiały już wejść na porządek spraw układy. Książę wiedział wprawdzie, że te układy albo odrazu nie doprowadzą do niczego, albo wkrótce siłą rzeczy zostaną zerwane i widział wojnę w przyszłości — ale niepokój ogarniał go na myśl, jaki będzie los tej wojny. Po układach, uprawniony Chmielnicki będzie jeszcze silniejszy — a Rzeczpospolita słabszą. I kto poprowadzi jej wojska przeciw tak wsławionemu jak Chmielnicki wodzowi? Zali nie przyjdą nowe klęski, nowe pogromy, które do ostatka siły wyczerpią. Bo książę nie łudził się—i wiedział, że jemu, najżarliwszemu stronnikowi Karola, nie oddadzą buławy. Kazimierz obiecał wprawdzie bratu, że jego stronników, tak jak i swoich będzie miłował, Kazimierz miał duszę wspaniałą — ale Kazimierz był stronni

kiem polityki kanclerza — kto inny więc weźmie buławę — nie książę — i biada Rzplitej, jeśli to nie będzie wódz od Chmielnickiego bieglejszy. Na tę myśl podwójny ból uciskał duszę Jeremiego — bo i obawa o przyszłość ojczyzny i to nieznośne uczucie, jakie ma człowiek, który widzi, że zasługi jego będą pominięte, że sprawiedliwość nie będzie mu oddana i że inni nad nim głowę podniosą. Nie byłby Jeremi Wiśniowieckim, gdyby nie był dumnym. On czuł w sobie siły do dźwigania buławy — i na nią zasłużył — więc cierpiał podwójnie.

Mówiono nawet między oficerami, że książę nie będzie czekał końca elekcyi i że z Warszawy wyjedzie — ale nie była to prawda. Książę nie tylko nie wyjechał, ale odwiedził nawet królewicza Kazimierza w Nieporęcie, od którego z niezmierną łaskawością został przyjęty, poczem wrócił do miasta na dłuższy pobyt, którego wymagały sprawy wojskowe. Chodziło o uzyskanie środków na wojsko — o co pilnie nastawał książę. Przytem za Karolowe pieniądze tworzyły się nowe regimenta dragonów i piechoty. Jedne wysłano już na Ruś, drugie dopiero należało do ładu przyprowadzić. W tym celu rozsyłał książę na wszyst-

kie strony oficerów, biegłych w rzeczach organizacyi wojskowej, aby owe pułki przyprowadzali do pożądanego stanu. Został wysłany Kuszel i Wierszułł, a wreszcie przyszła kolej i na Wołodyjowskiego.

Pewnego dnia wezwano go przed oblicze księcia, któren taki mu dał rozkaz:

— Pojedziesz waść na Babice i Lipków do Zaborowa, gdzie czekają konie dla regimentu przeznaczone; tam je opatrzysz, wybrakujesz — i zapłacisz panu Trzaskowskiemu, a następnie przyprowadzisz je dla żołnierzy. Pieniądze za tym moim kwitem, tu w Warszawie, od płatnika odbierzesz.

Pan Wołodyjowski wziął się raźno do roboty, pieniądze odebrał i tegoż dnia obaj z Zagłobą ruszyli do Zaborowa, w samo dziesięć i z wozem, który wiózł pieniądze. Jechali wolno, bo cała okolica z tamtej strony Warszawy roiła się od szlachty, służby, wozów i koni; wioski aż po Babice były tak zapchane, że we wszystkich chałupach mieszkali goście. Łatwo było i o przygodę w natłoku ludzi różnych humorów — jakoż mimo największych starań i skromnego zachowania się, nie uniknęli jej i dwaj przyjaciele.

Dojechawszy do Babic, ujrzeli przed karczmą kilkunastu szlachty, która właśnie siadała na koń, aby jechać w swoją drogę. Dwa oddziały pozdrowiwszy się wzajemnie, już miały się pominąć, gdy nagle jeden z jeźdzców spojrzał na pana Wołodyjowskiego — i nie rzekłszy słowa, puścił się rysią ku niemu.

— A tuś mi bratku! — zakrzyknął — chowałeś się, alem cię znalazł — nie ujdziesz mi teraz! Hej! mości panowie! — zakrzyknął na swoich towarzyszów, — a czekajcie-no trocha! mam temu oficerkowi coś powiedzieć, i chciałbym abyście świadkami moich słów byli.

Pan Wołodyjowski uśmiechnął się z zadowoleniem — bo poznał pana Charłampa.

— Bóg mi świadkiem, żem się nie chował— rzekł, i sam waćpana szukałem, aby się go zapytać, czyliś rankor jeszcze dla mnie zachował — ale cóż! nie mogliśmy się spotkać.

— Panie Michale, — szepnął Zagłoba, — po służbie jedziesz!

— Pamiętam — mruknął Wołodyjowski.

— Stawaj do sprawy! — wrzeszczał Charłamp. — Mości panowie! obiecałem temu młodzikowi, temu gołowąsowi, że mu uszy obetnę— i obetnę, jakem Charłamp! oba, jakem Char-

łamp! bądźcie świadkami waszmościowie, a ty młodziku, stawaj do sprawy!

— Nie mogę! jak mnie Bóg miły, nie mogę! — mówił Wołodyjowski, — pofolguj-że mi wasze choć parę dni.

— Jakto, nie możesz? tchórz cię obleciał? Jeśli w tej chwili nie staniesz, toć opłazuję, aż się dziadek i babka przypomni. O bąku! o gzie jadowity, w drogę wchodzić umiesz, naprzykrzać się umiesz, językiem kąsać umiesz, a do szabli cię niema!

Tu wmieszał się pan Zagłoba.

— Widzi mi się, że waszmość w piętkę gonisz, — rzekł do Charłampa — i bacz, żeby cię ten bąk naprawdę nie ukąsił, bo wtedy żadne plastry nie pomogą. Tfu! do djabła, czy nie widzisz, że ten oficer za służbą jedzie, spójrz na ten wóz z pieniędzmi, które do regimentu wieziemy, i zrozum do kaduka, iż strażując przy skarbie, ten oficer swoją osobą nie rozporządza i pola dać ci nie może. Kto tego nie rozumie, ten kiep, nie żołnierz. Pod wojewodą ruskim służym i nie takich bijaliśmy jak waćpan — ale dziś nie można, a co się odwlecze, to nie uciecze.

— Już ci pewno, że kiedy z pieniędzmi jadą, to nie mogą, rzekł jeden z towarzyszów Charłampa.

— A co mnie do ich pieniędzy! — krzyczał niepohamowany pan Charłamp — niech mi pole daje, bo inaczej płazować zacznę.

— Pola dziś nie dam, ale parol kawalerski dam, rzekł pan Michał, że się stawię za trzy lub cztery dni, gdzie chcecie, jak tylko sprawy po służbie załatwię. A nie będziecie się waszmościowie tą obietnicą kontentować, to każę cynglów ruszać, bo będę myślał, że nie ze szlachtą i nie z żołnierzami, ale z rozbójnikami mam do czynienia. Wybierajcie tedy do wszystkich dyabłów, gdyż nie mam czasu tu stać!

Słysząc to eskortujący dragoni, zwrócili natychmiast rury muszkietów ku napastnikom, a ten ruch, również jak i stanowcze słowa pana Michała, widoczne wywarły wrażenie na towarzyszach pana Charłampa. „Już też pofolguj, mówili mu, sameś żołnierz, wiesz co to służba, a to pewna, że satysfakcyę otrzymasz, bo to śmiała jakaś sztuka, jak i wszyscy z pod ruskich chorągwi. Pohamuj się—póki prosim.“

Pan Charłamp rzucał się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie zmiarkował, że albo towarzyszów rozgniewa, albo ich na niepewną walkę z dragonami narazi — więc zwrócił się do Wołodyjowskiego i rzekł:

— Dajesz tedy parol, że się stawisz.

— Sam cię poszukam, choćby za to, że o taką rzecz dwa razy pytasz. Stawię się w czterech dniach; dziś mamy środę, niechże będzie w sobotę po południu, we dwie godzin. Obieraj miejsce.

— Tu w Babicach siła gości — rzekł Charłamp — mogłyby jakowe impedimenta się zdarzyć. Niechże będzie tu obok w Lipkowie, tam już spokojniej i mnie niedaleko, bo nasze kwatery w Babicach.

— A waćpanów taka sama będzie liczna kompania jak dziś?—pytał przezorny Zagłoba.

— O, nie trzeba! — rzekł Charłamp—przyjadę tylko ja i panowie Sieliccy, moi krewni. Waszmościowie też, spero, bez dragonów staniecie.

— Może u was w asystencyi wojskowej do pojedynku stają — rzekł pan Michał — u nas niema takiej mody.

— Tedy w czterech dniach, w sobotę, w Lipkowie? — rzekł Charłamp. — Znajdziem się przed karczmą, a teraz z Bogiem!

— Z Bogiem! — rzekł Wołodyjowski i Zagłoba.

Przeciwnicy rozjechali się spokojnie. Pan Michał był uszczęśliwiony z przyszłej zabawy i obiecywał sobie zrobić prezent panu Longinowi z obciętych wąsów petyhorca. Jechał więc w dobrej myśli do Zaborowa, gdzie zastał i królewicza Kazimierza, któren tam na łowy przyjechał. Wszelako pan Michał zdaleka tylko widział przyszłego pana, bo spieszył się. We dwa dni sprawy ułatwił, konie obejrzał, zapłacił pana Trzaskowskiego, wrócił do Warszawy i na termin, ba, nawet o godzinę zawcześnie, stanął w Lipkowie, wraz z Zagłobą i panem Kuszlem, którego na drugiego świadka zaprosił.

Zajechawszy przed karczmę, którą żyd trzymał, weszli do izby, aby gardła trochę miodem przepłukać i przy szklenicy zabawiali się rozmową.

— Parchu, a pan jest w domu? — pytał karczmarza Zagłoba.

— Pan w mieście.

— A siła u was szlachty stoi w Lipkowie?

— U nas pusto. Jeden tylko pan stanął tu u mnie — i siedzi w alkierzu — bogaty pan ze służbą i końmi.

— A czemu do dworu nie zajechał?

— Bo widać naszego pana nie zna. Zresztą dwór zamknięty od miesiąca.

— A może to Charłamp? — rzekł Zagłoba.

— Nie, — rzekł Wołodyjowski.

— Ej! panie Michale, mnie się widzi, że to on.

— Co znowu!

— Pójdę, zajrzę, kto to jest. Żydzie, a dawno ten pan stoi?

— Dziś przyjechał, niema dwóch godzin.

— A nie wiesz zkąd on jest?

— Nie wiem, ale musi być zdaleka, bo konie miał zniszczone, ludzie mówili, że z za Wisły.

— Czemu on tedy aż tu w Lipkowie stanął?

— Kto jego wie?

— Pójdę zobaczę — powtórzył Zagłoba, — może kto znajomy.

I zbliżywszy się do zamkniętych drzwi alkierza, zapukał w nie rękojeścią i ozwał się:

— Mości panie! — można wejść?

— A kto tam? — ozwał się głos ze środka.

— Swój!—rzekł Zagłoba—uchylając drzwi. Z przeproszeniem waszmości, może nie w porę? dodał wsadzając głowę do alkierza.

Nagle cofnął się, drzwiami trzasnął, jakoby śmierć zobaczył. Na twarzy jego malował się przestrach w połączeniu z największem zdumieniem, usta otworzył i spoglądał obłąkanemi oczyma na Wołodyjowskiego i Kuszla.

— Co waćpanu jest?—pytał Wołodyjowski.

— Na rany Chrystusa! cicho! — rzekł Zagłoba — tam! Bohun!

— Kto? co się waści stało?

— Tam... Bohun!..

Obaj oficerowie podnieśli się na równe nogi.

— Czyż waść rozum stracił? Miarkuj się: kto?

— Bohun! Bohun!

— Nie może być.

— Jakom żyw! jak tu przed wami stoję, klnę się na Boga i wszystkich Świętych.

— Czegożeś się waść tak stropił? — rzekł Wołodyjowski. Jeśli on tam jest, to Bóg podał go w nasze ręce. Uspokój się waść. Jest-żeś pewny, że to on?

— Jako że z waćpanem mówię. — Widziałem go, szaty przewdziewa.

— A on waćpana widział?

— Nie wiem, zdaje się, że nie.

Wołodyjowskiego oczy zaiskrzyły się jak węgle.

— Żydzie! — rzekł zcicha, kiwając gwałtownie ręką. Chodź tu! Czy są drzwi z alkierza?

— Niema, jeno przez tę izbę.

— Kuszel pod okno! — szepnął pan Michał. — O, już nam teraz nie ujdzie!

Kuszel, nie mówiąc ni słowa, wybiegł z izby.

— Przyjdź waćpan do siebie, — rzekł Wołodyjowski. Nie nad waścinym, ale nad jego karkiem zguba wisi. Co on ci może uczynić?— nic.

— Ja też jeno ze zdziwienia nie mogę ochłonąć! — odparł Zagłoba, a w duchu pomyślał: Prawda! czego ja się mam bać? Pan Michał przy mnie — niech się Bohun boi!

I nasrożywszy się okrutnie, chwycił za rękojeść szabli.

— Panie Michale, już on nie powinien nam ujść!

— Czy to jeno on? bo mi się jeszcze wierzyć nie chce. Coby on tu robił?

— Chmielnicki go na przeszpiegi przysłał. To najpewniejsza rzecz! Czekaj, panie Michale. Chwycimy go i postawimy kondycyę: albo kniaziównę odda, albo zagrozimy mu, że go wydamy sprawiedliwości.

— Byle kniaziównę oddał, jechał go sęk!

— Ba, ale czy nas nie zamało? dwóch i Kuszel trzeci? Będzie się on bronił, jak wściekły, a ludzi też ma kilku.

— Charłamp z dwoma przyjedzie — będzie nas sześciu! dość! — cyt!

W tej chwili otworzyły się drzwi i Bohun wszedł do izby.

Nie musiał on poprzednio dostrzedz zaglądającego do alkierza Zagłoby, gdyż teraz na jego widok drgnął nagle i jakoby płomień przeleciał mu przez oblicze, a ręka z szybkością błyskawicy spoczęła na głowni szabli — ale wszystko to trwało jedno mgnienie oka. Wnet ów płomień zgasł w jego twarzy, która jednak przybladła nieco.

Zagłoba patrzył nań i nie mówił nic—ataman również stał milczący; w izbie słyszałbyś przelatującą muchę — i ci dwaj ludzie,

których losy plątały się w tak dziwny sposób, udawali w tej chwili, że się nie znają.

Trwało to dość długo. Panu Michałowi wydało się, że upływają wieki całe.

— Żydzie, — rzekł nagle Bohun — daleko ztąd do Zaborowa?

— Niedaleko — odparł żyd.—Wasza mość zaraz jedzie?

— Tak jest — rzekł Bohun i skierował się ku drzwiom izby, wiodącym do sieni.

— Za pozwoleniem — zabrzmiał głos Zagłoby.

Watażka zatrzymał się odrazu, jakby w ziemię wrosł — i zwróciwszy się ku Zagłobie, wpił w niego swe czarne, straszne źrenice.

— Czego waść życzysz? — spytał krótko.

— Ej, bo mnie się zdaje, że my się skąścić znamy. A czy my się to nie na weselu w chutorze, na Rusi, widzieli?

— A tak jest! — rzekł hardo watażka, kładąc znowu rękę na głowni.

— Jak zdrowie służy? — pytał Zagłoba.— Bo waćpan tak jakoś nagle wtedy z chutoru wyjechał, że i pożegnać się nie miałem czasu.

— A waszmość tego żałował?

— Pewnie, że żałowałem, bylibyśmy potańcowali; kompania się zwiększyła. (Tu pan Zagłoba wskazał na Wołodyjowskiego). Właśnie ten oto kawaler nadjechał, który radby się był z waścią bliżej poznać.

— Dość tego! — krzyknął pan Michał, wstając nagle — zdrajco, aresztuję cię!

— A to jakiem prawem? — spytał ataman, podnosząc dumnie głowę.

— Boś buntownik, wróg Rzeczypospolitej i na przeszpiegi tu przyjechałeś.

— A waść coś za jeden?

— O! nie będę się tobie wywodził! — ale mi się nie wymkniesz!

— Zobaczymy! — rzekł Bohun. Nie wywodziłbym się i ja waszmości ktom jest, gdybyś mnie jako żołnierz na szable wyzwał, ale skoro aresztem grozisz, to ci się wywiodę: oto jest list, który od hetmana zaporozkiego do królewicza Kazimierza wiozę i nie znalazłszy go w Nieporęcie, do Zaborowa za nim jadę. Jakże to mnie będziesz teraz aresztował?

To rzekłszy Bohun, spojrzał dumnie i szydersko na Wołodyjowskiego, a pan Michał zmieszał się bardzo, jak ogar, który czuje, że mu się zwierzyna wymyka i nie wiedząc co ma

począć, zwrócił pytający wzrok na Zagłobę. Nastała ciężka chwila milczenia.

— Ha! — rzekł Zagłoba — trudno! Skoro jesteś posłańcem, tedy cię już aresztować nie możemy — ale z szablą się temu oto kawalerowi nie nadstawiaj, bo jużeś raz przed nim umykał, aż ziemia jęczała.

Twarz Bohuna powlokła się purpurą — bo w tej chwili poznał Wołodyjowskiego. Wstyd i zraniona duma zagrały naraz w nieustraszonym watażce. Wspomnienie to ucieczki paliło go jak ogień. Była to jedyna niestarta plama na jego sławie mołojeckiej, którą nad życie i nad wszystko kochał.

A nieubłagany Zagłoba ciągnął dalej z zimną krwią:

— Ledwieś i hajdawerków nie zgubił — aż litość tego kawalera tknęła i życie ci darował. Tfu! mości mołojcze! białogłowską masz twarz, ale i białogłowskie serce. Byłeś odważny ze starą kniaziową i z dzieciuchem kniaziem — ale z rycerzem, dudy w miech! Listy tobie wozić, panny porywać, nie na wojnę chodzić. Jak mnie Bóg miły na własne oczy widziałem, jak hajdawerki oblatywały. Tfu! tfu! Ot i teraz o szabli gadasz, bo list wieziesz. Jakże to nam się z tobą

potykać, gdy tem pismem się zasłaniasz? Piasek w oczy, piasek w oczy, mości mołojcze! Chmiel dobry żołnierz, Krzywonos dobry, ale wielu jest między kozactwem drapihrustów.

Bohun posunął się nagle ku panu Zagłobie, a pan Zagłoba zasunął się również szybko za pana Wołodyjowskiego, tak że dwaj młodzi rycerze stanęli przed sobą oko w oko.

— Nie od strachu ja przed waćpanem uciekał, ale by ludzi ratować — mówił Bohun.

— Nie wiem dla jakich tam przyczyn umykałeś, ale wiem, żeś umykał — rzecze pan Michał.

— Wszędy dam waści pole — choćby tu zaraz.

— Wyzywasz mnie? — pytał przymrużając oczy Wołodyjowski.

— Ty mnie sławę mołojecką wziął, ty mnie pohańbił! mnie twojej krwi potrzeba.

— To i zgoda — rzekł Wołodyjowski.

— Volenti non fit injuria — dodał Zagłoba. Ale któż królewiczowi list odda?

— Niech-że was głowa o to nie boli; to moja sprawa!

— Bijcie się tedy, kiedy nie może być inaczej, — mówił Zagłoba. Gdyby ci się też po-

szczęściło, mości watażko, z tym oto kawalerem — bacz, że, ja drugi staję. A teraz chodź panie Michale przed sień, mam ci coś pilnego powiedzieć.

Dwaj przyjaciele wyszli i odwołali Kuszla z pod okna alkierza, poczem Zagłoba rzekł:

— Mości panowie, zła nasza sprawa. On naprawdę ma list do królewicza — zabijemy go, to kryminał. Pomnijcie, że kaptur „propter securitatem loci“ w dwóch milach, od pola elekcyi sądzi — a to wszakże quasi poseł. Ciężka sprawa! Musimy się chyba potem gdzie schować, albo może książę nas osłoni — inaczej może być źle. A znowu puszczać go wolno — jeszcze gorzej. Jedyna to sposobność oswobodzenia naszej niebogi. Gdy go nie będzie na świecie, łatwiej jej odszukamy — Bóg sam, widocznie, chce jej i Skrzetuskiemu pomódz—ot, co jest! Radźmy, mości panowie.

— Waść przecie znajdziesz jaki fortel? — rzekł Kuszel.

— Już to przez mój fortel sprawiłem, że on sam nas wyzwał. Ale trzeba świadków, obcych ludzi. Moja myśl jest, by na Charłampa zaczekać. Biorę to na siebie, że on pierwszeństwa ustąpi — i w potrzebie będzie świadczył,

jakośmy zostali wyzwani i musieli się bronić. Trzeba się też i od Bohuna wywiedzieć lepiej, gdzie dziewczynę ukrył. Jeśli ma zginąć — nic mu po niej — może powie, gdy go zaklniemy. A nie powie — to i tak lepiej, by nie żył. —Trzeba wszystko przezornie i roztropnie czynić. — Głowa pęka, mości panowie.

— Któż się będzie z nim bił? — pytał Kuszel.

— Pan Michał pierwszy, ja drugi — rzekł Zagłoba.

— A ja trzeci.

— Nie może być — przerwał pan Michał— ja się jeden biję i na tem koniec. Położy mnie, to jego szczęście — niechże jedzie zdrów.

— O! jam mu już zapowiedział — rzekł Zagłoba, ale jeśli tak waszmościowie postanowicie — to ustąpię.

— No, jego wola, czy i z waćpanem ma się bić, ale więcej z nikim.

— Chodźmy tedy do niego.

— Chodźmy.

Poszli — i zastali Bohuna w głównej izbie popijającego miód. — Watażka już był spokojny zupełnie.

— Posłuchaj-no waćpan — rzekł Zagłoba— bo to są ważne sprawy, o których chcemy z tobą pomówić. Waćpan wyzwałeś tego kawalera — dobrze! ale trzeba ci wiedzieć, że skoro posłujesz — to cię prawo broni, boć do politycznego narodu, nie między dzikie bestye przyjechałeś. Owóż nie możemy ci dać pola inaczej, chyba przy świadkach zapowiesz, żeś sam z własnej ochoty wyzwał. Przyjedzie tu kilku szlachty, z którymi mieliśmy się pojedynkować — przed nimi to oświadczysz — my zaś damy ci kawalerski parol, że jeślić się poszczęści z panem Wołodyjowskim, tedy odjedziesz wolno i nikt ci nie będzie stawiał przeszkód, chyba, że jeszcze ze mną zmierzyć się zechcesz.

— Zgoda, — rzekł Bohun. — Powiem przy owej szlachcie i ludziom moim zapowiem, aby list odwieźli — i Chmielnickiemu powiedzieli, jeśli zginę, że ja sam wyzwał. A poszczęści mnie Bóg z tym kawalerem sławę mołojecką odzyskać — tak i waćpana jeszcze potem na szabelki poproszę.

To rzekłszy, spojrzał Zagłobie w oczy, a Zagłoba zmieszał się nieco, kaszlnął, splunął i odrzekł:

— Zgoda. Gdy się z tym uczniem moim popróbujesz, poznasz, jaką ze mną będziesz miał robotę. Ale mniejsza z tem. Jest drugie punctum ważniejsze, w którem do sumienia twego się odwołujemy, gdyż, luboś kozak, chcemy cię jako kawalera traktować. Waćpan porwałeś kniaziówne Helenę Kurcewiczównę, narzeczoną naszego towarzysza i przyjaciela i trzymasz ją w ukryciu. Wiedz, że gdybyśmy cię o to zapozwali, nicby ci nie pomogło, że cię Chmielnicki posłem swoim kreował, bo to jest raptus puellae, gardłowa sprawa, któraby tu wnet sądzona była. Ale gdy do bitwy masz iść i możesz zginąć, wejdź w siebie, co się z tą niebogą stanie, gdy zginiesz? Zali jej zła i zguby chcesz, ty, który ją niby miłujesz? zali ją pozbawisz opieki, na hańbę i nieszczęście wydasz? zali katem jej i po śmierci jeszcze chcesz zostać?

Tu głos pana Zagłoby zabrzmiał niezwykłą mu powagą, a Bohun pobladł — i pytał:

— Czego wy odemnie chcecie?

— Wskaż nam miejsce jej uwięzienia, abyśmy na wypadek twojej śmierci mogli ją odnaleść i narzeczonemu oddać. Bóg będzie miał litość nad twoją duszą, jeśli to uczynisz.

Watażka wsparł głowę na dłoniach i zamyślił się głęboko, a trzej towarzysze pilnie śledzili zmiany w tej ruchliwej twarzy, która nagle oblała się takim smutkiem tkliwym, jakby na niej nigdy gniew, ani wściekłość, ani żadne srogie uczucia nie grały i jakby ten człowiek tylko do kochania i tęsknoty był stworzony. Długi czas trwało milczenie, aż wreszcie przerwał je głos Zagłoby, który drżał, mówiąc następne słowa:

— Jeżeliś zaś ją już pohańbił — niechże cię Bóg potępi, a ona, niech choć w klasztorze znajdzie schronienie...

Bohun podniósł oczy wilgotne, roztęsknione i tak mówił:

— Jeśli ja ją pohańbił? Ot! nie wiem jak wy miłujecie panowie szlachta, rycerze i kawalery, ale ja kozak, ja ją w Barze od śmierci i hańby obronił, a potem w pustynię wywiózł — i tam jak oka w głowie pilnował, palca na nią nie skrzywił, do nóg padał i czołem bił, jak przed obrazem. Kazała precz iść, tak poszedł — i nie widział jej więcej, bo wojna-matka trzymała.

— Bóg to waści na sądzie policzy! — rzekł

odetchnąwszy głęboko Zagłoba. Ale zali ona tam bezpieczna? Tam Krzywonos i tatary!

— Krzywonos pod Kamieńcem leży, a mnie do Chmielnickiego posłał pytać, czy pod Kudak ma iść — i już pewno poszedł, a tam gdzie ona jest, niema ni kozaków, ni lachów, ni tatarów — ona tam bezpieczna.

— Gdzież ona tedy?

— Słuchajcie panowie lachy! Niech będzie jak chcecie — powiem ja wam, gdzie ona jest i wydać ją każę — ale za to wy mnie dajcie kawalerski wasz parol, że jeśli mnie Bóg poszczęści, tak wy nie będziecie już jej szukać. Wy za siebie przyrzeczcie i za pana Skrzetuskiego, a ja wam powiem.

Trzej przyjaciele spojrzeli po sobie:

— My tego nie możem uczynić! — rzekł Zagłoba.

— O jako żywo, nie możem! — wykrzyknęli Kuszel i Wołodyjowski.

— Tak? — rzekł Bohun i brwi jego ściągnęły się, a oczy zaiskrzyły—Czemuż to wy, panowie lachy, nie możecie tego uczynić?

— Bo pan Skrzetuski jest nieobecny, a oprócz tego wiedz o tem, że żaden z nas szukać jej nie przestanie, choćbyś i pod ziemię ją ukrył.

— Tak wy by taki targ ze mną uczynili: ty kozacze duszę oddaj, a my tobie szablą! O! niedoczekacie! — A co to wy myśleli, że u mnie szabla kozacka nie ze stali? — że już nademną, jak krucy nad ścierwem, kraczecie? A czemu to mnie ginąć, a nie wam? Wam trzeba mojej krwi, a mnie waszej! zobaczymy kto czyjej dostanie.

— Więc nie powiesz?

— A po co mnie mówić. — Na pohibel że wam wszystkim.

— Na pohibel tobie. Warteś, by cię na szablach rozniesć.

— Sprobujcie — rzekł watażka, wstając nagle.

Kuszel i Wołodyjowski porwali się również z ławy. Groźne spojrzenia poczęły się krzyżować, wezbrane gniewem piersi oddychały mocniej i niewiadomo, do czegoby było doszło — gdyby nie Zagłoba, który spojrzawszy w okno— wykrzyknął:

— Charłamp ze świadkami przyjechał!

Jakoż po chwili rotmistrz petyhorski, wraz z dwoma towarzyszami, panami Sielickiemi, weszli do izby. Po pierwszych powitaniach, Za-

głoba wziął ich na stronę i począł rzecz wyłuszczać.

A prawił tak wymownie, że wnet przekonał, zwłaszcza, iż zapewnił, że pan Wołodyjowski prosi tylko o krótką zwłokę i wnet po walce z kozakiem stanąć jest gotów. Tu pan Zagłoba począł opowiadać, jak stara i straszna jest nienawiść wszystkich żołnierzy księcia do Bohuna, jako on jest wrogiem całej Rzeczypospolitej i jednym z najokrutniejszych rebelizantów, wreszcie jak kniaziównę porwał, pannę ze szlacheckiego domu i narzeczoną szlachcica, któren jest zwierciadłem wszystkich cnot rycerskich. „A gdy i waszmościowie szlachtą jesteście i do braterstwa się poczuwacie, wspólna tedy to jest nasza krzywda, którą się stanowi całemu w osobie jednego wyrządza — zali więc ścierpicie, aby nie została pomszczona?“

Pan Charłamp czynił z początku trudności i mówił, że skoro tak jest, to należy Bohuna natychmiast rozsiekać, „a pan Wołodyjowski niechaj po staremu ze mną staje.“ Musiał mu nanowo tłumaczyć pan Zagłoba, dlaczego to nie może być — i że nawet nie po rycersku byłoby w tylu na jednego napadać. Szczęściem

pomogli mu panowie Sieliccy, obaj ludzie rozsądni i stateczni — aż dał się nakoniec uparty litwin przekonać — i na zwłokę zezwolił.

Tymczasem Bohun poszedł do swoich ludzi i powrócił z essaułem Eljaszeńkiem, któremu zapowiedział, jako do bitwy dwóch szlachty wyzwał — poczem powtórzył głośno to samo wobec pana Charłampa i panów Sielickich.

— My zaś oświadczamy — rzekł Wołodyjowski — iż jeśli wyjdziesz zwycięzcą z walki ze mną, tedy od woli twej zależy, czy jeszcze zechcesz bić się z panem Zagłobą, a w żadnym razie nikt więcej cię nie będzie wyzywał, ani też kupą na cię nie napadną — i odjedziesz gdzie zechcesz — na co parol kawalerski dajem i waszmościów teraz przybyłych prosimy, aby ze swej strony także to przyrzekli.

— Przyrzekamy, rzekli uroczyście Charłamp i dwaj Sieliccy.

Wówczas Bohun wręczył list Chmielnickiego do królewicza Eljaszeńce i rzekł:

— Ty ceje pyśmo korolewiczu widdasz i koły ja pohybnu, tak ty skażesz i jemu i Chmielnickomu, szczo moja wina buła — i szczo ne zdradoju mene zabyły.

Zagłoba, któren pilne miał oko na wszystko, zauważył, że na ponurej twarzy Eljaszeńki nie odbił się najmniejszy niepokój — widać zbyt był pewny swego atamana.

Tymczasem Bohun zwrócił się dumnie do szlachty.

— No, komu śmierć, komu życie—rzekł.— Możem iść.

— Czas, czas! — odrzekli wszyscy — zasadzając poły od kontuszów za pasy i biorąc pod pachy szable.

Wyszli przed karczmę i skierowali się ku rzecze, która płynęła śród zarośli głogów, dzikich róż, tarek i choiny. Listopad postrącał wprawdzie liść z krzewin, ale gęstwa tak była zbita, że czerniała jakoby wstęga kiru, het przez puste pola, aż ku lasom. Dzień był wprawdzie blady, ale pogodny tą melancholiczną pogodą jesieni, pełną słodyczy. Słońce bramowało łagodnie złotem obnażone gałęzie drzew— i rozświecało żółte wydmy piaszczyste, ciągnące się nieco opodal prawego brzegu rzeczki. Zapaśnicy i ich świadkowie szli właśnie ku onym wydmom.

— Tam się zatrzymamy, — rzekł Zagłoba.

— Zgoda, — odpowiedzieli wszyscy.

Zagłoba coraz był niespokojniejszy, nakoniec zbliżył się do Wołodyjowskiego i szepnął:

— Panie Michale...

— A co?

— Na miłość bozką, panie Michale, starajże się! W twojem teraz ręku los Skrzetuskiego, wolność kniaziówny, twoje własne życie i moje, bo broń Boże na ciebie przygody, ja sobie z tym zbójem nie dam rady.

— To czemuś go waść wyzywał?

— Słowo się rzekło. Ufałem w ciebie, panie Michale, ale ja już stary, oddech mam krótki, zatyka mnie, a ten gładysz może skakać jak cyga. Cięty to ogar, panie Michale.

— Postaram się — rzekł mały rycerz.

— Boże ci dopomóż. Nie trać ducha!

— Zaś tam!

W tej chwili zbliżył się ku nim jeden z panów Sielickich.

— Cięta jakaś sztuka, ten wasz kozak — szepnął — tak sobie z nami poczyna, jak równy, jeśli nie jak lepszy. Hu! co za fantazya! musiała się jego matka na jakiego szlachcica zapatrzyć.

— E! — rzekł Zagłoba, — prędzej się jaki szlachcic na jego matkę zapatrzył.

— I mnie się tak widzi, — rzekł Wołodyjowski.

— Stawajmy! — zawołał nagle Bohun.

— Stawajmy, stawajmy!

Stanęli. Szlachta półkołem. Wołodyjowski i Bohun naprzeciw siebie.

Wołodyjowski, jako to człowiek w takich rzeczach wytrawny, choć młody, naprzód nogą piasek zmacał, czy twardy, poczem rzucił okiem naokoło, chcąc wszystkie nierówności gruntu poznać — i widać było, że sprawy wcale nie lekceważył. Przecie przychodziło mu mieć do czynienia z rycerzem na całą Ukrainę najsławniejszym, o którym lud pieśni śpiewał i którego imię — jak Ruś szeroka, aż do Krymu było znane. Pan Michał, prosty porucznik dragonów, wiele sobie po owej walce obiecywał, bo albo śmierć sławną, albo równie sławne zwycięztwo, więc niczego nie zaniedbał, aby się godnym takiego przeciwnika okazać. Dlatego także niezwykłą miał w twarzy powagę, którą dojrzawszy Zagłoba, aż przeląkł się: „traci fantazyę!—pomyślał—już po nim, a zatem i po mnie!“

Tymczasem Wołodyjowski, zbadawszy dokładnie grunt, począł odpinać kurtę.

— Chłodno jest, — rzekł, — ale się rozgrzejemy.

Bohun poszedł za jego przykładem i zrzucili obaj zwierzchnie ubranie, tak, że pozostali tylko w hajdawerach i w koszulach — następnie poczęli zawijać na prawem ręku rękawy.

Ale jakżeż marnie wyglądał mały pan Michał przy rosłym i silnym atamanie! prawie go nie było widać. Świadkowie z niepokojem spoglądali na szeroką pierś kozaka, na olbrzymie muskuły, widne z pod zawiniętego rękawa, podobne do sęków i węzłów. Zdawało się, iż to mały kogucik staje do walki z potężnym jastrzębiem stepowym. Nozdrza Bohuna rozwarły się, jakby zawczasu krew wietrząc, twarz skróciła się mu, tak iż czarna grzywa zdawała się do brwi sięgać, i szabla drgała mu w ręku — oczy drapieżne utkwił w przeciwnika i czekał komendy.

A pan Wołodyjowski spojrzał jeszcze pod światło na ostrze szabli, ruszył żółtemi wąsikami i stanął w pozycyi.

— Jatki tu proste będą! — mruknął do Sielickiego Charłamp.

Wtem zabrzmiał trochę drżący głos Zagłoby:

— W imię Boże, zaczynajcie!

ROZDZIAŁ XII.

Świstnęły szable i ostrze szczęknęło o ostrze. Wnet zmienił się plac boju, bo Bohun natarł z taką wściekłością, że pan Wołodyjowski uskoczył w tył kilka kroków i świadkowie również musieli się cofnąć. Błyskawicowe zygzaki szabli Bohuna były tak szybkie, że przerażone oczy obecnych nie mogły za niemi nadążyć — zdało im się, że pan Michał całkiem jest niemi otoczony, pokryty i że Bóg jeden chyba zdoła go wyrwać z pod tej nawałności piorunów. Ciosy zlały się w jeden nieustający świst, pęd poruszanego powietrza uderzał o twarze. Furya watażki wzrastała: ogarniał go dziki szał bojowy — i parł przed sobą Wołodyjowskiego jak huragan — a mały rycerz cofał się ciągle — i tylko się bronił: wyciągnięta jego prawica nie poruszała się prawie wcale, dłoń tylko sama zataczała bez

ustanku małe, ale szybkie jak myśl półkola i chwytał szalone cięcia bohunowe — ostrze podstawiał pod ostrze, odbijał i znów się zasłaniał i jeszcze się cofał—oczy utkwił w oczach kozaka i śród wężowych błyskawic wydawał się spokojny, jeno na policzki wystąpiły mu plamy czerwone.

Pan Zagłoba przymknął oczy — i słyszał tylko cios za ciosem, zgrzyt za zgrzytem.

— Broni się jeszcze! — pomyślał.

— Broni się jeszcze! — szeptali panowie Sieliccy i Charłamp.

— Już przyparty do wydmy — dodał cicho Kuszel.

Zagłoba znów otworzył oko i spojrzał.

Plecy Wołodyjowskiego opierały się prawie o wydmę, ale widocznie nie był dotąd ranny, jeno rumieńce na jego twarzy stały się żywsze, a kilka kropel potu wystąpiło mu na czoło.

Serce Zagłoby zabiło nadzieją.

— Przecie i z pana Michała gracz nad gracze — pomyślał, — a i tamten znuży się nareszcie.

Jakoż twarz Bohuna stała się blada, pot perlił mu także czoło — ale opór podniecał tylko jego wściekłość: białe kły błysnęły mu

z pod wąsów, a z piersi wydobywało się chrapanie wściekłości.

Wołodyjowski nie spuszczał go z oka i bronił się ciągle.

Nagle poczuwszy za sobą wydmę, zebrał się w sobie — już patrzącym zdało się, że padł, on tymczasem pochylił się, skurczył, przysiadł — i rzucił całą swoją osobą, niby kamieniem, w pierś kozaka.

— Atakuje! — wykrzyknął Zagłoba.

— Atakuje! — powtórzyli inni.

Tak było w istocie: watażka cofał się teraz, a mały rycerz poznawszy już całą siłę przeciwnika, nacierał tak żwawo, że świadkom dech zamarł w piersi; widocznie poczynał się rozgrzewać, — małe oczki sypały skry; przysiadał się i zrywał, zmieniał w jednem mgnieniu pozycye, zataczał kręgi naokoł watażki i zmuszał go do obracania się na miejscu.

— O mistrz! o mistrz! — wołał Zagłoba.

— Zginiesz! — ozwał się nagle Bohun.

— Zginiesz! — odpowiedział jak echo Wołodyjowski.

Wtem kozak sztuką, najbieglejszym tylko szermierzom znaną, przerzucił nagle szablę z prawej ręki do lewej i dał cios od lewicy

tak okropny, że pan Michał jakby piorunem rażony padł na ziemię.

— Jezus Marya! — krzyknął Zagłoba.

Ale pan Michał padł umyślnie i właśnie dlatego szabla bohunowa przecięła tylko powietrze, mały rycerz zaś zerwał się jak dziki kot i całą niemal długością ostrza ciął straszliwie w odkrytą pierś kozaka.

Bohun zachwiał się, postąpił krok, ostatniem wysileniem dał ostatnie pchnięcie; pan Wołodyjowski odbił je z łatwością, uderzył jeszcze po dwakroć w pochylony łeb — szabla wysunęła się z bezwładnych rąk Bohuna i padł twarzą na piasek, który wnet zaczerwienił się pod nim szeroką kałużą krwi.

Eljaszeńko obecny przy bitwie, rzucił się na ciało atamana.

Świadkowie przez jakiś czas nie mogli słowa przemówić, a pan Michał milczał także; wsparł się obu rękoma na szabelce i oddychał ciężko.

Zagłoba pierwszy przerwał milczenie:

— Panie Michale, pójdź w moje objęcia — rzekł z rozczuleniem.

Otoczyli go tedy kołem:

— Toś waść gracz pierwszej wody! Niech waści kule biją! — mówili panowie Sieliccy.

— Waść widzę z cicha pęk! — rzekł Charłamp,—stanę ja waszmości, żeby nie mówiono, iżem się uląkł, ale choćbyś i mnie miał waszmość tak pochlastać, zawszeć winszuję! winszuję!

—Et, dalibyście sobie waszmościowie pokój, bo w rzeczy nie macie się o co bić, — mówił Zagłoba.

— Nie może być, bo tu chodzi o moją reputacyę, odparł petyhorzec, za którą chętnie dam gardło.

— Nic mi po waścinem gardle, zaniechajmy się lepiej, — rzecze Wołodyjowski, — gdyż prawdę waćpanu powiedziawszy, tom mu tam w drogę, gdzie myślisz, nie wchodził. Wejdzie tam waćpanu kto inny, lepszy odemnie — ale nie ja.

— Jakto?

— Parol kawalerski.

— To już sobie dajcie pokój! — wołali Sieliccy i Kuszel.

— Niechże i tak będzie, — rzekł Charłamp, otwierając ramiona.

Pan Wołodyjowski padł w nie i poczęli się całować, aż echo rozlegało się po wydmach — pan Charłamp zaś mówił:

— Niech-że waści nie znam, żebyś zaś tak pochlastał podobnego wielkoluda! A i szablą umiał on też obracać.

— Anim się spodziewał, żeby taki był fechmistrz, i zkąd on się mógł tego wyuczyć?

Tu uwaga powszechna zwróciła się znów na leżącego watażkę, którego Eljaszeńko obrócił przez ten czas twarzą do góry — i z płaczem szukał w nim znaków życia. Twarzy Bohuna nie można było rozeznać, bo pokryły ją sople krwi, która wypłynęła z ran w głowę zadanych i wnet ścięła się na chłodnem powietrzu. Koszula na piersiach również była cała we krwi, ale dawał jeszcze znaki życia. Widocznie był w konwulsyi przedśmiertnej, nogi jego drgały, a palce skrzywione nakształt szponów darły piasek. Zagłoba spojrzał i machnął ręką.

— Ma dosyć!—rzekł—żegna się ze światem.

— Aj! — rzekł jeden z Sielickich, spoglądając na ciało — to już trup.

— Ba, prawie na dzwona pocięty.

— Nie lada to był rycerz — mruknął, kiwając głową Wołodyjowski.

— Wiem coś o tem — dodał Zagłoba.

Tymczasem Eljaszeńko chciał dźwignąć i unieść nieszczęsnego atamana, ale że był człowiek dość wątły i niemłody, a Bohun prawie do olbrzymów należał — więc nie mógł. Do karczmy było kilka stai, a Bohun lada chwila mógł skonać, essauł widząc to, zwrócił się do szlachty.

— Pany, — wołał składając ręce. — Na Spasa i Świętą Przeczystą, pomóżcie! Nie dajcie, żeby on tu skonał jak sobaka. Ja stary, sam nie mogę, a ludzie daleko.....

Szlachta spojrzała po sobie. Zawziętość przeciw Bohunowi znikła już we wszystkich sercach.

— Pewnie, że trudno go tu jak psa zostawić — mruknął pierwszy Zagłoba. — Skorośmy z nim na pojedynek stanęli — to już on dla nas nie chłop, ale żołnierz, któremu taka pomoc się należy. Kto ze mną go poniesie, mości panowie?

— Ja — rzekł Wołodyjowski.

— To go ponieście na mojej burce, — dodał Charłamp.

Po chwili Bohun leżał już na opończy, której końce pochwycili Zagłoba, Wołodyjowski, Kuszel i Eljaszeńko — i cały orszak, w towarzystwie Charłampa i panów Sielickich, udał się wolnym krokiem ku karczmie.

— Twarde ma życie, — rzekł Zagłoba, — jeszcze się rusza. Mój Boże, żeby mnie kto powiedział, że na jego niańkę wyjdę i że go będę tak niósł, myślałbym, że kpi ze mnie. Zbyt mam czułe serce, sam wiem o tem, ale trudno! Jeszcze mu i rany opatrzę. Mam nadzieję, że na tym świecie, już się nie spotkamy więcej, niechże mile mię wspomina na tamtym.

— To myślisz waszmość, że on żadną mia rą nie wyżyje? — pytał Charłamp.

— On? nie dałbym za jego żywot starego wiechcia. Tak już było napisano i nie mogło go minąć, bo choćby mu się było z panem Wołodyjowskim powiodło, toby moich rąk nie uszedł. Ale wolę, że się tak stało, bo już i tak krzyki są na mnie, jako na mężobójcę bez litości. A co ja mam robić, jak mi kto w drogę wlezie? Panu Duńczewskiemu pięćset złotych basarunku musiałem zapłacić — a wiadomo waszmościom, że dobra ruskie nijakiej teraz intraty nie przynoszą.

— Prawda, że to waszmościów do szczętu tam splądrowano! — rzekł Charłamp.

— Uf! Ciężki ten mołojec, — mówił dalej Zagłoba — ażem się zasapał! Splądrowano, bo splądrowano, ale mam też nadzieję, że nam sejm jakowąś prowizyą obmyśli — inaczej na śmierć pochudniemy. Ciężki też on, ciężki! patrzcie waszmościowie znowu zaczyna krwawić; skocz-no waćpan, panie Charłamp, do karczmy, żeby żyd chleba z pajęczyną zagniótł. Nie pomoże to wiele temu nieboszczykowi, ale opatrunek chrześciańska rzecz i lżej mu będzie umierać. Żywo! panie Charłamp!

Pan Charłamp wysunął się naprzód i gdy nakoniec wniesiono watażkę do izby, Zagłoba wnet zabrał się z wielką znajomością rzeczy i wprawą do opatrunku. Krew zatamował, rany pozalepiał — poczem zwrócił się do Eljaszeńki:

— A ty dziadu tu niepotrzebny,—rzekł.— Jedź co prędzej do Zaborowa, proś, żeby cię przed oblicze pańskie puszczono i list oddaj; a opowiedz coś widział, tak wszystko jak było. Jeśli zełżesz, będę wiedział, bom królewicza jegomości zaufany — i szyję ci uciąć każę. Chmielnickiemu też kłaniaj się odemnie, bo

mnie zna i miłuje. Pogrzeb sprawiemy twemu atamanowi uczciwy, a ty rób swoje, po kątach się nie włócz, bo cię gdzie zatłuką, nim się zdołasz wywieść ktoś taki. Bywaj zdrów! ruszaj! ruszaj!

— Pozwólcie panie zostać choć dopóty, dopóki nie ostygnie.

— Ruszaj, mówię ci! — rzekł groźnie Zagłoba, —a nie, to cię każę chłopom do Zaborowa odstawić. A kłaniaj się Chmielnickiemu.

Eljaszeńko pokłonił się w pas i wyszedł, Zagłoba zaś rzekł jeszcze do Charłampa i Sielickich:

— Wyprawiłem tego kozaka, bo co on tu ma jeszcze do roboty, a niechże go naprawdę gdzie zatłuką, co łatwo się może zdarzyć, to na nasby winę zwalono. Pierwsi zasławczycy i pokurcze kanclerscy wrzeszczeliby na całe gardło, że ludzie księcia wojewody wymordowali, wbrew prawom bozkim, całe poselstwo kozackie. Ale mądra głowa na wszystko poradzi. Nie damy my się tym gładyszom, tym łuszczybochenkom, tym podwikarzom w kaszy zjeść, a i waćpanowie też świadczcie w potrzebie, jak się wszystko odbyło i że on to sam nas wyzwał. Muszę też jeszcze wójtowi tutej-

szemu przykazać, aby go tam jakoś pochował. Nie wiedzą tu oni, kto to taki, będą myśleli że to szlachcic i pochowają uczciwie. Nam też czas w drogę panie Michale, bo trzeba jeszcze księciu wojewodzie zdać relacyę.

Chrapliwy oddech Bohuna przerwał dalsze słowa pana Zagłoby.

— Oho, już dusza szuka sobie drogi, — rzekł szlachcic. — Już też i ciemno się robi; po omacku pójdzie na tamten świat. Ale skoro tej naszej nieszczęsnej niebogi nie pohańbił, to dajże mu Boże wieczny odpoczynek — amen! Jedźmy, panie Michale. Z serca odpuszczam mu wszystkie winy, choć co prawda, więcej ja jemu w drogę lazłem, niż on mnie. Ale teraz koniec. Bywajcie waszmościowie zdrowi, miło mi było poznać tak zacnych kawalerów. Pamiętajcie jeno świadczyć w potrzebie.

ROZDZIAŁ XIII.

Książę Jeremi przyjął wieść o porąbaniu Bohuna dość obojętnie, zwłaszcza gdy się dowiedział, iż są ludzie, nie z pod jego chorągwi, gotowi w każdej chwili złożyć świadectwo, iż Wołodyjowski został wyzwany. Gdyby rzecz nie działa się na kilka dni przed ogłoszeniem wyboru Jana Kazimierza, gdyby walka kandydatów trwała jeszcze, niezawodnie nie omieszkaliby przeciwnicy Jeremiego, a na ich czele kanclerz i książę Dominik, ukuć przeciw niemu broni z tego zajścia, mimo wszelkich świadków i świadectw. Ale po ustąpieniu Karola umysły zajęte były czem innem — i łatwo było zgadnąć, że cała sprawa utonie w niepamięci.

Mógł ją podnieść chyba Chmielnicki dla okazania, jakich to coraz nowych krzywd doznaje, książę jednak słusznie spodziewał się,

iż królewicz przesyłając odpowiedź, wspomni, lub każe od siebie powiedzieć, jakim sposobem zginął wysłaniec, a Chmielnicki nie będzie śmiał wątpić o prawdzie słów królewskich.

Chodziło bowiem księciu o to tylko, by nie narobiono politycznej wrzawy z powodu jego żołnierzy. Z drugiej strony, ze względu na Skrzetuskiego, rad był nawet książę z tego, co się stało, bo odzyskanie Kurcewiczówny było istotnie teraz daleko prawdopodobniejsze. Można ją było odnaleść, odbić lub wykupić — a kosztów, choćby jaknajwiększych pewno nie byłby oszczędzał książę, byle ulubionego rycerza z boleści wybawić i szczęście mu powrócić.

Pan Wołodyjowski szedł było z wielkim strachem do księcia, gdyż chociaż w ogóle mało był płochliwy, bał się jednak jak ognia każdego zmarszczenia brwi wojewody. Jakież tedy było jego zdumienie i radość, gdy książę wysłuchawszy relacyi i pomyślawszy przez chwilę nad tem co się stało, zdjął kosztowny pierścień z palca i rzekł:

— Chwalę moderacyę waszmościów, iżeście pierwsi go nie napadli, bo wielkie i szkodliwe mogły ztąd powstać na sejmie hałasy. Ale jeśli kniaziówna się odnajdzie, to Skrzetuski bę-

dzie wam winien dozgonną wdzięczność. Dochodziły mnie słuchy, mości Wołodyjowski, że jak inni języka w gębie, tak waść szabelki w pochwie dotrzymać nie umiesz, za co należałaby się kara. Skoro jednak w sprawie przyjaciela stanąłeś i reputacyę naszych chorągwi z tak zawołanym junakiem utrzymałeś, to już weź ten pierścień, abyś miał jakową dnia tego pamiątkę. Wiedziałem, żeś dobry żołnierz i gracz na szable, aleś to podobno mistrz nad mistrze.

— On? — rzecze Zagłoba. — Onby dyabłu w trzeciem złożeniu rogi obciął. Jeśli wasza książęca mość każe mi kiedy szyję uciąć, proszę, aby nikt inny, jeno on ją odrąbał, bo przynajmniej odrazu na tamten świat pójdę. On Bohuna nawpół przez pierś przeciął, a potem jeszcze go dwa razy przez rozum przejechał.

Książę kochał się w sprawach rycerskich i w dobrych żołnierzach, więc uśmiechnął się z zadowoleniem i spytał:

— Znalazłeś-że waść kogo równej siły na szable?

— Jeno mnie raz Skrzetuski trochę wyszczerbił, ale też i ja jego, wtedy, gdy to nas wasza książęca mość pod bramę obydwóch wsadził — a z innych możeby i pan Podbipięta

mi wytrzymał, bo ma siłę nadludzką — i bez mała Kuszel, gdyby miał lepsze oczy.

— Niech mu wasza K. mość nie wierzy, — rzekł Zagłoba, — jemuby nikt nie wytrzymał.

— A Bohun długo się bronił?

— Ciężką miałem robotę, — rzekł pan Michał. — Umiał on i do lewicy przerzucać.

— Bohun sam mnie powiadał, — przerwał Zagłoba, — iż się z Kurcewiczami po całych dniach dla wprawy bijał — i sam widziałem w Czehrynie, iż i z innemi to czynił.

— Wiesz co, mości Wołodyjowski, — rzekł z udaną powagą książę, — jedź pod Zamość, wyzwij Chmielnickiego na rękę i za jednym zamachem uwolnij Rzplitę od wszystkich klęsk i kłopotów.

— Za rozkazem W. K. Mości, pojadę, byle Chmielnicki chciał mi stanąć — odpowiedział Wołodyjowski.

Na to książę:

— My żartujemy, a świat ginie! — Ale pod Zamość musicie waszmościowie naprawdę jechać. Mam wiadomości z kozackiego obozu, iż gdy tylko wybór królewicza Kazimierza będzie promulgowany, Chmielnicki od oblężenia ustąpi i cofnie się aż na Ruś, co uczyni z prawdzi-

wego, lub symulowanego afektu do króla Jegomości, lub też dlatego, że pod Zamościem snadnieby się jego potęga mogła złamać. Wtedy musicie jechać, opowiedzieć Skrzetuskiemu, co się stało, by ruszył kniaziówny szukać. Powiedzcie mu, żeby sobie z chorągwi moich przy staroście wałeckim wybrał tylu pocztowych, ilu będzie do ekspedycyi potrzebował Zresztą przeszlę mu przez was permisyę i dam list, bo mi jego szczęście wielce na sercu leży.

— Wasza książęca mość ojcem nas wszystkich jesteś — rzekł Wołodyjowski, — dlatego po wiek życia w wiernych służbach trwać chcemy.

— Nie wiem, czyli nie głodna wkrótce u mnie będzie służba, — rzekł książę, — jeśli mi cała fortuna zadnieprska przepadnie, — ale póki starczy, póty co moje, to wasze.

— O! — wykrzyknął pan Michał. — Nasze to chudopacholskie fortuny do waszej k. mości zawsze będą należały.

— I moja z innemi! — rzekł Zagłoba.

— Jeszcze tego nie trzeba, — odparł łaskawie książę. — Mam też nadzieję, iż jeśli wszystko utracę, to Rzeczpospolita chociaż o dzieciach moich będzie pamiętała.

Książę mówiąc to, widocznie miał chwilę jasnowidzenia. Rzplita bowiem w kilkanaście lat później oddała jego jedynemu synowi, co miała najlepszego — to jest koronę, ale tymczasem olbrzymia fortuna Jeremiego istotnie była zachwiana.

— Tośmy się wywinęli,—mówił Zagłoba,— gdy obaj z Wołodyjowskim wyszli od księcia. Panie Michale, możesz być pewien promocyi. Pokaż-no ten pierścień. Dalibóg, wart on ze sto czerwonych złotych, bo kamień bardzo piękny. Spytaj się jutro jakiego ormianina na bazarze. Możnaby za takową kwotę i w jedle i w napoju i w innych delicyach opływać. Cóż myślisz panie Michale? Żołnierska to maksyma: dziś żyję, jutro gniję, a sens z niej taki, że na jutro nie warto się oglądać. Krótkie życie ludzkie, krótkie panie Michale. Najważniejsze to, że już cię będzie odtąd książę w sercu nosił. Dałby on był dziesięć razy tyle, żeby Skrzetuskiemu z Bohuna prezent zrobić, a tyś to uczynił. Możesz się spodziewać wielkich łask, wierzaj mi. Mało to książę wsiów rycerstwu dożywotnie puścił, albo i zgoła podarował. Co tam taki pierścień! Pewnie i ciebie

jakowa intrata spotka, a w ostatku jeszcze cię książę z jaką krewniaczką swoją ożeni.

Pan Michał aż podskoczył.

— Zkąd waść wiesz, że....

— Że co?

— Chciałem powiedzieć: co też waści w głowie? Jakże by taka rzecz stać się mogła?

— Alboż to się nie trafia? albożeś nie szlachcic? alboż to nie wszystka szlachta sobie równa? Mało to każden magnatus ma dalekich krewnych i krewniaczek między szlachtą, które to krewniaczki później za swych zacniejszych dworzan wydaje. Przecie podobno i Suffczyński z Sieńczy ma też jakąś daleką krewną Wiśniowieckich. Wszyscyśmy bracia, panie Michale, wszyscyśmy bracia, choć jedni drugim służym, gdyż wspólnie od Jafeta pochodzimy, a cała różnica w fortunie i urzędach, do których każdy dojść może. Podobno gdzieindziej są dyferencye znaczne między szlachtą, ale parszywa też to szlachta! rozumiem dyferencye między psami, jako są legawce, charty misterne, lub ogary głosem goniące, ale uważ, panie Michale, że ze szlachtą nie może tak być, bobyśmy psubratami nie szlachtą byli, której

hańby dla tak wdzięcznego stanu panie Boże nie dopuść!

— Słusznie waszmość mówisz, — rzecze Wołodyjowski, — ale przecie Wiśniowieccy, królewski to prawie ród.

— A ty panie Michale, zali nie możesz być królem obran? Ja pierwszy, gdybym się uparł, tobiebym właśnie dał kreskę, jako pan Zygmunt Skarszewski, który przysięga, że za sobą samym będzie głosował, jeśli się tylko w kości nie zagra. Wszystko, chwalić Boga, u nas in liberis suffragiis — i chudopacholstwo to nasze, nie urodzenie w drodze nam staje.

— Otóż to właśnie! — westchnął pan Michał.

— Cóż robić! Zrabowano nas ze szczętem i zginiemy, jeśli nam Rzplita jakowych prowentów nie obmyśli — zginiemy marnie! Cóż dziwnego, że człowiek choć z natury i wstrzemięźliwy, lubi się napić w takich opresyach. Pójdźmy chyba, panie Michale, napić się po szklaneczce cienkusza, może się choć trochę pocieszemy.

Tak rozmawiając doszli do Starego miasta i wstąpili do winiarni, przed którą kilkunastu pachołków trzymało szuby i burki pijącej

w środku szlachty. Tam siadłszy za stołem, kazali sobie podać gąsiorek i poczęli się naradzać, co im teraz po pobiciu Bohuna począć wypada.

— Jeśli się sprawdzi, że Chmielnicki od Zamościa ustąpi i pokój nastanie, tedy kniaziówna już nasza — mówił Zagłoba.

— Trzebaby nam jaknajprędzej do Skrzetuskiego. Już go też nie opuścimy, póki się dziewczyna nie odnajdzie.

— Pewnie, że razem pojedziemy. Ale teraz niema sposobu dostać się do Zamościa.

— To już wszystko jedno, byle nam Bóg później poszczęścił.

Zagłoba wychylił szklanicę.

— Poszczęści, poszczęści! — rzekł!—Wiesz panie Michale, co ci powiem?

— Co takiego?

— Bohun zabit!

Wołodyjowski spojrzał ze żdziwieniem:

— Ba, któż wie lepiej odemnie?

— Żeby ci się ręce święciły panie Michale! Ty wiesz i ja wiem: patrzyłem jakeście się bili, patrzę na waćpana teraz — i przecie muszę sobie ciągle powtarzać, bo mi się czasem zdaje, że to tylko sen takowy miałem. — Co

za troska ubyła, co za węzeł twoja szabla przecięła! Niechże cię kule biją! bo dalibóg, że i wypowiedzieć to się nie da. Nie! nie mogę wytrzymać! pójdź, niech cię jeszcze raz uściskam panie Michale! Zali uwierzysz, że gdym cię poznał, pomyślałem sobie: at! chłystek! — a tu piękny chłystek, co Bohuna tak pochlastał. Niema już Bohuna, ni śladu, ni popiołu zabit na śmierć, na wieki wieków amen!

Tu Zagłoba począł ściskać i całować Wołodyjowskiego, a pan Michał rozczulił się, jakby właśnie Bohuna żałował — w końcu jednak uwolnił się z objęć pana Zagłoby i rzekł:

— Nie byliśmy przy jego śmierci—a twarda to sztuka — nuż wyżyje.

— Na Boga, co waćpan mówisz! — rzekł Zagłoba. Gotowem jutro jechać do Lipkowa i najpiękniejszy pogrzeb mu sprawić, byle tylko umarł.

— I po co waść pojedziesz? Przecie go rannego nie dobijesz. A z szablą to tak bywa: kto nie puści ducha odrazu, ten najczęściej się wyliże. Szabla, to nie kula.

— Nie! nie może być! Już przecie rzęzić zaczynał, gdyśmy wyjeżdżali. O! wcale nie może

być. Samem mu rany opatrywał. Piersi miał roztworzone jako wierzeje. Dajmy mu już spokój, bo wypatroszyłeś go jak zająca. Nam trzeba do Skrzetuskiego jaknajprędzej, jemu pomódz, jego pocieszyć, bo zamrze od zgryzoty ze szczętem.

— Albo mnichem zostanie — sam mnie to mówił.

— Co dziwnego. I jabym na jego miejscu to uczynił. Nie znam zacniejszego kawalera, ale też i nieszczęśliwszego nie znam. Oj, ciężko go Bóg doświadcza, ciężko!

— Przestań już waszmość, — mówił trochę pijany Wołodyjowski, — bo nie mogę łez utrzymać.

— A jaż to mogę? — odparł Zagłoba. — Taki zacny kawaler, taki żołnierz... a i ona! waćpan jej nie znasz... robaczek to taki kochany!

Tu zawył pan Zagłoba nizkim basem, bo istotnie bardzo kochał kniaziównę, a pan Michał wtórował mu trochę cieniej — i pili wino zmięszane ze łzami, a potem spuściwszy głowy na piersi, siedzieli czas jakiś posępnie, aż wreszcie Zagłoba uderzył pięścią w stół.

— Panie Michale, czemu my płaczemy? — Bohun zabit!

— A prawda — rzekł Wołodyjowski.

— Cieszyć się nam raczej wypada. Kpami będziemy, jeśli jej teraz nie odszukamy.

— Jedźmy, — rzekł wstając pan Michał.

— Napijmy się! — poprawił Zagłoba. — Bóg da, że jeszcze ich dzieci będziem do chrztu trzymali, a wszystko dlatego, żeśmy Bohuna usiekli.

— Dobrze mu tak! — dokończył Wołodyjowski, — nie postrzegając się, że już pan Zagłoba dzieli się z nim zasługą uśmiercenia Bohuna.

ROZDZIAŁ XIV.

Nakoniec zabrzmiało „Te Deum laudamus“ w warszawskiej katedrze i „pan siadł na majestacie“, huczały działa, biły dzwony—i otucha poczęła wstępować we wszystkie serca. Przecie minął już czas bezkrólewia, czas zawichrzeń i niepokojów, tem straszniejszy dla Rzeczypospolitej, iż przypadł w chwilach powszechnej klęski. Ci, co drżeli na myśl grożących niebezpieczeństw, teraz gdy elekcya odbyła się nad podziw zgodnie, odetchnęli głęboko. Wielom zdawało się, iż bezprzykładna wojna domowa minęła już raz na zawsze, i że nowoobranemu panu pozostaje tylko sąd nad winnymi. Jakoż nadzieję tę podtrzymywało i zachowanie się samego Chmielnickiego. Kozacy pod Zamościem szturmując zaciekle do zamku, głośno jednak oświadczali się za Janem Kazimierzem. Chmielnicki słał przez księ-

dza Huncla Mokrskiego listy pełne poddańczej wierności, a przez innych posłańców pokorne prośby o łaskę dla siebie i wojska Zaporozkiego. Wiedziano też, że król zgodnie z polityką kanclerza Ossolińskiego pragnie znaczne kozakom poczynić ustępstwa. Jak niegdyś przed piławiecką klęską, wojna, tak teraz pokój, był na wszystkich ustach. Spodziewano się, że po tylu klęskach Rzeczpospolita odetchnie i pod nowem panowaniem ze wszystkich ran się wygoi.

Nareszcie wyjechał Śniarowski z listem królewskim do Chmielnickiego — i wkrótce rozeszła się wieść radosna, że kozacy ustępują z pod Zamościa, ustępują aż na Ukrainę, gdzie spokojnie czekać będą rozkazów królewskich i komisyi, która rozpatrzeniem ich krzywd ma się zająć. Zdawało się, że po burzy tęcza siedmiobarwna zawisła nad krajem, zwiastująca ciszę i pogodę.

Nie brakło wprawdzie niepomyślnych wróżb i przepowiedni, ale wobec pomyślnej rzeczywistości nie przywiązywano do nich wagi. Król pojechał do Częstochowy, by naprzód opiekunce Bozkiej za wybór podziękować i pod opiekę dalszą się oddać, a następnie do Krakowa

na koronacyę. Za nim pociągnęli dygnitarze, Warszawa opustoszała, zostali w niej tylko „exules“ z Rusi, którzy do swych zrujnowanych fortun wracać jeszcze nie śmieli, lub też nie mieli po co.

Książę Jeremi, jako senator Rzeczpospolitej, musiał udać się z królem, Wołodyjowski zaś i Zagłoba, na czele jednej chorągwi dragońskiej, pociągnęli śpiesznemi pochodami do Zamościa, by Skrzetuskiemu szczęśliwą nowinę o przygodzie bohunowej zwiastować, a następnie razem na poszukiwanie kniaziówny wyruszyć.

Pan Zagłoba opuszczał Warszawę nie bez pewnego żalu, bo w tym niezmiernym zjeździe szlachty, w gwarze elekcyjnym, w ciągłych hulankach i burdach na współkę z Wołodyjowskim czynionych, było mu tak dobrze, jak rybie w morzu. Ale pocieszał się myślą, że wraca do życia czynnego, do poszukiwań, przygód i fortelów, których obiecywał sobie nie skąpić, a zresztą miał on swoją opinię o niebezpieczeństwach stołecznych, którą w następujący sposób Wołodyjowskiemu wyłuszczał:

— Prawda jest, panie Michale, — mówił,— że dokonaliśmy wielkich rzeczy w Warszawie,

ale broń Boże dłuższego pobytu, tak mówię ci, zniewieścielibyśmy jak ów sławny kartagińczyk, którego słodkość aury w Kapui ze szczętem zdebilitowała. A najgorsze ze wszystkiego białogłowy. One każdego do zguby doprowadzą bo to sobie zauważ, że niemasz nic zdradliwszego nad niewiastę. Człowiek się starzeje, ale go jeszcze ciągną.....

— Et, dałbyś waćpan pokój, — przerwał Wołodyjowski.

— Sam ja to sobie często powtarzam, bo czasby był się ustatkować — jeno krew mam jeszcze zbyt gorącą. W tobie jest więcej flegmy, a we mnie sama cholera. Ale mniejsza z tem. Zaczniemy teraz inne życie. Już też bywało, przykrzyło mi się nieraz bez wojny, Chorągiewkę mamy dobrze okrytą, a tam pod Zamościem dokazują jeszcze kupy swawolne to się z niemi, idąc po kniaziównę, zabawimy. Obaczymy też i Skrzetuskiego i tego wielkoluda, tego żórawia litewskiego, tę tykę chmielową, pana Longina, bośmy go też siła czasu nie widzieli.

— Waćpan tęsknisz po nim, a jak go widzisz, to spokoju mu nie dajesz.

— Bo co się odezwie, to tak, jakby twój koń ogonem ruszył: a ciągnie każde słowo jak szewc skórę. Wszystko u niego w siłę przeszło, nie w głowę. Jak kogo weźmie w ramiona, to mu żebra przez skórę powyciska, niemasz zaś takowego dziecka w Rzeczpospolitej, któreby go najsnadniej na hak przywieść nie mogło. Słychanaż to rzecz, żeby człek takiej fortuny, taki był hebes?

— Zaś on naprawdę ma taką fortunę?

— On? Jakem go poznał, trzos miał taki wypchany, że się opasać nim nie mógł i tak go nosił, jako wędzoną kiełbasę. Można było nim jak kijem machać, ani się zgiął. Sam mnie mówił ile ma wsiów: Myszykiszki, Psikiszki, Pigwiszki, Syruciany, Ciapuciany, Kapuściany (raczej Kapuścianą — ale głowę), Bałtupie— ktoby tam pamiętał te wszystkie pogańskie nazwy. Z pół powiatu do niego należy. Wielki to u boćwinków ród, Podbipiętowie.

— A nie koloryzujesz waść trocha o owych majętnościach?

— Ja nie koloryzuje, bo powtarzam to, com od niego słyszał, a on przecie póki życia nie zełgał, bo zresztą i na to zagłupi.

— No, to będzie Anusia panią całą gębą. Ale co o nim waćpan mówisz, że głupi, na to się żadną miarą zgodzić nie mogę. Stateczny to mąż, i tak roztropny, że w potrzebie nikt lepszej rady nie udzieli, a że nie frant, to trudno. Nie każdemu dał pan Bóg tak obrotny język jak waści. Co to gadać! wielki to rycerz i najzacniejszy człowiek, a dowód: że waćpan sam go miłujesz i rad go ujrzysz.

— Skaranie z nim Boże, — mruknął Zagłoba. — Dlategom tylko rad, że mu będę panną Anną przypiekał.

— Tego ja waćpanu czynić nie radzę, bo to jest rzecz niebezpieczna. Jego choćby do rany przyłożyć, ale w takowym terminie pewnieby stracił cierpliwość.

— Niechby stracił. Uszybym mu obciął, jak panu Duńczewskiemu.

— Daj-no waćpan pokój. Nieprzyjacielowi nie życzyłbym próbować.

— No, no, niech go jeno obaczę.

Życzenie to pana Zagłoby spełniło się prędzej niż myślał. Dojechawszy do Końskowoli, postanowił Wołodyjowski zatrzymać się na odpoczynek, bo konie były już mocno zdrożone. Któż więc opisze zdziwienie obydwóch przyja-

ciół, gdy wszedłszy do ciemnej sieni zajazdu, w pierwszym spotkanym szlachcicu rozpoznali pana Podbipiętę.

— Jakże się waszmość masz! siła czasu! siła czasu! — wołał Zagłoba. A że cię to kozacy nie usiekli w Zamościu!

Pan Podbipięta brał z kolei obydwóch w ramiona i obcałowywał po policzkach.

— O to, żeśmy się spotkali — co? — powtarzał z radością.

— Gdzie jedziesz? — pytał Wołodyjowski.

— Do Warszawy, do księcia pana.

— Księcia niema w Warszawie. Pojechał do Krakowa z królem Jegomością, przed którym ma nieść jabłko na koronacyi.

— A mnie pan Weyher do Warszawy wyprawił z listem i z pytaniem, gdzie książęce regimenta mają iść, bo już, chwalić Boga, w Zamościu niepotrzebne.

— To i ty nie potrzebujesz nigdzie jechać, bo my wieziemy ordynanse.

Pan Longinus zasępił się, bo z duszy życzył sobie dotrzeć do księcia, zobaczyć dwór i szczególniej jedną małą osóbkę na tym dworze.

Zagłoba począł mrugać znacząco na Wołodyjowskiego.

— A tak i do Krakowa pojadę, — rzekł po chwili namysłu litwin. Kazali mnie list oddać, to oddam.

— Chodźmy do izby, każemy sobie piwa zagrzać, rzekł Zagłoba.

— A wy gdzie jedziecie? — pytał po drodze Longinus.

— Do Zamościa, do Skrzetuskiego.

— Porucznika niema w Zamościu.

— Masz babo placek! Gdzież on jest?

— Koło Choroszczyna gdzieś, gromi kupy swawolne. Chmielnicki cofnął się, ale jego półkownicy po drodze palą, rabują i ścinają. Na tych starosta wałecki odkomenderował pana Jakóba Regowskiego, żeby ich znosił....

— I Skrzetuski jest z nim także.

— Takoż. Ale oni osobno chodzą, bo wielkie są między niemi emulacye, o których waszmościom później opowiem.

Tymczasem weszli do izby. Zagłoba kazał zagrzać trzy garnce piwa. Poczem zbliżywszy się do stołu, za którym Wołodyjowski z panem Longinem już zasiedli, rzekł:

— Bo waćpan panie Podbipięta nie wiesz największej i szczęśliwej nowiny, żeśmy z panem Michałem Bohuna na śmierć usiekli.

Litwin aż się z ławy podniósł.

— Braciaż wy rodzeni, możeż to być?

— Jak nas tu żywych widzisz.

— I wy jego we dwóch usiekli?

— Tak jest.

— O to nowina! a Boże, Boże! — mówił litwin plasnąwszy w dłonie. Mówisz waćpan: we dwóch! — jak to we dwóch?

— Bom go naprzód przez fortele do tego doprowadził, że nas wyzwał, — rozumiesz wasze? — poczem pan Michał pierwszy stanął, i tak go mówię waści pokrajał, jak wielkanocne prosie, rozebrał go jak pieczonego kapłona — rozumiesz wasze.

— To waść drugi nie stawał?

— No patrzcie się! — rzekł Zagłoba: widzę, że waść musiałeś sobie kazać krew puszczać i ze słabości na umyśle szwankujesz. Rozumiałżeś że będę z trupem stawał, albo że leżącego już będę docinał?

— Bo mówiłeś waść, żeście go we dwóch usiekli.

Pan Zagłoba ramionami ruszył.

— Świętej cierpliwości z tym człowiekiem. Panie Michale, zali nie obydwóch nas Bohun wyzwał?

— Tak jest — rzecze Wołodyjowski.

— Pojąłeś waść teraz?

— Niech i tak będzie, — odrzekł Longinus. To pan Skrzetuski szukał Bohuna pod Zamościem, a jego tam już nie było.

— Jak to go Skrzetuski szukał?

— Muszę już ja widzę wszystko ab ovo waćpanom opowiedzieć, właśnie tak, jak się odbyło, — rzekł pan Longinus. Zostaliśmy tedy jak wiecie w Zamościu a wy ruszyliście do Warszawy. Na kozaków nie czekaliśmy zbyt długo. Przyszły ich chmary nieprzejrzane z pode Lwowa, że okiem wszystkich z murów nie objąłeś. Ale nasz książę tak Zamość opatrzył, że byliby pod nim dwa lata stali. Myśleliśmy, że nie będą wcale szturmowali i wielki był z tego powodu między nami smutek, bo każdy sobie rozkosze z ich klęski obiecywał, a że byli z niemi i tatarzy, więc ja także miałem nadzieję, że mnie pan Bóg miłosierny da moje trzy głowy....

— Proś go waćpan o jedną, proś o jedną, a dobrą, przerwał Zagłoba.

— A waćpan zawsze taki sam — słuchać hadko, rzekł litwin. Myśleliśmy tedy, że nie będą szturmowali, oni tymczasem, jako to szaleni w swej zatwardziałości zaraz wzięli się do budowania machin, a potem nuż szturmować! Pokazało się później, że Chmielnicki sam nie chciał, ale Czarnota, ich oboźny, wziął na niego napadać i mówić, że to go tchórz obleciał — że już z lachami myśli się bratać — więc Chmielnicki pozwolił i pierwszego Czarnotę posłał. Co się działo, braciaszki, tego ja wam nie wypowiem. Świata z za dymu i z za ognia nie było widać. Poszli z początku odważnie, zasypali fosę, darli się na mury, aleśmy im tak przygrzeli, że potem i od murów i od własnych machin pouciekali, dopiero wypadliśmy za niemi w cztery chorągwie i narżnęliśmy jak bydła.

Wołodyjowski zatarł ręce.

— Uch! żałuję, żem nie był na tym festynie! — wykrzyknął z uniesieniem.

— I ja byłbym się tam przydał, — rzekł ze spokojną pewnością Zagłoba.

— A już wtedy najwięcej dokazywali pan Skrzetuski i pan Jakób Regowski, — mówił dalej litwin, — obaj wielcy kawalerowie, ale

zgoła sobie nieprzyjaźni. Zwłaszcza pan Regowski krzywił się na Skrzetuskiego i byłby niezawodnie szukał okazyi, gdyby nie to, że pan Weyher pod gardłem zabronił pojedynków. Nie rozumieliśmy z początku, o co panu Regowskiemu chodzi, aż i wyszło na wierzch, że to krewny pana Łaszcza, którego książę z powodu pana Skrzetuskiego, jako pamiętacie, z obozu wypędził. Ztąd złość w Regowskim, do księcia, do nas wszystkich, a zwłaszcza do porucznika, ztąd i emulacya między niemi, któ ra obu w tem oblężeniu wielką sławą okryła bo się jeden nad drugiego wysadzał. Obaj byli pierwsi i na murach i w wycieczkach, aż wreszcie sprzykrzyło się Chmielnickiemu szturmo wać i regularne rozpoczął oblężenie, nie zaniedbując przytem i fortelów, któreby go do zdobycia miasta mogły doprowadzić.

— Tyle samo on albo i więcej ufa w chy trość! — rzekł Zagłoba.

— Szalony człowiek, a przytem i obscurus (mówił dalej Podbipięta), sądził, że pan Weyher jest niemiec, widać nie słyszał o wojewodach pomorskich tego nazwiska, bo napisał list, chcąc starostę do zdrady namówić, jako cudzoziemca i jurgieltnika. Dopieroż mu pan Wey-

her odpisał, co zacz jest, i jako się źle z pokusą do niego wybrał. Ten list, żeby to pokazać lepiej swój walor, chciał koniecznie starosta przez kogoś znaczniejszego, nie przez trębacza wysłać, a że to się jak na zgubę między tak dzikie bestye idzie, nie było chętnych między towarzystwem. Inni się też na godność oglądali, więc ja się podjąłem — i tu słuchajcie, bo co najciekawsze, to się dopiero zaczyna.

— Słuchamy pilnie, — rzekli dwaj przyjaciele.

— Pojechałem tedy i zastałem hetmana pijanego. Przyjął mnie jadowicie, zwłaszcza gdy list przeczytał, —i buławą groził—a ja, polecając pokornie duszę Bogu, tak sobie wszystko myślałem: już też, jeśli mnie tknie, tak mu pięścią głowę rozbiję. Co było robić, braciaszki kochane — co?

— Zacnie to było ze strony waćpana, tak myślić rzekł z pewnem rozrzewnieniem Zagłoba.

— Ale go półkownicy mitygowali i drogę mu do mnie zagradzali—mówił pan Longinus— a najbardziej jeden młody, tak śmiały, że go w pół brał i odciągał mówiąc: „nie pójdziesz bat‘ku, upiłeś się.“ Patrzę ja, kto mnie tak

broni i dziwię się jego śmiałości, że taki z Chmielnickim konfident — aż to Bohun.

— Bohun? — wykrzyknęli Wołodyjowski i Zagłoba.

— Tak jest. Poznałem go, bom go w Rozłogach widział—i on mnie także. Słyszę: mówi do Chmielnickiego: „to mój znajomy“. A Chmielnicki, jako to prędka u pijaków rezolucya, odpowiada: „kiedy on twój znajomy synku, tak dać jemu pięćdziesiąt talarów — a ja dam respons“. I dał mi respons, a co do talarów rzekłem, by bestyi nie drażnić, żeby je dla hajduków schował, bo nie moda towarzyszowi musztuluków brać. Odprawili mnie z namiotu dość uczciwie — ale ledwom wyszedł przychodzi do mnie Bohun: „My się w Rozłogach widzieli“ mówi. „Tak jest (rzekę) jenom się wtedy nie spodziewał braciaszku, że cię w tym obozie ujrzę.“—A on na to: „nie własna wola, ale nieszczęście zagnało!“ W rozmowie, powiedziałem mu, jakeśmy to jego za Jarmolińcami pobili. „Jam nie wiedział, z kim mam do czynienia (rzekł mi na to) i w rękę byłem zacięty, a ludzi miałem do niczego, bo myśleli, że to sam kniaź Jarema ich bije.“ — I my-

śmy nie wiedzieli (powiadam), bo żeby pan Skrzetuski wiedział, że to ty, tedyby jeden z was już nie żył.

— Pewnieby tak było, ale cóż on na to?— pytał Wołodyjowski.

— Zalterował się mocno i odwrócił rozmowę. Opowiadał mi, jako Krzywonos wysłał go z listami do Chmielnickiego pod Lwów, żeby wczasu trochę zażył — a Chmielnicki nie chciał go napowrót odesłać, bo go zamyślał do innych posyłek użyć, jako mającego prezencyę. Nakoniec pyta: „gdzie pan Skrzetuski?“ — a gdym mu powiedział, że w Zamościu, rzekł: „to się może spotkamy“ — i z tem go pożegnałem.

— Już zgaduję, że go zaraz potem Chmielnicki wysłał do Warszawy, mówił Zagłoba.

— Tak jest, ale czekajże waćpan. Wróciłem tedy do fortecy i zdałem sprawę panu Weyherowi z poselstwa. Była już późna noc. Nazajutrz dzień znowu szturm, jeszcze zajadlejszy jak pierwszy. Nie miałem czasu widzić się z panem Skrzetuskim, dopiero trzeciego dnia mówię mu, żem Bohuna widział i z nim mówił. A było przytem siła oficerów i z niemi pan Regowski. Ten zasłyszawszy,

rzecze z przekąsem: „Wiem ja, że tam o pannę chodzi, jeśli waszmość taki rycerz, jak sława niesie, to masz Bohuna: wyzwij go na rękę, a już bądź pewien, że ci ten zabijaka nie odmówi. Będziem mieli z murów piękny prospectus. Ale o was, Wiśniowiecczykach więcej (powiada) mówią, jak jest“. Na to pan Skrzetuski jak spojrzy na pana Regowskiego, — jakby go kto z nóg ściął! „Tak waćpan radzisz? (spyta) — a dobrze! Nie wiem jeno, czybyś waszmość, który naszej cnocie przymawiasz, miał, odwagę pójść między czerń, wyzwać odemnie Bohuna“. A Regowski: „Odwagę mam, alem waszmości ni swat ni brat — nie pójdę.“ Dopieroż inni w śmiech z pana Regowskiego: „O! (prawią) małyś teraz, a jak o cudzą skórę chodziło toś był wielki!“ Więc Regowski jako to ambitna sztuka, wziął na kieł i podjął się. Nazajutrz dzień poszedł z wyzwaniem — ale już Bohuna nie znalazł. Nie wierzyliśmy zrazu relacyi — ale teraz dopiero, po tem, coście mi waszmościowie powiedzieli, widzę, że prawda. Bohuna musiał Chmielnicki istotnie wysłać, i tameście go waszmościowie usiekli.

— Tak to i było, — rzecze Wołodyjowski.

— Powiedz że nam wasze, — pytał Zagłoba, — gdzie my teraz Skrzetuskiego znajdziemy, bo znaleść go musiemy, aby zaraz z nim po dziewczynę wyruszyć!

— Łatwo się o niego za Zamościem dopytacie, bo tam o nim głośno. Kalinę pułkownika kozackiego obaj z Regowskim, do rąk sobie podając, ze szczętem znieśli. Później Skrzetuski na własną rękę dwa razy czambuły tatarskie pogromił i Burłaja zniósł i kup kilka rozbił.

— A że to Chmielnicki na to pozwala?

— Chmielnicki ich się wypiera, i mówi, że wbrew jego rozkazom łupią. Inaczejby nikt w jego wierność i posłuszeństwo dla króla Jegomości nie uwierzył.

— Bardzo też liche piwsko w tej Końskowoli! — zauważył pan Zagłoba.

— Za Lublinem już pójdziecie waszmościowie krajem spustoszonym, — mówił dalej litwin, — bo podjazdy aż za Lublin dochodziły i tatarowie jasyr wszędy brali, a co koło Zamościa i Hrubieszowa zagarnęli, Bóg jeden zliczy. Kilka tysięcy odbitych jeńców odesłał już Skrzetuski do fortecy. Pracuje on tam ze wszystkich sił, na własne zdrowie nie dbając.

Tu westchnął pan Longinus i spuścił głowę w zamyśleniu, a po chwili tak dalej mówił:

— Ot, myślę, że Bóg w miłosierdziu najwyższém niechybnie pocieszy pana Skrzetuskiego i da mu to, w czem sobie szczęście upatrzył, bo wielkie są zasługi tego kawalera. W tych czasach zepsucia i prywaty, gdy każdy o sobie tylko myśli, on o sobie zapomniał. Taż on brateńki dawno mógł permisyę od księcia pana otrzymać i jechać na szukanie kniaziówny, a zamiast tego, gdy na miłą ojczyznę paroksyzm przyszedł, ani na chwilę służby nie porzucił, z męką w sercu, w ustawicznej pracy trwając.

— Rzymską on ma duszę, niema co i mówić! — rzekł Zagłoba.

— Przykład z niego brać powinniśmy.

— Szczególniej waćpan, panie Podbipięto, który na wojnie nie pożytku ojczyzny, ale trzech głów szukasz.

— Bóg patrzy w duszę moją! — rzekł pan Longinus, wznosząc oczy ku niebu.

— Skrzetuskiemu już pan Bóg wynagrodził śmiercią bohunową, — rzekł Zagłoba — i tem, że dał chwilę spokoju Rzeczypospolitej,

bo teraz czas dla niego nadszedł, by o odszukaniu zguby pomyślał.

— Waćpanowie z nim pojedziecie? — pytał litwin.

— A waszmość, to nie?

— Radbym ja z duszy serca, ale co z listami będzie. Jeden wiozę od starosty wałeckiego do króla Jegomości, drugi do księcia, a trzeci właśnie od pana Skrzetuskiego, także do księcia, z prośbą o permisyę.

— Permisyę my mu wieziemy.

— Ba, ale jakże mnie listów nie odwieźć?

— Musisz waćpan jechać do Krakowa, nie może być inaczej. Zresztą powiem szczerze: radbym w onej wyprawie po kniaziównę mieć takie pięście, jako są waścine, za plecami, ale w czem innem, toś się waść na nic nie zdał. Tam trzeba będzie symulować, a najpewniej przebrać się w świty kozackie, chłopów udawać — a waść tak w oczy leziesz swoim wzrostem, że każdyby się zaraz pytał: co to za drągal? zkąd się takowy kozak wziął? — Prócz tego waćpan i mowy ich wybornie nie umiesz. Nie, nie! jedź waść do Krakowa, a my sami damy sobie jakoś radę.

— Tak i ja myślę — rzekł Wołodyjowski.

— Pewno, że tak musi być, — odpowiedział pan Podbipięta. — Niechże wam Bóg miłosierny błogosławi i pomoże. A czy wiesz gdzie ona ukryta?

— Bohun nie chciał powiedzieć. Wiemy jeno to, com ja podsłuchał, gdy mnie to Bohun w chlewie więził, ale to dosyć.

— Jakże wy ją znajdziecie.

— Moja głowa, moja głowa! — rzekł Zagłoba. — Bywałem ja w trudniejszych terminach. Teraz rzecz tylko w tem, byśmy do Skrzetuskiego najprędzej się dostali.

— Pytajcie się w Zamościu. Pan Weyher musi wiedzieć, bo on z nim koresponduje — i jeńców mu pan Skrzetuski odsyła. Niech was Bóg błogosławi.

— I waćpana również, — rzekł Zagłoba. — Jak będziesz w Krakowie u księcia, pokłoń się od nas panu Charłampowi.

— Któż to taki?

— To jeden litwin, nadzwyczajnej gładkości, za którym wszystkie panny z fraucymeru księżnej głowy potraciły.

Pan Longinus zadrżał.

— Dobrodzieju mój, chyba kpiny?

— Bądź waćpan zdrów! Okrutnie tu liche piwsko w tej Końskowoli; zakończył pan Zagłoba, mrugając na Wołodyjowskiego.

ROZDZIAŁ XV.

Odjechał więc pan Longinus do Krakowa z sercem przeszytem strzałą, a okrutny pan Zagłoba wraz z Wołodyjowskim do Zamościa, gdzie nie zabawili dłużej jak jeden dzień, gdyż komendant, starosta wałecki, oznajmił im, że dawno już nie miał wiadomości od Skrzetuskiego i sądził, że regimenty które pod Skrzetuskim ruszyły, pójdą na prezydium do Zbaraża, aby tamte kraje od kup swawolnych zasłaniać. Było to tem prawdopodobniejsze, że Zbaraż, jako własność Wiśniowieckich, szczególniej był na zapędy śmiertelnych wrogów księcia wystawiony. Otwierała się więc przed panem Wołodyjowskim i Zagłobą, długa i dosyć trudna droga, ale że i tak, idąc po kniaziównę, musieliby ją przebyć, było im zatem wszystko jedno, czy to prędzej, czy później nastąpi — i ruszyli w nią bez zwłoki, tyle się

tylko zatrzymując, ile trzeba było dla odpoczynku, lub gromienia kup rozbójniczych, które się jeszcze tu i owdzie wałęsały.

Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity, lub w jassyr zagarnięty. Trupy tylko spotykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgliszczach wyjące. Kto powódź tatarsko-kozacką przeżył, chronił się w głębinach leśnych i marzł z zimna, lub głodem przymierał, nie śmiejąc się jeszcze z lasów wychylić, nie wierząc, by nieszczęście mogło już minąć. Konie z pod swej chorągwi musiał Wołodyjowski karmić korą drzew, lub nawpół spalonem zbożem, które ze zgliszczów dawnych spichrzów wydobywano. Ale szli szybko, ratując się głównie temi zapasami, które rozbójniczym oddziałom zabierali. Był to już koniec listopada, a o ile zeszłoroczna zima przeszła, z największym podziwem ludzkim, bez śniegów, mrozów i lodu, tak że cały porządek natury zdawał się być przez nią odmieniony, o tyle teraźniejsza zapowiadała się ostrzej jak zwykle. Ziemia skrzepła:

śniegi leżały już na polach, a brzegi rzek bramowały się rankami przezroczystą skorupą szklanną. Pogoda była sucha, blade promienie słoneczne słabo tylko ogrzewały świat w godzinach południowych; natomiast rankami i wieczorami paliły się na niebie czerwone zorze — niechybna przepowiednia rychłej i silnej zimy.

Po wojnie i głodzie miał nadejść trzeci wróg nędzy ludzkiej — mróz, a jednak ludzie wyglądali go z upragnieniem, był on bowiem pewniejszym od wszystkich układów hamulcem wojny. Pan Wołodyjowski, jako człowiek doświadczony i nawskroś Ukrainę znający, pełen był nadziei, że wyprawa po kniaziównę przyjdzie już niechybnie do skutku, bo główna przeszkoda — wojna — nie położy jej tak prędko tamy.

— Nie wierzę ja w szczerość Chmielnickiego, — mówił, — żeby on z afektu dla króla Jegomości na Ukrainę się cofał; ale to chytry lis! Wie on, że gdy kozacy okopać się nie mogą, to nic po nich, bo w otwartem polu, choćby i pięćkroć liczniejsi, naszym chorągwiom nie dostoją. Pójdą oni teraz do zimowników, a stada poślą w śniegi. Tatarzy też potrzebu-

ją jassyr odprowadzić. Jeśli zima będzie tęga, to będziem mieli spokój, aż do przyszłej trawy.

— Może i dłużej, bo wszelako mają oni respekt dla króla jegomości. Ale nam i tyle czasu nie potrzeba. Da Bóg na zapusty wyprawiemy panu Skrzetuskiemu wesele.

— Byleśmy się tylko teraz z nim nie minęli, bo nowa byłaby mitręga.

— Trzy chorągwie jest przy nim, to przecie nie w korcu ziarnka szukać. Może go jeszcze pod Zbarażem dognamy, jeśli się gdzie dłużej koło hajdamaków zabawi.

— Dognać go nie możemy, ale powinniśmy mieć wieści po drodze—odrzekł Wołodyjowski.

O wieści jednak było trudno. Chłopi widzieli tu i owdzie przechodzące chorągwie, słyszeli o bitwach staczanych przez nie z rabusiami, ale nie umieli powiedzieć, czyjeby były te chorągwie, że zaś mogły one być tak dobrze Regowskiego, jak Skrzetuskiego, więc dwaj przyjaciele nie mieli żadnej pewności. Natomiast doleciała ich uszu inna wieść o wielkich niepowodzeniach kozackich przeciw wojskom litewskim. Krążyła już ona w formie pogłoski, w wilję wyjazdu Wołodyjowskiego z Warszawy, ale jeszcze wątpiono, teraz zaś

rozbiegła się po całym kraju, ze wszelkiemi szczegółami, jako niezbita prawda. Za klęski zadane przez Chmielnickiego wojskom koronnym, zapłaciły klęską litewskie. Dał głowę Półksiężyc, wódz stary i doświadczony, i dziki Nebaba, i potężniejszy od nich obydwóch Krzeczowski, który nie starostw i województw, nie dostojeństw i godności, ale pala się w buntowniczych szeregach dorobił. Zdało się, że jakaś dziwna Nemezis zapragnęła pomścić na nim niemiecką krew przelaną w łasze dnieprowej, krew Flika i Wernera, gdyż wpadł właśnie w ręce niemieckiego regimentu radziwiłłowskiego, i lubo postrzelany i ciężko ranny, został natychmiast na pal wbity, na którym nieszczęsny drgał jeszcze cały dzień, nim posępną duszę wyzionął. Taki był koniec tego, który przez swe męztwo i geniusz wojenny, drugim Stefanem Chmieleckim mógł zostać, ale którego wygórowana żądza bogactw i dostojeństw, pchnęły na drogę zdrad, krzywoprzysięztwa i straszliwych, godnych samego Krzywonosa, mordów.

Z nim, z Półksiężycem i z Nebabą, blizko dwadzieścia tysięcy mołojców położyło głowy na pobojowisku, lub potopiło się w błotach

Prypeci; strach więc przeleciał jak wicher nad bujną Ukrainą, bo zdało się wszystkim, że to po wielkich tryumfach, po Żółtych wodach, Korsuniu, Piławcach, przychodzi czas na takie pogromy, jakich pod Sołonicą i Kumejkami doznały poprzednie bunty. Sam Chmielnicki, choć na szczycie sławy, choć potężniejszy niż kiedykolwiek, zląkł się, gdy się o śmierci „druha" Krzeczowskiego dowiedział i znów czarownic zaczął o przyszłość pytać. Wróżyły różnie — wróżyły nowe wielkie wojny i zwycięztwa i klęski — nie umiały jednak powiedzieć hetmanowi, co się z nim samym stanie.

Ale tymczasem, właśnie z powodu klęski Krzeczowskiego, również jak z powodu zimy, tem pewniejszy był długi spokój. Kraj począł się koić, spustoszałe wioski zaludniać i otucha wstępowała zwolna we wszystkie zwątpiałe i przerażone serca.

Z tąż samą otuchą, nasi dwaj przyjaciele po długiej i trudnej podróży, dojechali szczęśliwie do Zbaraża i oznajmiwszy się w zamku, natychmiast udali się do komendanta, w którym, z niemałem zdziwieniem, poznali Wierszułła.

— A gdzie Skrzetuski? — pytał po pierwszych powitaniach Zagłoba.

— Niemasz go, — odpowiedział Wierszułł.

— To waść masz komendę nad prezydyum?

— Tak jest. Miał Skrzetuski, ale wyjechał i mnie zdał załogę aż do swego powrotu.

— A kiedy obiecał wrócić?

— Nic nie mówił, bo sam nie wiedział, jeno mi tak rzekł na odjezdnem: „jeśliby kto do mnie przyjechał, tedy mu powiedz, żeby tu na mnie czekał.“

Zagłoba z Wołodyjowskim spojrzeli na siebie.

— Jak dawno pojechał? — pytał pan Michał.

— Dziesięć dni temu.

— Panie Michale, — rzekł Zagłoba,—niechże pan Wierszułł da nam wieczerzę, bo źle się radzi na głodno. Przy wieczerzy pogadamy.

— Z serca służę waszmościom, bom i sam też miał do stołu siadać. Zresztą pan Wołodyjowski, jako starszy oficer, bierze komendę, więc ja to jestem u niego, nie on u mnie.

— Zostań przy komendzie, panie Krzysztofie, — rzekł Wołodyjowski,—boś starszy wiekiem, przytem mnie pewno jechać wypadnie.

Po chwili wieczerza była podana. Siedli, jedli, a gdy pan Zagłoba zaspokoił już nieco pierwszy głód dwoma miskami juszki, — rzekł do Wierszułła:

— Nie suponujesz-że waćpan, gdzie mógł jechać pan Skrzetuski?

Wierszułł kazał iść precz pachołkom, posługującym do stołu i po chwili namysłu, tak mówić począł:

— Suponuję, ale siła Skrzetuskiemu na tajemnicy zależy, nie chciałem przy służbie gadać. Korzystał on z pomyślnego czasu, bo pewnie tu do wiosny będziem w spokoju stali — i wedle moich supozycyi, pojechał na poszukiwanie kniaziówny, która w bohunowem jest ręku.

— Bohuna niema już na świecie, — rzekł Zagłoba.

— Jakto?

Pan Zagłoba opowiedział po raz trzeci, czy czwarty wszystko jak było, bo opowiadał to zawsze z przyjemnością; Wierszułł również, jak pan Longinus, nie mógł się wydziwić zdarzeniu, nakoniec rzekł:

— To Skrzetuskiemu będzie łatwiej.

— W tem rzecz, czy ją odnajdzie. A ludzi ze sobą wziął jakowych?

— Nikogo, sam pojechał — z jednym rusinkiem, pacholikiem i z trzema końmi.

— To już roztropnie postąpił, bo tam tylko fortelami trzeba radzić. Do Kamieńca możnaby może z chorągiewką dojść, ale już w Uszycy i w Mohylowie pewno stoją kozacy, bo tam zimowniki dobre, a w Jampolu ich gniazdo — trzeba tam iść albo z całą dywizyą, albo samemu.

— A zkąd-że waćpan wiesz, że on w tamtą właśnie stronę się udał?—pytał Wierszułł.

— Bo ona tam ukryta za Jampolem i o tem on wiedział, ale tam jarów, zapadlin, komyszy tyle, że choć i wiedząc dobrze miejsce, trudno trafić, cóż dopiero nie wiedząc. Jeździłem ja za końmi i na sądy do Jahorlika, to wiem. Żebyśmy byli razem możeby łatwiej poszło — ale jemu samemu — wątpię, wątpię, chybaby mu przypadek jakowy drogę wskazał, bo i pytać się nie będzie mógł.

— To waszmościowie chcieliście z nim jechać?

— Tak jest. Ale cóż teraz poczniemy, panie Michale? Jechać za nim, czy nie jechać?

— Na waszmościn przemysł to zdaję.

— Hum! dziesięć dni jak pojechał — nie dognamy — i co więcej — kazał czekać na siebie. Bóg też wie, jaką drogą pojechał? Mógł na Płoskirów i Bar, jako stary trakt idzie, a mógł na Kamieniec Podolski. Ciężka tu jest sprawa.

— Pamiętaj przytem waszmość, — rzekł Wierszułł, — że są tylko supozycye, ale pewności niemasz, że po kniaziówne pojechał.

— Otóż to, otóż to! —rzekł Zagłoba.—Nuż ruszył tylko dlatego, by języka gdzie zasięgnąć i potem wróci do Zbaraża, bo to przecie wiedział, że mamy iść razem i mógł się nas teraz spodziewać, jako w najlepszy czas. Ciężka to jest deliberacya.

— Jabym radził czekać z dziesięć dni, — rzekł Wierszułł.

— Dziesięć dni na nic; albo czekać, albo wcale nie czekać.

— Ja zaś myślę, żeby nie czekać, bo co i stracimy, jeśli zaraz jutro ruszym. Nie odnajdzie kniaziówny pan Skrzetuski, to może właśnie nam Bóg poszczęści—rzekł Wołodyjowski.

— Widzisz panie Michale, nie można tu nic lekceważyć wasze jesteś młody i chce ci

się przygód — odpowiedział Zagłoba, — a tu jest to niebezpieczeństwo, że gdy jej osobno on, a osobno my, szukać będziem, łatwo rozbudzi się jakaś podejrzliwość w tamecznych ludziach. Kozactwo chytre, i boi się, żeby kto nie odkrył ich zamysłów. Oni tam z baszą granicznym koło Chocima mogą mieć konszachty, lub z tatarami za Dniestrem wedle przyszłej wojny — kto ich wie! Tedy na obcych ludzi, a zwłaszcza dopytujących o drogi, baczne będą mieć oko. Ja ich znam. Zdradzić się łatwo, a potem co?

— To tem bardziej, bo może Skrzetuski w takowe popaść terminy, w których trzeba mu będzie pomódz.

— I to także prawda.

Zagłoba zamyślił się tak mocno, że aż mu skronie drgały.

Nakoniec rozbudził się i rzekł:

— Zważywszy wszystko, trzeba będzie jechać.

Wołodyjowski odetchnął z zadowoleniem.

— A kiedy?

— Wypocząwszy tu ze trzy dni, by dusza i ciało raźne były.

Jakoż nazajutrz dwaj przyjaciele poczęli już czynić przygotowania do drogi, gdy niespodzianie, w wilię ich wyjazdu, przybył pacholik pana Skrzetuskiego, młody kozaczek Cyga, z wieściami i listami dla Wierszułła. Usłyszawszy o tem Zagłoba i Wołodyjowski, wnet pośpieszyli do kwatery komendanta i tam czytali, co następuje:

„Jestem w Kamieńcu, do którego droga na Satanów bezpieczna. Jadę do Jahorlika z ormianami, kupcami, których mnie pan Bukowski wskazał. Mają oni glejty tatarskie i kozackie na wolny przejazd aż do Akermanu. Pojedziemy na Uszycę, Mohylów i Jampol, z bławatami, wszędy po drodze się zatrzymując, gdzie jeno ludzie żywi mieszkają, może też Bóg pomoże, że znajdziem, czego szukamy. Towarzyszom moim, Wołodyjowskiemu i panu Zagłobie, powiedz panie Krzysztofie, by w Zbarażu na mnie czekali, jeśli im czego innego czynić nie wypadnie, bo w tę drogę, w którą jadę, większą kupą jechać nie można, a to dla wielkiej podejrzliwości kozaków, którzy w Jampolu zimują i nad Dniestrem, aż do Jahorlika, konie w śniegach trzymają. Czego ja sam nie sprawię, tegobyśmy i we trzech nie

dokazali, a ja prędzej za ormianina ujść mogę. Podziękuj im, panie Krzysztofie, z duszy serca za ich rezolucyę, którą, pókim żyw, będę pamiętał, — ale czekać na nich nie mogłem, gdyż każdy dzień w męce mi schodził— i tego nie mogłem wiedzieć, czyli przyjadą, a najlepsza pora teraz jechać, gdy wszyscy kupcy po bakalie i bławaty ruszają. Pacholika wiernego odsyłam, którego miej w opiece — bo nic mi po nim, boję się zaś jego młodości, żeby się gdzie z czem nie wygadał. Pan Bukowski zaręcza za owych kupców, że poczciwi, co i ja myślę, wierząc, że wszystko w ręku Boga najwyższego, któren jeśli zechce, miłosierdzie nam swoje okaże i mękę skróci, amen."

Pan Zagłoba skończył list i spoglądał na swoich towarzyszów, oni zaś milczeli — aż w końcu Wierszułł rzekł:

— Wiedziałem, że on tam pojechał.

— A co nam czynić wypada? — pytał Wołodyjowski.

— A cóż — rzekł Zagłoba, roztwierając ręce. — Nie mamy po co już jechać. To, że on z kupcami jedzie, to dobrze, bo wszędy może zaglądać i nikogo to nie zdziwi. W każdej chacie teraz, w każdym chutorze, jest co ku-

pować, gdyż oni przecie pół Rzeczypospolitej zrabowali. Ciężkoby nam było, panie Michale, za Jampol się dostać. Skrzetuski czarny jak wołoch i snadnie za ormiana ujść może, a ciebie zarazby po twoich owsianych wąsikach poznali. W przebraniu chłopskiem również byłoby trudno... Niechże mu Bóg błogosławi! Nic tam po nas — to muszę przyznać, chociaż mi żal, że do uwolnienia tej niebogi nie przyłożymy ręki. Wielkąśmy jednak Skrzetuskiemu oddali przysługę, usiekłszy Bohuna, bo gdyby on był żyw, tedy nie ręczyłbym za zdrowie pana Jana.

Wołodyjowski bardzo był niekontent; obiecywał sobie podróż pełną przygód, a tymczasem zapowiadał mu się długi i nudny pobyt w Zbarażu.

— Możebyśmy choć do Kamieńca ruszyli— rzekł.

— A co my tam będziem robili i z czego żyli! — odpowiedział Zagłoba. — Wszystko jedno, do których murów jak grzyby przyrośniemy; trzeba czekać i czekać, bo taka podróż dużo Skrzetuskiemu może zająć czasu. Człowiek póty młody, póki się rusza, (tu pan Zagłoba opuścił melancholicznie głowę na pier-

si) a starzeje się w bezczynności, ale trudno... niechże się tam bez nas obejdzie. Jutro damy na solenną wotywę, by mu Bóg szczęścił. Bohunaśmy usiekli — to grunt! — każ waść konie rozjuczyć, panie Michale, — trzeba czekać

Jakoż nazajutrz zaczęły się dla dwóch przyjaciół długie, jednostajne dni oczekiwania, których ani pijatyki, ani gra w kości nie mogły urozmaicić — i ciągnęły się bez końca. Tymczasem nadeszła sroga zima. Śnieg, całunem na łokieć grubym, okrył blanki zbarazkie i całą ziemię; zwierz i ptactwo dzikie zbliżyły się do mieszkań ludzkich. Po całych dniach słychać było krakania niezmiernych stad wron i kruków. Upłynął cały grudzień, poczem styczeń i luty — o Skrzetuskim nie było ani słuchu.

Pan Wołodyjowski jeździł do Tarnopola szukać przygód — Zagłoba sposępniał i utrzymywał, że się starzeje.

ROZDZIAŁ XVI.

Komisarze, wysłani przez Rzeczpospolitę do traktatów z Chmielnickim, dotarli wreszcie wśród największych trudności do Nowosiółek i tam zatrzymali się, czekając odpowiedzi od zwycięzkiego hetmana, który tymczasem bawił w Czehrynie. Siedzieli smutni i strapieni, bo przez drogę ciągle groziła im śmierć, a trudności mnożyły się na każdym kroku. Dzień i noc otaczały ich tłumy czerni, zdziczałej do reszty przez mordy i wojnę—i wyły o śmierć komisarzów. Raz wraz napotykali od nikogo niezależne watahy, złożone ze zbójców lub dzikich czabanów, nie mających najmniejszego pojęcia o prawach narodów, a głodnych krwi i zdobyczy. Mieli wprawdzie komisarze sto koni assystencyi, któremi pan Bryszowski dowodził, prócz tego sam Chmielnicki, w przewidywaniu co ich spotkać może, przysłał im pułk o

wnika Dońca, wraz z czterystoma mołojcami; ale eskorta ta łatwo mogła okazać się niewystarczającą, bo tłumy dziczy rosły z każdą, godziną i coraz groźniejszą przybierały postawę. Kto tylko z konwoju, albo ze służby, oddalił się choć na chwilę od gromady, ginął bez śladu. Byli oni jako garść podróżnych otoczona przez stado zgłodniałych wilków. I tak upływały im całe dnie, tygodnie, aż na noclegu w Nowosiółkach zdawało się już wszystkim, że nadchodzi ostatnia godzina. Konwój dragoński i eskorta Dońca toczyły od wieczora formalną walkę o życie komisarzów, którzy odmawiając modlitwy za konających, polecali duszę Bogu. Karmelita Łętowski dawał im kolejno rozgrzeszenie — a tymczasem z za okien, wraz z powiewem wiatru, dochodziły straszliwe wrzaski, odgłosy strzałów, piekielne śmiechy, szczęk kos, wołania na pohibel i o głowę wojewody Kisiela, który głównym był przedmiotem zawziętości.

Była to straszna noc, a długa, bo zimowa. Wojewoda Kisiel wsparł głowę na ręku i siedział od kilku godzin nieruchomie. Nie śmierci on się lękał, bo od czasów wyruszenia z Huszczy, tak już był wyczerpany, zmęczony,

bezsenny, że raczejby z radością do śmierci wyciągnął ręce, ale duszę jego nurtowała bezdenna rozpacz. On to przecie, jako rusin z krwi i kości, pierwszy wziął na się rolę pacyfikatora w tej bezprzykładnej wojnie — on występował wszędy, w senacie i na sejmie, jako najgorętszy stronnik układów, on popierał politykę kanclerza i prymasa, on potępiał najsilniej Jeremiego, i działał w dobrej wierze, dla dobra kozactwa i Rzeczypospolitej — i wierzył całą swą gorącą duszą, że układy, że ustępstwa, wszystko pogodzą, uspokoją — zabliźnią — i właśnie teraz, w tej chwili, gdy wiózł buławę Chmielnickiemu, a ustępstwa kozaczyźnie, zwątpił o wszystkiem — ujrzał oczywiście marność swoich wysileń, ujrzał pod nogami próżnię i przepaść.

— Zali oni nie chcą niczego więcej, jeno krwi, zali nie o inną wolność, jeno o wolność rabunku i pożogi im idzie? — myślał z rozpaczą wojewoda — i tłumił jęki, które rozrywały mu pierś szlachetną.

— Hołowu Kisielowu, hołowu Kisielowu! na pohibel! — odpowiadały mu tłumy.

I byłby chętnie poniósł im w darze wojewoda tę białą, skołataną głowę, gdyby nie ta

resztka wiary, że im, i całej kozaczyźnie, trzeba dać coś więcej — trzeba koniecznie, dla ich własnego i Rzeczpospolitej zbawienia. Niechże ich przyszłość tego żądać nauczy.

A gdy tak myślał, jakiś promień nadziei i otuchy rozświecał na chwilę te ciemności, które nagromadziła w nim rozpacz — i wmawiał sam w siebie nieszczęsny starzec — że ta czerń, to przecie nie cała kozaczyzna, nie Chmielnicki i jego pułkownicy — że z niemi to dopiero rozpoczną się układy.

Ale mogą li one być trwałe, póki pół miliona chłopów stoi pod bronią. Nie stopniejąż one z pierwszym powiewem wiosny, jak owe śniegi, które w tej chwili pokrywają step?...

Tu znów przychodziły wojewodzie na myśl słowa Jeremiego: „łaski można dać tylko zwyciężonym“ — i znów myśl jego zasuwała się w ciemność, a pod nogami otwierała się przepaść.

Tymczasem mijała północ. Wrzaski i wystrzały nieco przycichły; natomiast świst wichru powiększał się, na dworze była zamieć śnieżna; znużone tłumy widocznie poczęły rozchodzić się do domów; nadzieja wstąpiła w serca komisarzów.

Wojciech Miaskowski, podkomorzy lwowski, podniósł się z ławy, posłuchał przy oknie zasutem śniegiem i rzekł:

— Widzi mi się, że za łaską Bożą jutra jeszcze dożyjemy.

— Może też i Chmielnicki nadeszle liczniejszą asystencyą, bo z tą nie dojedziemy — rzekł pan Śmiarowski.

Pan Zieleński, podczaszy bracławski, uśmiechnął się gorzko:

— Ktoby to rzekł, że komisarzami pokojowemi jesteśmy!

— Posłowałem nieraz do tatar, — mówił pan chorąży nowogrodzki — ale takiego posłowania nie zaznałem póki życia. Więcej w naszych osobach Rzeczpospolita kontemptu doznaje, niż pod Korsuniem i Piławcami doznała. Mówię też waszmościom, wracajmy, bo o układach niema co i myśleć.

— Wracajmy, — powtórzył jak echo pan Brzozowski, — kasztelan kijowski. Nie może pokój stanąć—niech będzie wojna.

Kisiel podniósł powieki i utkwił szklanne oczy w kasztelanie.

— Żółte wody, Korsuń, Piławce! — rzekł głucho.

I umilkł, a za nim umilkli wszyscy — jeno pan Kulczyński, skarbnik kijowski począł odmawiać głośno różaniec, a pan łowczy Krzetowski za głowę się obu rękoma chwycił i powtarzał:

— Co za czasy! co za czasy! Boże zmiłuj się nad nami.

W tem drzwi się otwarły i Bryszowski, kapitan dragonów biskupa poznańskiego, dowodzący konwojem, wszedł do izby.

— JW. wojewodo! — rzekł — jakiś kozak pragnie widzieć Ichmość panów komisarzy.

— Dobrze, — odrzekł Kisiel — a czerń rozeszła się już?

— Poszli; obiecali jutro wrócić.

— Bardzo nacierali?

— Okrutnie, ale kozacy Dońca zabili ich kilkunastu. Jutro obiecali nas spalić.

— Dobrze, niech ten kozak wejdzie.

Po chwili drzwi się otwarły i jakaś wysoka, czarnobroda postać stanęła w progu izby.

— Kto jesteś? — pytał Kisiel.

— Jan Skrzetuski, porucznik husarski księcia wojewody ruskiego.

Kasztelan Brzozowski, pan Kulczyński i łowczy Krzetowski porwali się z ław. Wszyscy

oni służyli ostatniego roku z księciem pod Machnówką i Konstantynowem i znali pana Jana doskonale, Krzetowski był mu nawet powinowatym.

— Prawda! prawda! toż że to pan Skrzetuski! — powtarzali.

— Co tu robisz? i jakeś się do nas dostał? — pytał Krzetowski biorąc go w ramiona.

— W chłopskiem przebraniu, jak waszmościowie widzicie — rzekł Skrzetuski.

— Mości wojewodo,—wołał kasztelan Brzozowski — toć to jest najprzedniejszy rycerz z pod chorągwi wojewody ruskiego, sławny w całem wojsku.

— Witam go też wdzięcznem sercem — rzekł Kisiel — i widzę, że wielkiej to rezolucyi musi być kawaler, skoro się do nas przedarł.

Poczem do Skrzetuskiego:

— Czego od nas żądasz?

— Abyście mi waszmość panowie iść ze sobą dozwolili.

— Smokowi w paszczękę leziesz, ale gdy taka waszmościna wola, oponować jej nie możemy.

Skrzetuski skłonił się w milczeniu.

Kisiel patrzył na niego ze zdziwieniem. Surowa twarz młodego rycerza uderzyła go powagą i boleścią.

— Powiedz że mi waszmość, — rzekł — jakie powody gnają cię do owego piekła, do którego nikt po dobrej woli nie idzie?

— Nieszczęście, JW. wojewodo.

— Niepotrzebniem pytał, — rzekł Kisiel.— Musiałeś kogo z blizkich utracić i tam go jedziesz szukać?

— Tak jest?

— Dawnoż to się stało?

— Zeszłej wiosny.

— Jakto?—i waść dopiero teraz na poszukiwania się wybrał? Toż to rok blizko. Cożeś waszmość dotąd porabiał?

— Biłem się pod wojewodą ruskim.

— Zaliż tak szczery pan nie chciał waści permisyi udzielić.

— Ja sam nie chciałem.

Kisiel znów spojrzał na młodego rycerza— poczem nastało milczenie, które przerwał dopiero kasztelan kijowski.

— Wszystkim nam, którzyśmy z księciem służyli, znane są nieszczęścia tego kawalera,

nad któremiśmy niejedną słoną kroplę z oczu uronili; a że wolał, póki była wojna, ojczyźnie służyć, zamiast swego dobra patrzeć, tem to chwalebniej z jego strony. Rzadki to jest przykład w dzisiejszych zepsutych czasach.

— Jeśli się pokaże, że moje słowo u Chmielnickiego coś znaczy, to wierzaj mi waszmość że go nie pożałuję w waścinej sprawie,—rzekł Kisiel.

Skrzetuski skłonił się znowu.

— Idź-że teraz spocznij, — mówił łaskawie wojewoda, — bo musisz być znużon niemało, jak i my wszyscy, którzy chwili spokoju nie mamy.

— Ja go do swojej stancyi zabiorę, to mój powinowaty, — rzekł łowczy Krzetowski.

— Pójdźmy i wszyscy na spoczynek — kto wie czy następnej nocy będziemy spali! — rzekł Brzozowski.

— Może snem wiecznym, — zakończył wojewoda.

To rzekłszy udał się do alkierza, przy drzwiach którego czekał już pachołek, a za nim rozeszli się i inni. Łowczy Krzetowski prowadził Skrzetuskiego do swej kwatery,

która była o kilka domów dalej. Pachołek z latarką szedł przed niemi.

— Jakaż to noc ciemna i zawieja coraz większa!—mówił łowczy. Ej, panie Janie! cośmy za chwilę dziś przeżyli, myślałem, że sąd ostateczny blizko. Czerń prawie nam nóż na gardle trzymała Bryszowskiemu ręce ustawały. Jużeśmy się żegnać zaczynali.

— Byłem między czernią, — odrzekł Skrzetuski. Jutro na wieczór czekają nowej watahy zbójców, której dali znać o was. Jutro trzeba koniecznie ztąd wyruszyć. Wszakże do Kijowa jedziecie?

— Zależy od responsu Chmielnickiego, do którego kniaź Czetwertyński pojechał. Oto moja stancya — wejdź proszę, panie Janie, kazałem wina zagrzać, to się posilemy przede snem.

Weszli do izby, w której na kominie palił się potężny ogień. Dymiące wino stało już na stole. — Skrzetuski schwycił z chciwością za szklanicę.

— Od wczoraj nie miałem nic w gębie — rzekł.

— Wymizerowanyś strasznie. Widać i boleść i trudy cię stoczyły. Ale mów mi jeno

o sobie, boć ja przecie wiem o twojej sprawie, — to ty kniaziówny tam, między niemi, szukać zamyślasz?

— Albo jej, albo śmierci, — odparł rycerz.

— Łatwiej śmierć znajdziesz—zkądże wiesz, że kniaziówna tam może być? — pytał dalej łowczy.

— Bom jej gdzieindziej już szukał.

— Gdzie tak?

— Wedle Dniestru, aż do Jahorlika. Jeździłem z kupcami ormiańskiemi, bo były wskazówki, że tam ukryta; byłem wszędzie, a teraz do Kijowa jadę, gdyż tam ją miał Bohun odwieść.

Zaledwie porucznik wymówił nazwisko Bohuna, gdy łowczy porwał się za głowę.

— Na Boga! — wykrzyknął, — toż ja ci najważniejszej rzeczy nie mówię. Słyszałem, że Bohun zabit.

Skrzetuski pobladł.

— Jakto? — rzekł. — Kto to powiadał?

— Ów szlachcic, który to raz już kniaziównę ocalił, co to pod Konstantynowem tyle dokazywał — ten mnie mówił. Spotkałem go, gdy do Zamościa jechał. Minęliśmy się w drodze. Ledwiem go spytał co słychać: odpowie-

dział mi, że Bohun zabit. Pytam: a kto go zabił? — odpowie: „ja“ — na tem eśmy się rozjechali.

Płomień, który rozpalił się w twarzy Skrzetuskiego, zgasł nagle.

— Ten szlachcic — rzekł — rad klimkiem rzuci. Jemu nie można wierzyć. Nie! nie! Nie byłby on w stanie zabić Bohuna.

— A tyżeś się nie widział z nim, panie Janie, bo i to sobie przypominam, że mówił mi, iż do ciebie do Zamościa jedzie.

— W Zamościu nie doczekałem się go. Musi on być teraz w Zbarażu, ale mnie pilno było komisyę dogonić — więcem z Kamieńca nie na Zbaraż wracał — i nie widziałem go wcale. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy i to prawda, co on mnie w swoim czasie o niej powiadał, co jakoby podsłuchał, w niewoli u Bohuna będąc, że za Jampolem ją ukrył, a potem miał ją do Kijowa na ślub wieść. — Może i to nie prawda, jako i wszystko, co Zagłoba mówił.

— Po cóż tedy do Kijowa jedziesz?

Skrzetuski zamilkł — przez chwilę słychać było tylko świst i wycie wiatru.

— Bo, — rzekł łowczy, przykładając palec do czoła,—bo jeśli Bohun nie zabit, to możesz snadnie wpaść mu w ręce.

— Po to ja i jadę, by jego znaleść, — odparł głucho Skrzetuski.

— Jakto?

— Niechże będzie sąd boży między nami.

— Aleć on do walki z tobą nie stanie, jeno poprostu weźmie cię w łyka i żywota zbawi, lub tatarom zaprzeda.

— Z komisarzami jestem, w ich asystencyi.

— Daj Bóg, abyśmy własne gardła wynieśli — a cóż mówić o asystencyi.

— Komu życie ciężkie, ziemia będzie lekka.

— Bój-że się Boga Janie—tu nie o śmierć wreszcie chodzi, bo ta nikogo nie minie, ale oni cię mogą na galery tureckie zaprzedać.

— Zali myślisz panie łowczy, że mi będzie gorzej jak jest.

— Widzę, żeś desperat, w miłosierdzie Boże nie ufa-z.

— Mylisz się, panie łowczy! Mówię, że mi źle na świecie, bo tak jest, ale z wolą bożą dawno się pogodziłem. Nie proszę, nie jęczę, nie przeklinam, łbem o ścianę nie tłukę,

chce jeno spełnić, co do mnie należy, póki mi sił i życia staje.

— Ale cię boleść jako trucizna trawi.

— Bóg dał po to boleść, by trawiła, a lek ześle, kiedy sam zechce.

— Nie mam co rzec na takowy argument,— rzekł łowczy. — W Bogu jedyny ratunek, w Bogu nadzieja, dla nas i dla całej Rzeczpospolitej. Pojechał król do Częstochowy, może też u Najświętszej Panny co wskóra — inaczej zginiemy wszyscy.

Nastała cisza, z za okien tylko dochodziło przeciągłe „werdo“ dragońskie.

— Tak, tak, — mówił po chwili łowczy.— Wszyscy my więcej do umarłych, niż do żywych należemy. Zapomnieli już ludzie śmiać się w tej Rzeczypospolitej, jeno jęczą, jako ten wicher w kominie. Wierzyłem i ja, że nastaną lepsze czasy, pókim tu wraz z innemi nie przyjechał, ale widzę teraz, że płonna to była nadzieja. Ruina, wojna, głód, mordy i nic więcej, — nic więcej.

Skrzetuski milczał; płomień ogniska palącego się w kominie, oświecał twarz jego wychudłą i surową.

Wreszcie podniósł głowę i rzekł poważnym głosem.

— Doczesność to wszystko, która upływa, przemija — i nic się po niej nie zostaje.

— Mówisz jak mnich — rzekł pan łowczy.

Skrzetuski nie odpowiedział; wicher tylko jęczał coraz żałośniej w kominie.

ROZDZIAŁ XVII.

Nazajutrz rano opuścili komisarze, a z niemi i pan Skrzetuski Nowosiołki, ale była to podróż opłakana, w której na każdym postoju, w każdem miasteczku groziła im śmierć, a wszędy spotykały gorsze od śmierci zniewagi, w tem właśnie gorsze, że komisarze wieźli w osobach swych powagę i majestat Rzeczypospolitej. Pan Kisiel rozchorzał, tak iż na wszystkich noclegach wnoszono go na saniach do domów i piekarni. Podkomorzy lwowski łzami się zalewał nad hańbą swoją i ojczyzny; kapitan Bryszowski również rozchorzał od bezsenności i pracy, więc miejsce jego zajął pan Skrzetuski i prowadził dalej ów nieszczęsny orszak, wśród nacisku tłumów, obelg, groźb, szarpaniny i bitew.

W Białogrodzie znów zdawało się komisarzom, że ostatnia ich godzina nadeszła. Po-

spólstwo pobiło chorego Bryszowskiego, zamordowało pana Gniazdowskiego — i tylko przybycie metropolity, na rozmowę z wojewodą, wstrzymało rzeź już przygotowaną. Do Kijowa nie chciano wcale wpuścić komisarzy. Książę Czetwertyński wrócił 11 lutego od Chmielnickiego bez żadnej odpowiedzi. Komisarze nie wiedzieli, co dalej czynić? gdzie się obrócić? Powrót zagrodziły im ogromne watahy, czekające tylko na zerwanie układów, aby wymordować poselstwo. Tłuszcza rozzuchwalała się coraz bardziej. Chwytano za lejce koni dragońskich i tamowano drogę; rzucano kamienie, kawały lodu i zmarznięte grudy śniegu do sani wojewody. W Gwozdowej, Skrzetuski i Doniec musieli stoczyć krwawą bitwę, w której rozpędzili kilkaset czerni. Wyjechali znów chorąży Nowogrodzki i Śmiarowski z perswazyą do Chmielnickiego, by na komisyę do Kijowa przybył, ale wojewoda małą miał nadzieję, ażeby mogli żywi do niego dojechać, tymczasem w Chwastowie musieli komisarze z założonemi rękoma patrzyć, na tłumy mordujące jeńców obojej płci i wszelkiego wieku, których topiono w przeręblach, polewano wodą na mrozie, bodzono widłami, lub obstrugiwano żywcem

nożami. Takich dni upłynęło ośmnaście, zanim przyszła nakoniec odpowiedź od Chmielnickiego, że do Kijowa przyjechać nie chce, ale w Perejasławiu czeka na wojewodę i komisarzy.

Odetchnęli tedy nieszczęśni wysłańcy, sądząc, że skończyła się już ich męka, jakoż przeprawiwszy się przez Dniepr w Trypolu, udali się na noc do Woronkowa, z którego sześć tylko mil było do Perejasławia. Wyjechał naprzeciw nich o pół mili Chmielnicki, chcąc niby cześć poselstwu królewskiemu okazać, ale jakże zmieniony od owych czasów, w których się za ukrzywdzonego podawał — „quantum mutatus ab illo!“—jak słusznie pisał wojewoda Kisiel.

Wyjechał bowiem w kilkadziesiąt koni, z pułkownikami, essaułami i muzyką wojenną, pod znakiem, buńczukiem i czerwoną chorągwią, jakby książę udzielny. Orszak komisarski zatrzymał się natychmiast, on zaś przyskoczywszy do naczelnych sani, w których jechał wojewoda, patrzył czas jakiś w jego sędziwe oblicze, poczem uchylił trochę kołpaka i rzekł:

— Czołem wam, panowie komisary i tobie wojewodo. Lepiej było dawniej zacząć ze mną traktaty, kiedy ja był mniejszy i siły własnej nie znał, ale że was korol do mnie posłał — tak was wdzięcznem sercem w mojej ziemi przyjmuję.

— Witaj mości hetmanie! — odrzekł Kisiel — król jegomość posłał nas, byśmy ci jego łaskę ofiarowali i sprawiedliwość wyrządzili.

— Za łaskę dziękuję — a sprawiedliwość już ja sam sobie, ot tem, na waszych szyjach wyrządził — (tu uderzył się po szabli)—i dalej wyrządzę, jeśli mnie nie ukontentujecie.

— Nie uprzejmie nas witasz, mości hetmanie zaporozki, nas, wysłańców królewskich.

— Ne budu howoryty na mrozie, będzie na to lepszy czas, — odparł szorstko Chmielnicki. Puszczaj mnie Kisielu do swoich sani — bo wam chcę cześć wyrządzić i razem jechać.

To rzekłszy, zsiadł z konia i zbliżył się do sani, Kisiel zaś usunął się ku prawej ręce, zostawiając wolną lewą stronę.

Widząc to, Chmielnicki zmarszczył się i krzyknął:

— A ty mnie dawaj prawą rękę!

— Jam senator Rzeczypospolitej.

— A mnie co senator! Pan Potocki pierwszy senator i hetman koronny, a ja go mam w łykach, razem z innymi i jutro, jeśli zechce na pal wbić każę.

Rumieńce wystąpiły na blade policzki Kisiela.

— Osobę króla tu przedstawiam!!

Chmielnicki zmarszczył się jeszcze mocniej, ale się pohamował i siadł po lewej stronie, mrucząc:

— Naj korol bude w Warszawie, a ja na Rusi. Nie dość ja widzę na karki wam nastąpił.

Kisiel nie odrzekł nic, jeno oczy podniósł ku niebu. Miał on już przedsmak, tego co go czekało i słusznie pomyślał w tej chwili, iż jeśli droga do Chmielnickiego była Golgotą, to posłowanie przy nim, męką samą.

Konie ruszyły do miasta, w którem grzmiało dwadzieścia dział i biły wszystkie dzwony. Chmielnicki jakby w obawie, by komisarze nie poczytali tych odgłosów, za cześć wyłącznie im wyrządzoną, rzekł do wojewody:

— Tak ja nie tylko was, ale i innych posłów przyjmował, których do mnie przysłano.

I Chmielnicki mówił prawdę — istotnie bowiem poprzysyłano już do niego, jakby do udzielnego księcia, poselstwa. Wracając się z pod Zamościa, pod wrażeniem elekcyi i klęsk przez litewskie wojska zadanych, nie miał hetman w sercu ani połowy tej pychy, ale gdy Kijów wyszedł naprzeciw niego ze światłem i chorągwiami, gdy akademia witała go „tamquam Moijsem, servatorem, salvatorem, liberatorem populi de servitute lechica et bono omine Bohdan—od Boga dany“ — gdy wreszcie nazwano go i „illustrisimus princeps“ — tedy, wedle słów współczesnych: „podniosła się tem bestya“. Poczuł istotnie swoją siłę i grunt pod nogami, jakiego dotąd mu nie dostawało.

Poselstwa zagraniczne były milczącem uznaniem, zarówno jego potęgi, jak udzielności; stała przyjaźń tatarów opłacana większością zdobytych łupów i nieszczęsnym jasyrem, który ten wódz ludowy z ludu wybierać pozwolił — obiecywała poparcie przeciw każdemu nieprzyjacielowi, dlatego to Chmielnicki uznający jeszcze pod Zamościem zwierzchnictwo i wolę królewską, obecnie wbity w pychę, przekonany o swej sile, o niełexternalładzie Rzeczpospolitej, niedołęstwie jei wodzów, gotów był i na samego

króla podnieść rękę, marząc już teraz w posępnej swej duszy nie o swobodach kozackich, nie o powróceniu dawnych przywilejów Zaporożu, nie o sprawiedliwości dla siebie, lecz o państwie udzielnem, o czapce książęcej i berle.

I czuł się panem Ukrainy. Zaporoże stało przy nim, bo nigdy pod niczyją buławą nie nurzało się tak we krwi i zdobyczy; dziki z natury lud garnął się do niego, bo gdy chłop mazowiecki lub wielkopolski bez szemrania dźwigał owo brzemię przewagi i ucisku, jakie w całej Europie nad „potomkami Chama" ciężyło, ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągał w siebie miłość swobody tak nieograniczonej i dzikiej i bujnej, jak stepy same. Zali mu wola była chodzić za pańskim pługiem, gdy mu wzrok ginął w Bożej, nie pańskiej pustyni, gdy zza Porohów Sicz wołała na niego: kiń pana i chodź na wolę! — gdy tatar srogi uczył go wojny, przyzwyczajał oczy jego do pożogi i mordu, a ręce do broni? Zali nie było mu lepiej u Chmiela buszować i „paniw ryzaty" niż grzbiet hardy giąć przed podstarościm.

A oprócz tego lud garnął się do Chmiela, bo kto się nie garnął, w jasyr szedł. W Stambu-

le za dziesięć strzał dawano niewolnika, za łuk w ogniu prażony trzech, taka była ich mnogość. Więc czerń nie miała wyboru — i jeno pieśń dziwna po owych czasach została, którą długo potem następne pokolenia po chatach śpiewały, pieśń dziwna, o owym wodzu, Mojżeszem zwanym: „Oj szczob toho Chmiela pierwsza pula ne minuła!“

Niknęły miasteczka, miasta i wsie, kraj zmieniał się w pustkę i w ruinę, w jedną ranę, której wieki nie mogły wygoić — ale ów wódz i hetman tego nie widział, czy nie chciał widzieć — bo on nigdy nic po za sobą nie widział — i rosł i tuczył się krwią, ogniem, we własnem potwornem samolubstwie utopił własny lud, własny kraj — i oto wwoził teraz komisarzy do Perejasławia przy huku dział i biciu we dzwony, jak udzielny pan, hospodar, kniaź.

Jechali do jaskini lwa, zwiesiwszy głowy komisarze i resztki nadziei w nich gasły, a tymczasem Skrzetuski, jadąc po za długim szeregiem sani, pilno rozpatrywał twarze półkowników przybyłych z Chmielnickim, czy nie ujrzy między nimi Bohuna. Po bezowocnych poszukiwaniach nad Dniestrem, aż za Jahor-

lik, oddawna w duszy pana Jana dojrzał zamiar, jako ostatni jedyny sposób: wyszukania Bohuna, i wyzwania go na walkę śmiertelną. Wiedział wprawdzie nieszczęsny rycerz, że w takim hazardzie Bohun może go bez walki zgładzić, lub tatarom oddać, ale lepiej o nim tuszył: znał jego męztwo i szaloną odwagę — i prawie był pewien, że mając wybór — Bohun do walki o kniaziównę stanie. Więc układał sobie w swej rozdartej duszy cały plan, jako przysięgą Bohuna zwiąże, że na wypadek swej śmierci, pozwoli Helenie odjechać. O siebie już pan Skrzetuski nie dbał i przypuszczając, że Bohun powie: „jeśli zginę, tak ona ni dla mnie, ni dla ciebie“, gotów był i na to pozwolić, i poprzysiądz ze swojej strony, byle ją z wrażych rąk wyrwać. Niechby w klasztorze szukała na resztę żywota spokoju, onby go naprzód w wojnie, a potem, jeśliby poledz nie przyszło, również pod habitem poszukał, tak jak go po prostu szukały w owych czasach wszystkie dusze bolejące. Droga zdawała się Skrzetuskiemu prosta i jasna, a gdy mu pod Zamościem myśl walki z Bohunem raz poddano, gdy poszukiwania w Naddniestrzańskich komyszach zawiodły; droga ta wydała się i je-

dyną. Tym celem, z nad Dniestru jednym tchem nigdzie nie spoczywając, do komisarzy dążył, spodziewając się albo w otoczeniu Chmielnickiego, albo w Kijowie znaleść niechybnie Bohuna, tembardziej, że wedle tego, co w Jarmolińcach mówił Zagłoba, watażka do Kijowa na ślub przy trzystu świecach miał zjechać.

Ale próżno Skrzetuski szukał go teraz między pułkownikami. Znalazł natomiast wielu jeszcze z dawniejszych, spokojnych czasów znajomych, jako Dziedziałę, którego w Czehrynie widywał, jako Jaszewskiego, który od Siczy do księcia posłował, jako Jarosza, dawnego księcia setnika i Naokoło-palca i Hruszę i wielu innych, więc postanowił się ich pytać.

— To my dawni znajomi, — rzekł zbliżając się do Jaszewskiego.

— Ja ciebie w Łubniach znał, ty kniazia Jaremy łycar, — odpowiedział pułkownik. — My w Łubniach pili razem i hulali. A co twój kniaź porabia?

— Zdrów.

— Na wiosnę nie będzie on zdrów. Oni się z Chmielnickim jeszcze nie spotkali, ale się spotkają i musi jednemu pójść na pohibel.

— Komu Bóg przysądzi.

— No, Bóg na naszego batka Chmiela łaskaw. Już twój kniaź na Zadnieprze, na swój tatarski brzeg, nie wróci. U Chmielnickiego mnoho mołojców — a u kniazia co? Szczery on żołmir, ale i nasz batko Chmielnicki szczery żołmir. A ty już nie u kniazia w chorągwi?

— Z komisarzami jadę.

— No, ja rad, że ty stary znajomy.

— Jeśliś ty rad, tak ty mnie przysługę oddaj, a ja ci wdzięczen będę.

— Jaką przysługę?

— Powiedz ty mi, gdzie jest Bohun, ten sławny ataman, dawniej z perejasławskiego pułku, któren dziś musi już między wami wyższą pewnie mieć szarżę.

— Milcz! — odpowiedział groźnie Jaszewski. Szczęście twoje, że my starzy znajomi i że ja pił z tobą, bo inaczej jużby ja ciebie tym oto buzdyganem na śniegu rozciągnął.

Skrzetuski spojrzał na niego zdumiony, ale jako był człowiek prędkiej rezolucyi, więc buławę w ręku ścisnął.

— Czyś oszalał?

— Nie oszalał ja, ani ci nie chcę grozić, jeno taki jest rozkaz Chmiela, iż, jeśliby ktokolwiek z was, choćby który z komisarzy, o co spytał, — żeby go na miejscu ubić. Nie uczynię ja tego, to inny uczyni, dla tego ostrzegam cię z życzliwości.

— Toż ja w swojej prywatnej sprawie pytam.

— No, wszystko jedno; Chmiel rzekł nam pułkownikom i kazał innym powtórzyć: „choćby który o drwa do pieca, albo o potaż pytał, ubić go". Ty to powtórz swoim.

— Dziękujęć za dobrą radę — rzekł Skrzetuski.

— Ciebie jednego ja przestrzegł, a innego lacha pierwszyby rozciągnął.

Umilkli. Już też orszak dotarł do bram miasta. Oba boki drogi i ulice roiły się od czerni i zbrojnego kozactwa, które ze względu na obecność Chmielnickiego nie śmiało rzucać przekleństw i brył śniegu do sani, ale które spoglądało ponuro na komisarzów, ściskając pięście lub głownie szabel.

Skrzetuski, sformowawszy w czwórki dragonów podniósł głowę i dumnie a spokojnie jechał przez szeroką ulicę, nie zwracając naj-

mniejszej uwagi na groźne spojrzenia tłumów— w duszy tylko myślał, jak wiele potrzeba mu będzie zimnej krwi, zaparcia się siebie i chrześciańskiej cierpliwości, by tego, co zamierzył, dokonać, i nie utonąć po pierwszym kroku w tem morzu nienawiści.

ROZDZIAŁ XVIII.

Następnego dnia długie były rozhowory komisarzy między sobą, czy dary królewskie wręczyć Chmielnickiemu natychmiast, czy też czekać, dopókiby większej pokory i jakowejś skruchy nie okazał. Stanęło na tem, żeby go ująć ludzkością i łaską królewską, zapowiedziano więc wręczenie darów — i nazajutrz dzień odbył się ów akt uroczysty. Od rana biły dzwony i grzmiały działa. Chmielnicki czekał przed swym dworem wśród pułkowników, wszystkiej starszyzny i nieprzeliczonych tłumów kozactwa i czerni, chciał bowiem, żeby cały naród widział, jaką to go czcią sam król otacza. Zasiadł więc pod znakiem i buńczukiem na podniesieniu w altembasowym czerwonym sobolim kopieniaku, mając przy sobie posłów sąsiednich, i wziąwszy się pod boki, nogi oparłszy na aksamitnej poduszce ze złotą

frendzlą, czekał na komisarzy. W tłumach zgromadzonej czerni zrywały się co chwila szmery pochlebne i radosne na widok wodza, w którym tłum ów, ceniący nad wszystko siłę, widział uosobienie tej siły. Tak tylko bowiem imaginacya ludowa mogła sobie przedstawiać niezwalczonego swego szampierza, pogromcę hetmanów, duków, szlachty i w ogóle „lachiw,“ którzy aż do jego czasów byli okryci urokiem niezwyciężoności. Chmielnicki przez ten rok bojów postarzał nieco, ale się nie pochylił — olbrzymie jego ramiona zdradzały zawsze siłę, zdolną przewracać państwa, lub tworzyć nowe; ogromna twarz, zaczerwieniona od nadużycia trunków, wyrażała wolę nieugiętą, dumę niepohamowaną i zuchwałą pewność, którą jej dały zwycięztwa. Groza i gniew drzemały w fałdach tej twarzy i poznałeś łacno, że gdy się rozbudzą, lud chyli się pod ich straszliwem tchnieniem, jak las pod burzą. Z oczu, okolonych czerwoną obwódką, strzelało mu już zniecierpliwienie, że komisarze nie przybywali z darami dość rychło, a z nozdrzy wychodziły na mrozie dwa kłęby pary, jak dwa słupy dymu z nozdrzy lucypera — i w tej mgle własnych płuc siedział cały purpurowy, posępny,

dumny, obok posłów, wśród pułkowników, mając naokoł morze czerni.

Aż wreszcie pokazał się orszak komisarski Na czele szli dobosze, bijący w kotły, oraz trębacze z trąbami przy ustach i wydętemi policzkami, bębniąc i wydobywając z mosiądzu długie żałosne głosy, jakoby na pogrzebie sławy i godności Rzzeczypospolitej. Za ową kapelą niósł łowczy Krzetowski buławę na aksamitnej podnszce, Kulczyński, skarbnik kijowski, czerwoną chorągiew z orłem i napisem — a dalej Kisiel szedł samotnie wysoki, szczupły, z białą brodą, spływającą na piersi, z cierpieniem w arystokratycznej twarzy i bólem bezdennym w duszy. O kilka kroków za wojewodą wlokła się reszta komisarzy, a orszak zamykała dragonia Bryszowskiego pod Skrzetuskim.

Kisiel szedł wolno, bo oto w tej chwili ujrzał jasno, że z poza podartego łachmanu układów, z pod pozorów ofiarowania łaski królewskiej i przebaczenia, inna, naga, ohydna prawda wygląda, którą ślepi nawet ujrzą, głusi usłyszą, bo krzyczy: „Nie idziesz ty Kisielu łaski ofiarować, ty idziesz o nią prosić, ty idziesz ją kupić za tę buławę i chorągiew, a idziesz

pieszo do nóg tego chłopskiego wodza, w imieniu całej Rzeczypospolitej, ty senator i wojewoda"... Więc rozdzierała się dusza w panu z Brusiłowa i czuł się tak lichym jak robak i tak nizkim jak proch, a w uszach huczały mu słowa Jeremiego: „lepiej nam nie żyć, niż żyć w niewoli u chłopstwa i pogaństwa." Czemże on, Kisiel, był w porównaniu z tym kniaziem z Łubniów, który nie inaczej ukazywał się rebelii, jeno jak Jowisz ze zmarszczoną brwią, wśród zapachu siarki, płomieni wojny i dymów prochu, czemże on był?! Pod ciężarem tych myśli złamało się serce wojewody, uśmiech odleciał na zawsze z jego twarzy, radość na wieki z jego serca, i czuł, że wolałby stokroć umrzeć, niż krok jeszcze jeden postąpić, ale szedł, bo pchała go naprzód cała jego przeszłość, wszystkie prace, usiłowania, cała nieubłagana logika jego poprzednich czynów...

Chmielnicki czekał na niego wsparty pod boki, z wydętemi usty i namarszczoną brwią.

Orszak zbliżył się nakoniec. Kisiel wysunąwszy się naprzód, postąpił kilka kroków aż do podniesienia. Dobosze ustali bębnić, trębacze trąbić — i nastała wielka cisza w tłumach, jeno powiew mroźny łopotał czerwoną

chorągiew, niesioną przez pana Kulczyńskiego.

Nagle ciszę tę przerwał głos jakiś krótki, donośny, a rozkazujący, który zabrzmiał z niewypowiedzianą siłą desperacyi, nie liczącej się z niczem i z nikim:

— Dragonia w tył! za mną!

Był to głos pana Skrzetuskiego.

Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Sam Chmielnicki podniósł się nieco na siedzeniu, aby zobaczyć, co się dzieje; komisarzom krew uciekła z twarzy. Skrzetuski stał na koniu, wyprostowany, blady, z iskrzącemi oczyma i gołą szablą w ręku i nawpół zwrócony ku dragonom, powtórzył raz jeszcze grzmiący rozkaz:

— Za mną!...

Wśród ciszy kopyta końskie zakołatały po umiecionej grudzie ulicznej. Wyćwiczeni dragoni zwrócili na miejscu konie, porucznik stanął na ich czele, dał znak mieczem i cały oddział ruszył zwolna, napowrót ku domostwu komisarzy.

Zdziwienie i niepewność odmalowały się na wszystkich twarzach, nie wyłączając i Chmielnickiego, albowiem w głosie i ruchu porucznika było coś nadzwyczajnego, nikt jednak dobrze

nie wiedział, czy to oddalenie się nagłe eskorty nie należało do ceremoniału uroczystości. Jeden Kisiel zrozumiał wszystko, zrozumiał, że i traktaty i życie komisarzy, wraz z eskortą, zawisło w tej chwili na włosku, więc wstąpił na podniesienie i nim Chmielnicki zdołał pomyśleć, co się stało, zaczął przemowę...

Począł więc od ofiarowania łaski królewskiej Chmielnickiemu i całemu Zaporożu, ale wnet mowa jego została przerwana nowem zajściem, które tę tylko miało dobrą stronę, że całkiem odwróciło uwagę od poprzedniego: oto Dziedziała, stary pułkownik, stojąc wedle Chmielnickiego, począł potrząsać buławą na wojewodę i rzucać się i krzyczeć:

— Co tam mówisz Kisielu! Król jako król, ale wy królewięta, kniaziowie, szlachta nabroiliście mnogo. I ty Kisielu, kość z kości naszych, odszczepiłeś się od nas, a z lachy przestajesz. Dosyć nam twego gadania, bo szablą dostaniem czego nam trzeba.

Wojewoda spojrzał ze zgorszeniem w oczy Chmielnickiego.

— W takiej to ryzie, hetmanie, utrzymujesz swoich pułkowników.

— Milcz Dziedziała!—zawołał hetman.

— Milcz, milcz! Upił się choć rano!—powtórzyli inni pułkownicy. Poszedł precz, bo za łeb wyciągniem.

Dziedziała chciał dłużej huczyć, ale istotnie schwytano go za kark i wyrzucono za koło.

Wojewoda mówił dalej gładkiemi i wybornemi słowy, pokazując Chmielnickiemu jak wielkie bierze upominki—bo znak władzy prawej, którą dotąd jako przywłaszczyciel jeno piastował. Król mogąc karać, woli mu przebaczyć, co czyni dla posłuszeństwa, jakie pod Zamościem okazał — i dla tego, że poprzednie przestępstwa nie za jego były spełnione panowania. Słuszna więc, aby on, Chmielnicki, tak wiele przedtem zgrzeszywszy, wdzięcznym się teraz za łaskę i klemencyę okazał, krwi rozlewu zaprzestał, chłopstwo uspokoił — i do traktatów z komisarzami przystąpił.

Chmielnicki przyjął w milczeniu buławę i chorągiew, którą rozwinąć nad sobą wnet rozkazał. Czerń na ten widok zawyła radosnemi głosami, tak, że przez chwilę nic nie było słychać.

Pewne zadowolenie odbiło się na twarzy hetmana, który poczekawszy chwilę, rzekł:

— Za tak wielką łaskę, którą mi król JMĆ przez wasze moście pokazał, że i władzę nad wojskiem przysłał, i przeszłe moje przestępstwa przebacza, uniżenie dziękuję. Zawsze to ja mówił, że król ze mną przeciw wam nieszczerym dukom i królewiętom trzyma, a najlepszy dowód, że kontentacyę mnie przysyła za to, że ja wam szyje ucinał — tak i dale będę ucinał, jeżeli mnie i króla słuchać we wszystkiem nie będziecie.

Ostatnie słowa wymówił Chmielnicki podniesionym głosem, łając i marszcząc brwi, jak gdyby gniew poczynał w nim wzbierać, a komisarze zdrętwieli na tak niespodziany obrot jego odpowiedzi—Kisiel zaś rzekł:

— Król ci, mości hetmanie, krwi przelewu nakazuje poprzestać i traktaty z nami począć.

— Krew, nie ja wylewam, jeno litewskie wojsko, odparł szorstko hetman, bo mam wiadomość, że mi Radziwił mój Mozyr i Turów wyciął, co jeśli się sprawdzi — dosyć mam waszych jeńców i znacznych—wnet im szyje każę poucinać. Do traktatów teraz nie przystąpię. Komisya trudno się taraz ma zacząć, bo wojska w kupie nie masz, jeno garść pułkowników przy mnie, a reszta w zimownikach,

bez nich nie mogę zaczynać. Zresztą po co gadać dłużej na mrozie. Co wy mnie mieli oddać, to oddali i wszyscy to widzieli, że już ja hetman z ramienia królewskiego, a teraz chodźcie do mnie na gorzałkę, na obiad, bom głodny.

To rzekłszy, Chmielnicki ruszył ku swemu dworcowi, a za nim komisarze i półkownicy. W wielkiej środkowej izbie stał nakryty stół, uginający się pod srebrem zdobycznem, między którem wojewoda Kisiel byłby może znalazł i swoje własne, porabowane zeszłego lata w Huszczy. Na stole piętrzyły się góry świniny, wołowiny i tatarskiego piławu, w całej zaś izbie pachniała wódka, prośnianka, nalana w srebrne konwie. Chmielnicki zasiadł, posadziwszy po swej prawej ręce Kisiela, po lewej kasztelana Brzozowskiego i ukazawszy ręką na gorzałkę, rzekł:

— W Warszawie mówią, że ja krew lacką piję, ale wolę ja horyłku, tamtę psom zostawiając.

Półkownicy wybuchnęli śmiechem, od którego zatrzęsły się ściany izby.

Taki to „antypast“ dał komisarzom hetman przed swym obiadem, a komisarze połknę-

li go, nic nie mówiąc, żeby—jak pisał podkomorzy lwowski—„bestyi nie drażnić“.

Pot jeno obfity uperlił blade czoło Kisiela:

Ale rozpoczął się poczęstunek. Półkownicy brali z półmisków rękoma kawały mięsiwa. Kisielowi i Brzozowskiemu nakładał je na misy sam hetman i początek obiadu upłynął w milczeniu, bo każdy głód nasycał. W ciszy słychać było tylko chrupotanie i trzask kości w zębach biesiadników, lub grzdykanie pijących; czasem rzucił ktoś jakie słowo, które pozostawało bez echa, dopiero pierwszy Chmielnicki, podjadłszy i wychyliwszy kilka szklenic prośnianki, zwrócił się nagle do wojewody i spytał:

— Kto u was prowadził konwój?

Niepokój odbił się na twarzy Kisiela.

— Skrzetuski, zacny kawaler! — rzekł.

— Ja jeho znaju — rzekł. A czemuto on nie chciał być przy tem, jak wy mnie dary wręczali?

— Bo nie dla assysty on był nam przydany, jeno dla bezpieczeństwa i taki miał rozkaz?

— A kto jemu dał taki rozkaz.

— Ja, — odparł wojewoda, — bom nie myślał, aby to przystojnie było, żeby przy wręczaniu darów dragoni nam i wam nad karkiem stali.

— A ja co innego myślał, bo wiem, że u tego żołnierza twardy kark.

Tu wtrącił się do rozmowy Jaszewski.

— Już my się dragonów nie boimo—rzekł.— Silni nam niemi byli lachowie dawniej, ale doznaliśmy pod Piławcami, że nie oni to lachowie, co przedtem bywali i bijali turki, tatary i niemce...

— Nie Zamojscy, Żółkiewscy, Chodkiewiczowie, Chmieleccy i Koniecpolscy, — przerwał Chmielnicki, — ale Tchórzowscy i Zajączkowscy, detyny w żelazo poubierane. Pomarli od strachu skoro nas ujrzeli i pouciekali, choć tatar więcej nie było zrazu we środę, tylko trzy tysiące...

Komisarze milczeli, jeno jadło i napój wydawały im się coraz bardziej gorzkie.

— Pokornie proszę, jedzcie i pijcie,—rzekł Chmielnicki, bo będę myślał, że nasza prosta strawa kozacka przez wasze pańskie gardła przejść nie chce.

— Jeśli mają zaciasne, tak możeby im poprzerzynać, — zawołał Dziedziała.

Półkownicy podochoceni już mocno, wybuchnęli śmiechem, ale Chmielnicki spojrzał groźnie i uciszyło się znowu.

Kisiel, schorzały od kilku dni, blady był jak giezło, Brzozowski tak czerwony, iż zdawało się, że mu krew tryśnie z twarzy.

Nakoniec nie wytrzymał i huknął:

— Zaliśmy tu na obiad, czy na zniewagi przyszli?

Na to Chmielnicki:

— Wy na traktaty przyjechali, a tymczasem litewskie wojska palą i ścinają. Mozyr i Turów mi wysiekli, co jeśli się sprawdzi, tedy czterystu jeńcom w oczach waszych szyję uciąć każę.

Brzozowski pohamował krew, jeszcze przed chwilą kipiącą. Tak było! życie jeńców zależało od humoru hetmana, od jednego mrugnięcia jego oka, więc trzeba było wszystko znosić i jeszcze łagodzić jego wybuchy, by go „ad mitiorem et saniorem mentem“ doprowadzić.

W tym duchu karmelita Łętowski, z natury łagodny i bojaźliwy, ozwał się cichym głosem:

— Bóg łaskawy da, że mogą się te nowiny z Litwy o Turowie i Mozyrze odmienić.

Ale zaledwie skończył, Fedor Wieśniak, półkownik czerkaski, przechylił się i buławą machnął, chcąc karmelitę w kark grzmotnąć; na szczęście nie dosięgnął, bo ich czterech innych biesiadników przedzielało, ale natomiast zakrzyknął:

— Mołczy pope! ne twoje dieło łeż mi zadawaty! Chody jeno na dwor, nauczu ja tebe półkowników zaporozkich szanowaty!

Inni wszelako porwali się go hamować, a nie mogąc tego dokazać, wyrzucili go za łeb z izby.

— Kiedy, mości hetmanie, życzysz, aby się komisya zebrała? — pytał Kisiel — chcąc inny nadać zwrót rozmowie.

Na nieszczęście i Chmielnicki nie był już trzeźwy, więc taką prędką i jadowitą dał odpowiedź:

— Jutro sprawa i rozprawa będzie, bom teraz pijany! Co mnie tu o komisyi prawicie, zjeść i wypić nie dajecie. Już mnie tego dosyć! Teraz wojna być musi (tu grzmotnął pięścią w stół, aż podskoczyły misy i konwie). W tych czterech niedzielach wszystkich was do góry

nogami przewrócę i podepczę, a naostatek carzowi tureckiemu zaprzedam. Król królem będzie, aby ścinał szlachtę, duki i kniazie. Zhreszy kniaź, urezać mu szyję, zhreszy kozak, urezać mu szyję! Grozicie mi szwedami, ale i oni mi ne zderżą. Tuhaj-bey na hawrani blizko mnie jest, brat mój, moja dusza, jedyny sokoł na świecie, gotów wszystko uczynić zaraz, co ja zechcę.

Tu Chmielnicki, z właściwą pijanym nagłością, przeszedł od gniewu do rozczulenia i aż głos zadrgał mu od łez w gardzieli na słodkie wspomnienie Tuhaj-beya.

— Wy chcecie, żeby ja na turki i tatary szablę podniósł, ale nic z tego! Na was ja pójdę z dobremi druhami mojemi. Już em półki obesłał, aby mołojcy konie karmili i w drogę byli gotowi bez wozów, bez armaty; znajdę ja u lachów to wszystko. Ktoby z kozaków wziął wóz, każę mu szyję urezać i ja sam kolaski nie wezmę, chyba juki i sakwy — i tak dojdę aż do Wisły i powiem: sedyte i mołczyte lachy! A będziecie z Zawiśla krzykać, znajdę was i tam. Dosyć waszego panowania, waszych dragonów, gady wy przeklęte, samą nieprawdą żyjące.

Tu zerwał się z miejsca, rzucał od ławy, za czuprynę rwał, nogami bił w ziemię, krzycząc, że wojna musi być, bo on już na nią rozgrzeszenie i błogosławieństwo dostał, że nic mu po komisyi i komisarzach, bo nawet na zawieszenie broni nie pozwoli.

Nakoniec widząc przerażenie komisarzy i przypomniawszy sobie, iż jeśli natychmiast odjadą, to wojna rozpocznie się w zimie, zatem w porze, gdy kozacy nie mogąc się okopać, licho biją się w otwartem polu, uspokoił się nieco — i znów siadł na ławie. Głowę opuścił na piersi, ręce wsparł na kolanach i oddychał chrapliwie. Nakoniec znów porwał za szklankę wódki.

— Za zdrowie króla jegomości! — wykrzyknął.

— Na sławu i zdorowie, — powtórzyli półkownicy.

— No! ty Kisielu nie sumuj — mówił hetman — i do serca nie bierz tego, co mówię, bom teraz pijany. Mnie worożychy mówiły, że wojna musi być — ale do pierwszej trawy poczekam, a potem niech będzie komisya, na którą więźniów wypuszczę. Mnie mówili, że ty chory, tak niech i tobie będzie na zdrowie.

— Dziękuję ci, hetmanie zaporozki, rzekł Kisiel.

— Ty mój gość, ja o tem pamiętam.

To rzekłszy Chmielnicki, znowu wpadł w chwilowe rozczulenie i oparłszy ręce na ramionach wojewody, zbliżył swą ogromną czerwoną twarz do jego bladych, wychudłych policzków.

Za nim przychodzili inni półkownicy i zbliżając się poufale do komisarzy, ściskali się z niemi za ręce, klepali ich po ramionach, powtarzali za hetmanem: „do pierwszej trawy!“ Komisarze byli jak na mękach. Chłopskie oddechy, przesycone zapachem gorzałki, oblewały twarze tej szlachty wysokiego rodu, dla której owe uściski spoconych rąk były równie nieznośne, jak zniewagi. Nie brakło też i groźb wśród objawów grubijańskiej serdeczności. Jedni wołali do wojewody: „My lachiw chcemo ryzaty, a ty nasz czełowik!“ — inni mówili: „A co wy pany! dawniej bili nas, a teraz łaski prosicie! Na pohibel-że wam, białorączkom! Ataman Wowk, dawny młynarz w Nestewarze, krzyczał: „Ja kniazia Czetwertyńskiego, mego pana, zarezał!“ „Wy dajcie nam Jaremu, wo-

łał taczając się Jaszewski, a darujemy was zdrowiem!“

W izbie stał się zaduch i gorąco do niewytrzymania; stół pokryty resztkami mięsiwa, okruchami chleba, poplamiony wódką i miodem, był ohydny. Weszły nakoniec worożychy, to jest czarownice, z któremi hetman zwykle do późna w noc dopijał, słuchając przepowiedni: dziwne postacie, stare, pokurczone, żółte, lub w sile młodości, wróżące z wosku, ziaren pszenicy, ognia, piany wodnej, z dna flaszki, lub z tłuszczu ludzkiego. Wnet między półkownikami, a młodszemi z nich, rozpoczęły się gzy i śmiechy. Kisiel był blizki omdlenia.

— Dziękujemy ci hetmanie za ucztę i żegnamy cię, — rzekł słabym głosem.

— Ja jutro do ciebie Kisielu na obiad przyjadę,—odpowiedział Chmielnicki, a teraz idźcie sobie. Doniec was z mołojcami do domów odprowadzi, żeby was od czerni jakowa przygoda nie spotkała.

Komisarze skłonili się i wyszli. Doniec z mołojcami czekał istotnie przed dworcem.

— Boże! Boże! Boże! — szepnął zcicha Kisiel, przykładając ręce do twarzy.

Orszak posunął się w milczeniu ku domostwu komisarzy.

Ale pokazało się, że już nie stoją w pobliżu siebie. Chmielnicki umyślnie powyznaczał im kwatery w różnych częściach miasta, aby nie mogli się łatwo schodzić i naradzać.

Wojewoda Kisiel zmęczony, wyczerpany, ledwie na nogach się trzymający, natychmiast położył się do łóżka, i aż do następnego dnia nie chciał nikogo widzieć; dopiero przed południem, kazał przywołać Skrzetuskiego.

— Coś waćpan uczynił najlepszego? — rzekł do niego — coś waćpan uczynił! Swoje i nasze życie na zgubę mogłeś narazić.

— JW. wojewodo! mea culpa! — odrzekł rycerz, ale mnie delirium porwało i wolałem sto razy zginąć, niż na takie rzeczy patrzyć.

— Chmielnicki poznał się na kontempcie. Zaledwiem efferatem bestiam uspokoił i postępek twój wytłumaczył. Ale on tu dziś ma być u mnie i pewno ciebie zapyta. Tedy mu powiedz, żeś miał rozkaz odemnie, byś żołnierstwo odprowadził.

— Od dziś Bryszowski komendę bierzę, bo zdrowszy.

— To i lepiej; zatwardy masz waść kark na czasy dzisiejsze. Trudno mam co innego ganić w takowym postępku jak nieostrożność, ale to znać, żeś młody i bólu w piersi znieść nie umiesz.

— Do boleścim nawykł J.W. wojewodo, jeno hańby znieść nie mogę.

Kisiel syknął z cicha, tak właśnie jak chory, którego ktoś w bolączkę uraził, poczem uśmiechnął się ze smutną rezygnacyą i rzekł:

— Chleb to już powszedni dla mnie takie słowa, który dawniej łzami gorzkiemi oblewałem spożywając, a teraz już mi i łez nie stało.

Litość wezbrała w sercu Skrzetuskiego, na widok tego starca z twarzą męczennika, któren ostatnie dni życia pędził w podwójnem, bo duszy i ciała cierpieniu.

— J.W. wojewodo! — rzekł—Bóg mi świadek, żem jeno o czasiech tych strasznych myślał, w których senatorowie i dygnitarze koronni czołem bić muszą przed hultajstwem, dla którego pal powinien być jedyną za postępki zapłatą.

— Niech cię Bóg błogosławi, boś młody, uczciwy i wiem, że nie miałeś złej intencyi. Ale to, co ty mówisz, mówi twój książę, za

nim wojsko, szlachta, sejmy, pół Rzeczypospolitej — i całe to brzemię wzgardy i nienawiści spada na mnie.

— Każdy służy ojczyźnie jak rozumie — niechże Bóg sądzi intencye, a co się tyczy księcia Jeremiego, ten ojczyźnie zdrowiem i majętnością służy.

— I chwała go otacza i w niej jako w słońcu chodzi — odrzekł wojewoda. — Tymczasem, cóż mnie spotyka? O! dobrze mówisz: niech Bóg sądzi intencye i niech da choć grobowiec spokojny tym, którzy za życia cierpią nad miarę.

Skrzetuski milczał, a Kisiel podniósł w niemej modlitwie oczy w górę, po chwili zaś, tak mówić począł:

— Jam rusin, krew z krwi i kość z kości. Mogiły książąt Światoldyczów w tej ziemi leżą, więcem ją kochał, ją, i ten lud boży, który u jej piersi żywie. Widziałem krzywdy z obu stron, widziałem swawolę dziką Zaporoża, ale i pychę nieznośną tych, którzy ten lud wojenny schłopić chcieli — cóżem więc miał uczynić, ja rusin, a zarazem wierny syn i senator tej Rzeczypospolitej? Otom przyłączył się do tych, którzy mówili: „pax vobis-

cum!“ bo tak kazała mi krew, serce, bo między niemi był król nieboszczyk, nasz ojciec, i kanclerz, i prýmas, i wielu innych; bom widział, że dla obu stron rozbrat, to zguba. Chciałem po wiek żywota, do ostatniego tchnienia, dla zgody pracować — i gdy się krew już polała, myślałem sobie: będę aniołem pojednania. I poszedłem i pracowałem i jeszcze pracuję, chociaż w bólu, w męce, w hańbie i w zwątpieniu, prawie od wszystkiego straszniejszem. Bo, na miły Bóg! nie wiem teraz, czy wasz książę przyszedł z mieczem zawcześnie, czym ja z gałęzią oliwną zapóźno, ale to widzę, że rwie się robota moja, że już sił nie staje, że napróżno siwą głową o mur tłukę, i że schodząc do grobu, widzę jeno ciemności przed sobą — i zgubę, o Boże wielki! — zgubę powszechną!

— Bóg ześle ratunek.

— O niechże ześle takowy promień przed śmiercią moją, abym nie umarł w rozpaczy — to jeszcze za wszystkie boleści mu podziękuję, za ten krzyż, który za życia noszę, za to, że czerń woła o głowę moją, a na sejmach zdrajcą mnie nazywają, za moje mienie zagrabione,

za hańbę, w której żyję, za całą tę gorzką nagrodę, jakąm z obu stron otrzymał.

To rzekłszy, wojewoda wyciągnął swe wyschłe ręce ku niebu — i dwie łzy wielkie, może naprawdę w życiu ostatnie, spłynęły mu z oczu.

Skrzetuski nie mógł już dłużej wytrzymać ale rzuciwszy się na kolana przed wojewodą, chwycił jego rękę i rzekł przerywanym z wielkiego wzruszenia głosem:

— Jam żołnierz i idę inną drogą, ale zasłudze i boleści cześć oddawam.

To rzekłszy, ten szlachcic i rycerz z pod chorągwi Wiśniowieckiego, przycisnął do ust rękę tego rusina, którego kilka miesięcy temu, razem z innemi, zdrajcą nazywał.

A Kisiel położył mu obie ręce na głowie.

— Synu mój, — rzekł cicho — niechże cię Bóg pocieszy, prowadzi i błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Błędne koło układów rozpoczęło się jeszcze tego samego dnia. Chmielnicki przyjechał dość późno na obiad do wojewody i w najgorszem usposobieniu. Wnet oświadczył, że co wczoraj mówił o zawieszeniu broni, o komisyi na Zielone świątki i o wypuszczeniu jeńców na ko-

misyę, to mówił jako pijany, a teraz widzi, że chciano go w pole wywieść. Kisiel znów łagodził go, uspokajał, przekładał, racye dawał, ale była to wedle słów Podkomorzego lwowskiego „surdo tyranno fabula dicta“. — Poczynał też sobie hetman tak po grubijańsku, że komisarzom za wczorajszym Chmielnickim tęsknić przyszło. Pana Pozowskiego buławą uderzył za to tylko, że mu się nie w porę pokazał, mimo tego, że pan Pozowski śmierci i tak, jako wielce schorzały, był blizkim.

Nie pomogły ludzkość i ochota, ani perswazye wojewody. Dopiero gdy sobie nieco gorzałką i wybornym miodem huszczańskim podchmielił, wpadł w lepszy humor, ale też za nic już o sprawach publicznych nawet i wspomnieć sobie nie dał, mówiąc: „Mamy pić to pijmy — zajutro sprawa i rozprawa! a nie, to sobie pójdę!“ O godzinie trzeciej w nocy naparł się iść do sypialnej izby wojewody, czemu się tenże pod różnemi pozorami opierał, albowiem zamknął tam umyślnie Skrzetuskiego, wielce się obawiając, aby przy spotkaniu się tego nieugiętego żołnierza z Chmielnickim, nie miało miejsca jakie zajście, któreby dla porucznika zgubnem być mogło. Chmielnicki jednak

postawił na swojem i poszedł, a za nim wszedł i Kisiel. Jakież było tedy zdziwienie wojewody, gdy hetman, ujrzawszy rycerza, skinął mu głową i zakrzyknął:

— Skrzetuski! a czemu ty z nami nie pijesz?

I wyciągnął doń przyjaźnie rękę.

— Bom chory, — odrzekł, skłoniwszy się porucznik.

— Ty i wczoraj odjechał. Za nic mi była bez ciebie ochota.

— Taki miał rozkaz, — wtrącił Kisiel.

— Już ty mnie, wojewodo, nie gadaj. Znaju ja jeho—i wiem, że on nie chciał patrzyć, jak wy mnie cześć wyrządzali. Oj, ptak to! Ale coby innemu nie uszło, to jemu ujdzie, bo ja jego miłuję, on mój druh serdeczny.

Kisiel otworzył szeroko oczy ze zdumienia, hetman zaś zwrócił się nagle do Skrzetuskiego:

— A ty wiesz, za co ja ciebie miłuję?

Skrzetuski potrząsnął głową.

— Myślisz, że za to, że ty postronek na Omelnikiem przeciął, kiedy ja był lichy człowiek i kiedy mnie jak zwierza ścigali. Otóż nie za to. Ja tobie dał wtedy pierścień z prochem z grobu Chrysta. Ale ty, rogata dusza,

mnie tego pierścienia nie pokazał, kiedy ty był w moich rękach — no, ja ciebie i tak puścił — i kwita. Nie za to cię teraz miłuję. Inną ty mnie przysługę oddał, za którą ty mój druh serdeczny i za którą ja tobie wdzięczność winien.

Skrzetuski spojrzał z kolei ze zdziwieniem na Chmielnickiego.

— Widzisz, jak się dziwią — rzekł, jakby do kogoś czwartego hetman — to ja tobie przypomnę, co mnie w Czehrynie powiadali, gdym tam z Bazawłuku z Tuhaj-beyem przyszedł. Pytałem ja sam wszędy o niedruha mojego Czaplińskiego, któregom nie znalazł—ale mnie powiedzieli, co ty jemu uczynił po naszem pierwszem spotkaniu, że ty jego za łeb i za hajdawery ułapił, i drzwi nim wybył i okrwawił jak sobakę — ha!

— Istotnie, to uczyniłem — rzekł Skrzetuski.

— Oj sławnie ty uczynił, dobrze ty postąpił. No, ja jego jeszcze dostanę — inaczej za nic traktaty i komisya — ja go jeszcze dostanę — i poigram z nim po mojemu — ale ty i jemu dał pieprzu.

To rzekłszy hetman, zwrócił się do Kisiela i na nowo jął opowiadać:

— Za łeb go złapał i za pludry, podniósł jak liszkę, drzwi nim wybił i na ulicę wyrzucił.

Tu zaczął się śmiać, aż echo rozlegało się po alkierzu i dochodziło do izby biesiadnej.

— Mości wojewodo, każ dać miodu, muszę ja wypić za zdrowie tego rycerza, druha mojego.

Kisiel uchylił drzwi i na pacholika krzyknął, który wnet podał trzy kusztyki huszczańskiego miodu.

Chmielnicki trącił się z wojewodą i ze Skrzetuskim, wypił — aż mu się z czupryny zadymiło, zaśmiała mu się twarz, ochota wielka wstąpiła w serce i zwróciwszy się do porucznika, zakrzyknął:

— Proś mnie o co chcesz!

Rumieniec wystąpił na blade oblicze Skrzetuskiego, nastała chwila milczenia.

— Nie bój się, — rzekł Chmielnicki. — Słowo nie dym; proś o co chcesz, byleś o takie rzeczy nie prosił, które należą do Kisiela.

Chmielnicki nawet pijany, był zawsze sobą.

— Kiedy mi wolno z afektu, jaki masz dla mnie, mości hetmanie, korzystać — tedy sprawiedliwości od ciebie żądam. Jeden z twoich pułkowników krzywdę mi wyrządził...

— Szyję mu urezać! — przerwał z wybuchem Chmielnicki.

— Nie o to chodzi, każ mu jeno do walki ze mną stanąć.

— Szyję mu urezać!—powtórzył hetman.— Kto to taki?

— Bohun.

Chmielnicki począł mrugać oczyma, poczem uderzył się dłonią w czoło.

— Bohun? — rzekł — Bohun zabit.—Mnie korol pisał, że on w pojedynku usieczon.

Skrzetuski zdumiał. Zagłoba prawdę mówił!

— A co tobie Bohun uczynił? — pytał Chmielnicki.

Jeszcze silniejsze płomienie wystąpiły na lica porucznika. Bał się mówić o kniaziówne w obec pół pijanego hetmana, aby jakiego nieprzebaczonego bluźnierstwa nie usłyszeć.

Kisiel go wyręczył.

— Jest to rzecz poważna,—rzekł—o której mnie kasztelan Brzozowski opowiadał. Bohun

porwał, mości hetmanie, temu oto kawalerowi narzeczoną i ukrył ją niewiadomo gdzie.

— Tak ty jej szukaj, — rzekł Chmielnicki.

— Szukałem nad Dniestrem, bo tam ją ukrył — alem nie znalazł. Słyszałem jednak, że miał ją do Kijowa przeprowadzić, dokąd i sam na ślub chciał zjechać. Daj-że mnie, mości hetmanie, prawo jechać do Kijowa i tam jej szukać, o nic więcej nie proszę.

— Ty mój druh, ty Czaplińskiego rozbił. Ja tobie dam nie tylko prawo, żeby ty jechał i szukał wszędy, gdzie zechcesz, ale i rozkaz dam, by ten, u którego ona jest, w twoje ręce ją oddał— i piernacz ci dam na przejazd i list do metropolity, by po monastyrach u czernic szukali. Moje słowo, nie dym.

To rzekłszy, uchylił drzwi i na Wychowskiego zawołał, by przyszedł pisać rozkaz i list. Czarnota musiał, lubo już była czwarta w nocy, ruszać po pieczęcie. Dziedziała przyniósł piernacz, a Doniec dostał rozkaz, by w dwieście koni odprowadził Skrzetuskiego do Kijowa i dalej aż do pierwszych czat polskich.

Nazajutrz dzień Skrzetuski opuścił Perejasław.

ROZDZIAŁ XX.

Jeżeli pan Zagłoba nudził się w Zbarażu, to nie mniej nudził się i Wołodyjowski, któren za wojną i przygodami szczególniej tęsknił. Bywało wprawdzie, że wychodziły od czasu do czasu ze Zbaraża chorągwie dla pościgu za kupami swawolników, którzy nad Zbruczem palili i ścinali — ale była to mała wojna, przeważnie podjazdowa, przykra dla tęgiej zimy i mrozów, dająca wiele trudów, mało sławy. Z tych wszystkich przyczyn, codziennie nalegał pan Michał na Zagłobę, żeby iść w pomoc Skrzetuskiemu, od którego przez długi czas żadnej nie było wieści.

— Pewno on tam popadł w jakoweś zgubne terminy, a może i żywota już zbył, — mówił Wołodyjowski — trzeba nam jechać koniecznie, niechby razem z nim zginąć przyszło.

Pan Zagłoba nie bardzo się opierał, bo jak utrzymywał, murszał w Zbarażu z ostatkiem, i dziwił się, że jeszcze grzyby na nim nie porastają, ale zwłóczył, spodziewając się, że lada chwila może przyjść od Skrzetuskiego wiadomość.

— Mężny on jest — ale i roztropny,—odpowiadał na nalegania Wołodyjowskiego — czekajmy jeszcze parę dni, bo nuż list przyjdzie i okaże się, że cała nasza ekspedycya niepotrzebna.

Pan Wołodyjowski uznawał słuszność argumentu i uzbrajał się w cierpliwość, choć czas wlókł się coraz wolniej. Przy końcu grudnia mrozy przerwały nawet rozboje. W okolicy nastał spokój. Jedyną rozrywkę stanowiły wieści publiczne, które często gęsto obijały się o szare mury zbarazkie.

Rozprawiano więc o koronacyi i o sejmie i o tem, czy książę Jeremi dostanie buławę, która przed wszystkiemi innemi wojownikami jemu się należała. Oburzano się przeciw tym, którzy twierdzili, że wobec zwrotu ku traktatom z Chmielnickim, jeden tylko Kisiel może pójść w górę. Wołodyjowski odbył z tego po-

wodu kilka pojedynków — pan Zagłoba kilka pijatyk — i było niebezpieczeństwo, że całkiem rozpić się może, bo nietylko dotrzymywał kompanii oficerom i szlachcie, ale nie wstydził się nawet chodzić i między łyczków na chrzciny, wesela, chwaląc sobie szczególniej ich miody, któremi słynął Zbaraż.

Wołodyjowski strofował go o to, mówiąc, że nie przystoi szlachcicowi poufalić się z ludźmi nizkiej kondycyi, gdyż od tego szacunek dla całego stanu się zmniejsza, ale Zagłoba odpowiadał, że prawa to temu winny, które pozwalają stanowi mieszczańskiemu w pierze porastać i do takowych przychodzić dostatków, jakie tylko udziałem szlachty być winny; wróżył, że z tak wielkich prerogatyw dla ludzi nikczemnych, nic dobrego wypaść nie może, ale swoje robił. I trudno mu było brać tego za złe w czasie posępnych dni zimowych, wśród niepewności, nudy i oczekiwania.

Zwolna jednak zaczęły chorągwie książęce coraz liczniej ściągać do Zbaraża, z czego przepowiadano na wiosnę wojnę. Ale tymczasem ożywiła się nieco ochota. Przyjechał między innemi z chorągwią usarską Skrzetuskiego i pan Podbipięta. Ten przywiózł wieści o niełasce,

w jakiej książę u dworu zostawał i o śmierci pana Janusza Tyszkiewicza, wojewody kijowskiego, po którym wedle powszechnego głosu, Kisiel na województwo miał nastąpić, a nakoniec o ciężkiej chorobie, jaką złożony był w Krakowie pan Łaszcz, strażnik koronny. Co do wojny, słyszał pan Podbipięta od samego księcia, że chyba siłą rzeczy z konieczności nastąpi, bo komisarze już ruszyli z instrukcyami, aby wszelkie możliwe kozakom poczynić ustępstwa. Relacyę tę pana Podbipięty, rycerstwo Wiśniowieckiego przyjęło z wściekłością, a pan Zagłoba proponował protest do grodu zanieść i konfederacyę zawiązać, gdyż jak mówił, niechciał, żeby jego praca pod Konstantynowem poszła na marne.

W tych nowinach i niepewnościach upłynął cały luty i marzec dobiegał połowy — a od Skrzetuskiego ciągle nie było wieści.

Wołodyjowski tembardziej począł nalegać na wyjazd.

— Już nie kniaziówny, ale Skrzetuskiego (mówił) szukać nam wypada.

Tymczasem pokazało się, że pan Zagłoba miał słuszność, odkładając z dnia na dzień wyprawę, gdyż w końcu marca przybył kozak

Zachar, z listem adresowanym do Wołodyjowskiego z Kijowa. Pan Michał wezwał natychmiast Zagłobę, a gdy się zamknęli z posłańcem w osobnej izbie, rozerwał pieczęć i czytał co następuje:

„Nad Dniestrem, aż do Jahorlika, nie odkryłem żadnych śladów. Suponując, że musi być ukryta w Kijowie, przyłączyłem się do komisarzy, z któremi do Perejasławia zaszedłem. Tam uzyskawszy nadspodziewanie konsens od Chmielnickiego, przybyłem do Kijowa i szukam wszędy, w czem mi sam metropolita sekunduje. Siła tu naszych ukrytych u mieszczan, i po monasterach, ale ci dla bojaźni czerni, nie dają wiedzieć o sobie, dlatego szukać trudno. Bóg mnie prowadził i nietylko ochronił, ale Chmielnickiego afektem dla mnie natchnął, mam przeto nadzieję, że mi i dalej pomoże i zmiłuje się nademną. Księdza Muchowieckiego o wotywę solenną upraszam, na której módlcie się na moją intencyę. Skrzetuski.“

— Chwałaż bądź Bogu Przedwiecznemu! — wykrzyknął Wołodyjowski.

— Jest jeszcze podscriptum; — rzekł Zagłoba — zaglądając przez ramię pana Michała.

— Prawda! — rzekł mały rycerz i czytał dalej:

„Oddawca tego listu, essauł mirhorodzkiego kurzenia, miał mnie w poczciwej opiece, gdy w Siczy w niewoli byłem i teraz w Kijowie mi pomagał, i list zanieść się podjął, z narażeniem zdrowia; miej go Michale w staraniu, aby mu niczego nie brakło.“

— O to uczciwy kozak, przynajmniej jeden taki!—rzekł Zagłoba podając Zacharowi rękę.

Stary uścisnął ją bez uniżoności.

— Możesz być pewien nagrody! — wtrącił mały rycerz.

— On sokół, — odparł kozak, — ja jeho lublu, ja ne dla hroszi tutki priszow.

— I fantazyi ci widzę nie braknie, którejby się szlachcic niejeden nie powstydził—mówił Zagłoba. — Nie same bestye między wami, nie same bestye! Ale mniejsza z tem! To tedy pan Skrzetuski jest w Kijowie?

— Tak jest!

— A bezpieczen, bo to słyszę czerń tam hula?

— On u Dońca półkownika mieszka. Jemu nic nie uczynią — bo nasz batko Chmielnicki

kazał jego Dońcowi pod gardłem pilnować, jak oka w głowie.

— Cuda prawdziwe się dzieją! Zkądże Chmielnickiemu takie serce dla Skrzetuskiego?

— On jego zdawna miłuje.

— A mówił tobie pan Skrzetuski, czego szuka w Kijowie?

— Jak nie miał mówić, kiedy on wie, że ja jego druh, ja szukał z nim razem i osobno — tak musiał powiedzieć, czego mnie szukać.

— Aleście dotąd nie znaleźli?

— Nie znaleźliśmy. Co tam lachów jeszcze jest, to się kryją, jeden o drugim nie wie, tak i znaleść nie łatwo. Wy słyszeli, że tam czerń morduje, a ja to widział; nie tylko lachiw mordują, ale i tych, którzy ich ukrywają, nawet mnichów i czernice. W monastyrze Dobrego Mikoły u czernic było dwanaście laszek, to je razem z czernicami dymem w celi zadusili, a co parę dni, to się skrzykną po ulicach i łowią i do Dniepru prowadzą. Hej! co tam już wytopili...

— To może i ją zamordowali?

— Może i ją.

— Ale nie! — przerwał Wołodyjowski. — Już jeśli ją tam Bohun sprowadził, to ją musiał zabezpieczyć.

— Gdzie bezpieczniej, jak w monastyrze, a dla tego i tam znajdą.

— Uf! — rzekł Zagłoba. — Tak wy myślicie Zachar, że ona mogła zginąć?

— Ne znaju.

— Widać, że Skrzetuski jest dobrej myśli,— rzekł Zagłoba. — Bóg go doświadczył, ale go pocieszy. — A wyście Zachar dawno wyjechali z Kijowa?

— Oj dawno pane. Ja wtedy wyszedł, kiedy komisary koło Kijowa z powrotem przejeżdżali. Mnoho lachów chciało z niemi uciekać, i tak uciekali neszczastnyje, jak kto mógł, po śniegach, po wertepach, przez lasy, lecieli do Białogródki, a kozacy gnali za niemi i bili. Mnoho uciekło, mnoho zabili — a niektórych pan Kisiel wykupił, za wszystkie hroszy jakie miał.

— O dusze pieskie! To wyście z komisarzami jechali?

— Z komisarzami, aż do Huszczy, a ztamtąd do Ostroga. Dalej już ja sam szedł.

— To wy dawni znajomi pana Skrzetuskiego?

— W Siczy ja go poznał i rannego pilnował, a potem i polubił jak detynu ridnyju. Ja stary i mnie niema kogo lubić.

Zagłoba krzyknął na pachołka, kazał podać miodu i mięsiwa i zasiedli do wieczerzy. Zachar jadł smaczno, bo był zdrożony i głodny, następnie zanurzył chciwie siwe wąsy w ciemnym płynie, wypił, posmakował i rzekł:

— Sławny miód.

— Lepszy jak krew, którą pijecie, — rzekł Zagłoba. — Ale tak myślę, że wy uczciwy człowiek i pana Skrzetuskiego miłujący, nie pójdziecie więcej do buntu, jeno zostaniecie tu z nami? Już wam tu będzie dobrze.

Zachar podniósł głowę.

— Ja pyśmo oddał — tak i pójdę, ja kozak — mnie z kozakami, nie z lachami się bratać.

— I będziecie nas bili?

— A budu. — Ja siczowy kozak. My sobie Chmielnickiego batka hetmanem obrali — a teraz korol jemu buławę i chorągiew przysłał.

— Ot, masz, panie Michale, — rzekł Zagłoba, — nie mówiłem, żeby protestować.

— A z jakiego wy kurzenia?

— Z mirhorodzkiego, ale jego już niema.

— A co się z nim stało.

— Husary pana Czarnieckiego pod Żółtą wodą starli. Teraz ja u Dońca, z temi co zostali.—Pan Czarniecki szczery żołmir, on u nas w niewoli — o niego komisarze prosili.

— Mamy i my waszych jeńców.

— Tak i musi być. W Kijowie mówili, że najlepszy mołojec u lachów w niewoli, choć inni mówili, że zginął.

— Kto taki?

— Oj, sławny ataman: Bohun.

— Bohun usieczon w pojedynku na śmierć.

— A kto jego ubił?

— Ten oto kawaler, — odrzekł Zagłoba— ukazując na Wołodyjowskiego.

Zacharowi, który w tej chwili przechylał drugą kwartę miodu, oczy na wierzch wyszły, twarz sponsowiała, nakoniec parsknął przez nozdrza płynem i śmiechem zarazem.

— Ten łycar Bohuna ubił? — pytał, krztusząc się ze śmiechu.

— Co u starego dyabła! — wykrzyknął marszcząc brwi Wołodyjowski. — Zadużo sobie ten posłaniec pozwala!

— Nie gniewaj się, panie Michale, — przerwał Zagłoba. — Poczciwy to widać człowiek, a że się na polityce nie zna, to od tego on kozak. Z drugiej strony, tem większa to dla waćpana chwała, że wyglądadając tak niepocześnie, tak wielkich przewag już w życiu dokonałeś. Ciało masz nikczemne, ale duszę wielką. Ja sam, pamiętasz, jakem ci się przypatrywał po bitwie, chociażem bitwę na własne oczy widział, bo mi się wierzyć nie chciało, żeby taki chłystek...

— Daj że waćpan pokój! — burknął Wołodyjowski.

— Nie jam twym ojcem, nie miejże do mnie rankoru, ale to ci powiem, że pragnąłbym mieć takiego syna, i jeżeli chcesz, to cię będę adoptował, majętność całą ci zapiszę, bo to nie wstyd być wielkim w małem ciele. I książę nie wiele większy od ciebie, a dla tego Aleksander macedoński nie wart być jego giermkiem.

— Ale bo co mnie gniewa, — rzekł udobruchany nieco Wołodyjowski, — to właśnie to, że z tego listu Skrzetuskiego nic pomyślnego nie widać. Że on sam nad Dniestrem nie położył głowy, to chwała Bogu, ale kniaziówny

dotąd nie znalazł, i któż zaręczy, czy ją znajdzie?

— Prawda jest! Ale gdy Bóg go przez nasze ręce od Bohuna uwolnił i przez tyle niebezpieczeństw, przez tyle sideł przeprowadził, gdy i Chmielnickiego zakamieniałe serce afektem dziwnym dla niego natchnął, to juści nie po to, żeby od męki i żałości na schab wysechł. Jeżeli w tem wszystkiem nie widzisz, panie Michale, ręki Opatrzności, to widać tępszy masz dowcip od szabli — jakoż i słuszna to jest, że nikt nie może wszystkich przymiotów na raz posiadać.

— Widzę to jedno, — odparł ruszając wąsikami Wołodyjowski,—że my nie mamy nic tam do roboty, i dalej musimy tu siedzieć, póki nie sparciejemy do reszty.

— Prędzej ja sparcieję, jak ty, bom starszy, a to wiesz, że i rzepa parcieje i słonina jełczeje ze starości. Dziękujmy raczej Bogu, że wszystkim naszym zgryzotom szczęśliwy koniec obiecuje. Nie małom się ja namartwił o kniaziównę, więcej jako żywo od ciebie, a niewiele mniej od Skrzetuskiego, bo ona moja córuchna i pewniebym rodzonej tak nie kochał. Mówią nawet, że do mnie kubek w kubek po-

dobna, ale ja ją i bez tego miłuję — i nie widziałbyś mnie ani wesołym, ani spokojnym, gdybym nie ufał, że już wkrótce niedola jej się skończy. Od jutra układam epitalamnium, bo bardzo piękne wiersze piszę, jenom w ostatnich czasach trochę Apollina dla Marsa zaniedbał.

— Co tu i mówić teraz o Marsie,—odrzekł Wołodyjowski. — Niech kaduk porwie tego zdrajcę Kisiela, wszystkich komisarzów i ich traktaty! Na wiosnę pokój uczynią, jako dwa a dwa cztery. Pan Podbipięta, który się z księciem widział, też to mówił.

— Pan Podbipięta tyle się zna na rzeczach publicznych, ile koza na pieprzu. Więcej on tam przy dworze za oną dzierlatką wietrzył, niż za wszystkiem innem i warował do niej, niby pies do kuropatwy. Dałby Bóg, żeby mu kto inny ją ustrzelił — ale mniejsza z tem. Nie neguję ci, że Kisiel zdrajca, bo o tem cała Rzeczpospolita wie dobrze, jeno tak myślę, że co do traktatów, na dwoje babka wróży.

Tu Zagłoba zwrócił się do kozaka.

— A co tam u was Zachar mówią — będzie li pokój, czy wojna?

— Do pierwszej trawy będzie spokój, a na wiosnę to przyjdzie na pohibel albo nam, albo lachowczykom.

— Pociesz-że się panie Michale; słyszałem i ja, że się czerń wszędy armuje.

— Bude taka wojna, jakij ne buwało — rzekł Zachar. — U nas mówią, że i Sułtan turecki przyjdzie i Chan ze wszystkiemi ordami, a nasz druh, Tuhaj-bey, na hawrani blizko stoi i wcale do dom nie poszedł.

— Pociesz-że się, panie Michale, — powtórzył Zagłoba. — Jest też proroctwo o nowym królu, że całe panowanie pod bronią mu zejdzie; już to prawdopodobniejsze, że człowiek długo jeszcze szabli do pochwy nie schowa. Przyjdzie się człowiekowi od ciągłej wojny zedrzeć, jak mietle od ciągłego zamiatania, ale taka to już nasza żołnierska dola. Kiedy już wypadnie się bić, trzymaj się niedaleko mnie, panie Michale, a pięknych rzeczy się napatrzysz i poznasz, jakeśmy to za dawnych, lepszych czasów, wojowali. Mój Boże! nie ci to już ludzie, którzy za dawnych lat bywali — i ty już nie taki jesteś, panie Michale, chociażeś sierdzisty żołnierz i choć Bohuna usiekłeś.

— Sprawedływe każete pane — rzekł Zachar, — ne cii teper ludi, szczo buwały...

Poczem począł na Wołodyjowskiego spoglądać i głową trząść:

— Ałe sczoby cij łycar Bohuna ubił — no! no!...

ROZDZIAŁ XXI.

Stary Zachar odjechał napowrót do Kijowa, po kilkodniowym odpoczynku, a tymczasem przyszła wieść, że komisarze wrócili bez wielkich nadziei pokoju, a nawet w zupełnem prawie zwątpieniu. Zdołali tylko wyjednać armiscitium, aż do Zielonych świątek ruskich, po których miała rozpocząć się nowa komisya z pełną mocą do traktatów. Jednakże wymagania i warunki Chmielnickiego były tak górne, że nikt nie wierzył, aby Rzeczpospolita zgodzić się na nie mogła. Rozpoczęły się więc z obu stron gwałtowne uzbrojenia. Chmielnicki słał posła za posłem do Chana, by na czele wszystkich sił spieszył na ratunek; słał i do Stambułu, gdzie ze strony królewskiej bawił od dłuższego czasu pan Bieczyński — w Rzeczpospolitej spodziewano się lada chwila wici na pospolite ruszenie. Przyszły wiadomości o mia-

nowaniu nowych wodzów: podczaszego Ostroroga, Lanckorońskiego i Firleja, i o zupełnem usunięciu od spraw wojskowych Jeremiego Wiśniowieckiego, który na czele jeno własnych sił mógł dalej ojczyznę zasłaniać! Nietylko żołnierze książęcy, nietylko szlachta ruska, ale nawet stronnicy dawnych regimentarzy, oburzali się na takowy wybór i niełaskę, twierdząc słusznie, iż jeżeli poświęcanie Wiśniowieckiego, póki była nadzieja traktatów, miało swoją racyę polityczną, to usuwanie go w razie wojny było wielkim, niedarowanym błędem, bo on jeden tylko mógł mierzyć się z Chmielnickim i zwyciężyć tego znakomitego wodza rebelii. Zjechał wreszcie i sam książę do Zbaraża w tym celu, aby zebrać jaknajwięcej wojska i stać w pogotowiu na granicy wojny. Zawieszenie broni było zawarte, ale okazywało się co chwila bezsilnem. Chmielnicki kazał wprawdzie ściąć kilku półkowników, którzy wbrew umowie pozwalali sobie napadów na zamki i chorągwie, na leżach tu i owdzie rozproszone, ale nie mógł opanować mas czerni i licznych luźnych watah, które o armiscitium lub nie słyszały, lub nie chciały słyszeć, lub nie rozumiały nawet znaczenia tego słowa.

Wpadały więc one ustawicznie w granice umową zabezpieczone, łamiąc tem samem wszelkie Chmielnickiego przyrzeczenia. Z drugiej strony wojska prywatne i kwarciane, zapędzając się w pościgu za zbójcami, przechodziły częstokroć Prypeć i Horyń w Kijowskiem, zapędzały się i w głąb województwa Bracławskiego, a tam napadane przez kozactwo, staczały z niem formalne walki, nieraz bardzo krwawe i zacięte. Ztąd skargi ustawiczne, polskie i kozackie, o łamanie umowy, której w samej rzeczy nie było w mocy niczyjej dotrzymać. Zawieszenie broni istniało tedy o tyle, o ile sam Chmielnicki z jednej, a król i hetmani z drugiej strony, nie wyruszali w pole — ale wojna rozgorzała już faktycznie, zanim główne siły zerwały się do walki i pierwsze cieplejsze promienie wiosenne oświecały po staremu płonące wsie, miasteczka, miasta, zamki, oświecały rzezie i niedolę ludzką.

Zapuszczały się pod Zbaraż watahy z pod Baru, Chmielnika, Machnówki, ścinając, grabiąc, paląc. Te, gromił Jeremi rękoma swych półkowników, bo sam udziału w owej drobnej wojnie nie brał, chcąc wtedy dopiero z całą dywizyą ruszyć, gdy już i hetmani wyjdą w pole.

Rozsyłał więc podjazdy z rozkazami, by krwią za krew płaciły, palem za grabież i mordy. Poszedł między innemi pan Longinus Podbipięta i pogromił pod Czarnym Ostrowiem, ale był to rycerz w bitwie tylko straszliwy, z jeńcami zaś schwytanemi z bronią w ręku, obchodził się zbyt łagodnie i dlatego więcej go nie posyłano. Szczególniej jednak odznaczał się w podobnych ekspedycyach pan Wołodyjowski, który jako partyzant, w jednym chyba Wierszule mógł znaleść współzawodnika. Nikt bowiem nie odbywał tak błyskawicznych pochodów, nikt nie umiał zejść tak niespodzianie nieprzyjaciela, rozbić go tak szalonym napadem, rozproszyć na cztery wiatry, wyłowić, wyścinać, wywieszać. Wkrótce też otoczył go postrach, a z drugiej strony fawor książęcy. Od końca marca, do połowy kwietnia zniósł pan Wołodyjowski siedm luźnych watah, z których każda była trzykroć od jego podjazdu silniejsza, i nie ustawał w pracy i coraz więcej okazywał ochoty, jakoby w krwi przelanej ją czerpiąc.

Zachęcał mały rycerz, a raczej mały dyabeł, usilnie pana Zagłobę, by mu w tych ek-

spedycyach towarzyszył, bo lubił nad wszystko jego kompanię, ale stateczny szlachcic opierał się wszelkim namowom i tak swoją bezczynność tłomaczył:

— Zawielki mam brzuch, panie Michale, na te trzęsienia i szarpaniny, a przytem każdy do czego innego się rodzi. Z usarzami na gęstwę nieprzyjaciela przy białym dniu uderzać, tabory łamać, chorągwie brać — to moja rzecz, do tego mnie pan Bóg stworzył i usposobił; ale pościg nocą, w chrustach, za hultajstwem, tobie zostawuję, któryś jest misterny, jako igła i łatwiej się wszędy przeciśniesz. Starej ja daty rycerz i wolę rozdzierać, jako właśnie lew czyni, niż tropić, jak ogar po haszczach. Zresztą po wieczornym udoju muszę iść spać, bo to moja pora najlepsza.

Jeździł więc pan Wołodyjowski sam i sam zwyciężał, aż pewnego razu wyjechawszy pod koniec kwietnia, wrócił w połowie maja, tak strapiony i smutny, jakby klęskę poniósł i ludzi wymarnował. Tak nawet zdawało się wszystkim, ale było to mylne mniemanie. Owszem, w długiej tej i uciążliwej ekspedycyi, doszedł pan Wołodyjowski aż za Ostróg pod Hołownię, i tam pogromił nie zwyczajną watahę,

złożoną z czerni, ale kilkaset ludzi liczący oddział zaporożców, który w połowie wyciął, a w połowie w niewolę zagarnął. Tem dziwniejszy był więc głęboki smutek, niby mgłą pokrywający jego wesołe z natury oblicze. Wielu chciało zaraz wiedzieć przyczynę, pan Wołodyjowski jednak nikomu słowa nie rzekł, i zaledwie z konia zsiadłszy, udał się na długą rozmowę do księcia, w towarzystwie dwóch nieznanych rycerzy, a następnie wraz z niemi szedł do pana Zagłoby, nie zatrzymując się, choć go ciekawi nowin za rękawy po drodze chwytali.

Pan Zagłoba z pewnem zdziwieniem spoglądał na dwóch olbrzymich mężów, których nigdy przedtem w życiu nie widział, a których strój ze złotemi pętelkami na ramionach, okazywał, że w wojsku litewskiem służą, Wołodyjowski zaś rzekł:

— Zamknij waszmość drzwi i nie każ nikogo puszczać, bo mamy o ważnych sprawach pomówić.

Zagłoba wydał rozkaz czeladnikowi, poczem jął patrzeć niespokojnie na przybyłych, miar-

kując z ich twarzy, że nic dobrego nie mają do powiedzenia.

— To są—rzekł Wołodyjowski, ukazując na młodzieńców—kniazie Bułyhowie-Kurcewicze: Jur i Andrzej.

— Stryjeczni Heleny! — wykrzyknął Zagłoba.

Kniaziowie skłonili się i odrzekli obaj naraz:

— Stryjeczni nieboszczki Heleny.

Czerwona twarz Zagłoby stała się w jednej chwili blado-niebieska; rękoma począł bić powietrze, jak gdyby postrzał otrzymał, usta otworzył, nie mogąc tchu złapać, oczy wytrzeszczył i rzekł, a raczej jęknął:

— Jakto?

— Są wiadomości — odpowiedział posępnie Wołodyjowski — że kniaziówna w monasterze Dobrego Mikoły została zamordowana.

— Czerń wydusiła dymem w celi dwanaście panien i kilkanaście czernic, między któremi była siostra nasza—dodał kniaź Jur.

Zagłoba tym razem nic nie odrzekł, jeno twarz, poprzednio sina, poczerwieniała mu tak, że obecni zlękli się, aby go krew nie zalała; zwolna powieki opadły mu na oczy, poczem

zakrył je rękoma, a z ust wyrwał się nowy jęk:

— Świecie! świecie! świecie!

Poczem umilkł i trwał w milczeniu.

A kniaziowie i Wołodyjowski biadać zaczęli:

— Oto zebraliśmy się razem krewni i przyjaciele, którzyśmy ci na ratunek, wdzięczna panno, iść chcieli—mówił wzdychając raz po raz młody rycerz — ale znać spóźniliśmy się z pomocą. Za nic nasza ochota, za nic nasze szable i odwaga, bo na innym ty już, lepszym od tego lichego świecie przebywasz, u Królowej niebieskiej w fraucymerze.

— Siostro! — wołał olbrzymi Jur, którego żal na nowo pochwycił za włosy—ty nam odpuść nasze winy, a my za każdą kroplę twojej krwi, wiadro wylejemy.

— Tak nam dopomóż Bóg!—dodał Andrzej.

I obaj mężowie wyciągali do nieba ręce, Zagłoba zaś wstał z ławy, postąpił kilka kroków ku tapczanowi, zatoczył się jak pijany i padł na kolana przed obrazem.

Po chwili na zamku ozwały się dzwony, zwiastujące południe, które brzmiały tak ponuro, jakby dzwony pogrzebowe.

— Nie ma jej już, nie ma! — rzekł znowu Wołodyjowski. — Do niebios ją anieli zabrali, nam zostawując łzy i wzdychania.

Łkanie wstrząsnęło grubem ciałem Zagłoby i trzęsło niem, a oni ciągle narzekali i dzwony biły.

Wreszcie Zagłoba uspokoił się—myśleli nawet, że może bólem zmorzony usnął na klęczkach, ale on po niejakim czasie wstał i usiadł na tapczanie; tylko był to już jakby inny człowiek: oczy miał czerwone i krwią zaszłe, głowę spuszczoną, dolna warga zwisła mu aż na brodę, na twarzy osiadło niedołęztwo i jakaś niebywała zgrzybiałość — tak, że mogło naprawdę się zdawać, iż ów dawny pan Zagłoba, butny, jowialny, pełen fantazyi, umarł, a został tylko starzec, wiekiem przyciśnięty i zmęczony.

Wtem mimo protestacyi pilnującego drzwi pacholika, wszedł pan Podbipięta i nanowo rozpoczęły się żale i narzekania, litwin wspominał Rozłogi i pierwsze widzenie się z kniaziówną, jej słodycz, młodość i urodę, wreszcie wspomniał, że jest ktoś nieszczęśliwszy od nich wszystkich, to jest narzeczony, pan Skrze-

uski — i jął rozpytywać o niego małego rycerza.

— Skrzetuski został u księcia Koreckiego w Korcu, dokąd z Kijowa przyjechał—i leży chory, o świecie bożym nie wiedząc — rzekł pan Wołodyjowski.

— Żali nie trzeba, abyśmy do niego jechali?—pytał litwin.

— Nie ma tam po co jechać — odparł Wołodyjowski. — Medyk książęcy zaręcza za jego zdrowie. Jest tam pan Suchodolski, pułkownik księcia Dominika, ale wielki przyjaciel Skrzetuskiego, jest i nasz stary Zaćwilichowski; obaj mają go w opiece i staraniu. Na niczem mu nie zbywa, a to, że go delirium nie opuszcza, to dla niego lepiej.

— O mocny Boże!—rzekł litwin.—Widziałżeś waćpan Skrzetuskiego na własne oczy?

— Widziałem, ale żeby mi nie powiedzieli, że to on, to nie byłbym go poznał, tak go boleść i choroba strawiły.

— A on poznał waćpana?

— Pewnie poznał, choć nic nie mówił, bo się uśmiechnął i głową kiwnął, a mnie taka żałość porwała, żem dłużej zostać nie mógł. Książę Korecki chce tu iść do Zbaraża z cho-

rągwiami, Zaćwilichowski z nim razem pójdzie, a i pan Suchodolski zaklina się, że ruszy, choćby miał ordynanse od księcia Dominika przeciwne. Oni to przyprowadzą tu i Skrzetuskiego, jeśli go boleść nie zmoże.

— A zkądże macie te wiadomości o śmierci kniaziówny? — pytał dalej pan Longinus — czy nie ci kawalerowie je przywieźli? — dodał wskazując na kniaziów.

— Nie. Ci kawalerowie trafem się w Korcu o wszystkiem dowiedzieli, dokąd przyjechali z posiłkami od wojewody Wileńskiego i tu ze mną przyszli, bo i do naszego księcia od wojewody listy mieli. Wojna jest pewna, a z komisyi już nic nie będzie.

— To już i my tu wiemy, ale powiedz mi waćpan, kto ci o śmierci kniaziówny mówił?

— Mówił mnie Zaćwilichowski, a on wie od Skrzetuskiego. Skrzetuskiemu dał Chmielnicki permisyę, żeby w Kijowie szukał i sam metropolita miał mu pomagać. Szukali tedy głównie po monasterach, bo co z naszych w Kijowie zostało, to w nich się kryje. I myśleli, że pewnie Bohun także i kniaziównę w jakowym monasterze umieścił. Szukali, szukali i byli dobrej myśli, choć wiedzieli, że czerń

u Dobrego Mikoły dwanaście panien dymem wydusiła. Sam metropolita upewniał, że przecie na narzeczoną Bohuna by się nie rzucili, aż pokazało się inaczej.

— To ona była u Dobrego Mikoły?

— Tak jest. Spotkał Skrzetuski w jednym monasterze ukrytego pana Joachima Jerlicza, a że to wszystkich o kniaziównę dopytywał, więc pytał i jego; pan Jerlicz zaś powiedział mu: że jakie były panny, to je wpierw kozacy pobrali, jeno się u Dobrego Mikoły dwanaście zostało, które dymem później wyduszono— a między niemi miała być i Kurcewiczówna. Skrzetuski, że to pan Jerlicz śledziennik i nawpół przytomny od ciągłego strachu, nie wierzył mu i poleciał zaraz po raz wtóry do Dobrego Mikoły jeszcze raz pytać. Na nieszczęście, mniszeczki, których trzy także w tej samej celi uduszono, nie wiedziały nazwisk, ale słuchając deskrypcyi kniaziówny, którą im Skrzetuski czynił, powiedziały, że taka była. Wtedy to Skrzetuski z Kijowa wyjechał i zaraz ciężko na zdrowiu zapadł.

— To dziw tylko, że jeszcze żyje.

— Byłby umarł niechybnie, żeby nie ów stary kozak, który go w niewoli na Siczy pil-

nował, a potem tu od niego z listami przyjechał — i wróciwszy znów w szukaniu mu pomagał. Ten go do Korca odwiózł i panu Zaćwilichowskiemu w ręce oddał.

— Niechże go Bóg ma w swojej opiece, bo on już się nigdy nie pocieszy - rzekł Longinus.

Pan Wołodyjowski umilkł i grobowe milczenie panowało między wszystkimi. Kniazie podparłszy się łokciami siedzieli bez ruchu z namarszczoną brwią, Podbipięta oczy w górę wznosił, a pan Zagłoba utkwił szklanny wzrok w przeciwległą ścianę, jakby w najgłębszem zamyśleniu się pogrążył.

— Zbudź się waćpan! — rzekł wreszcie do niego Wołodyjowski, wstrząsając go za ramię.— O czem tak myślisz? nic już nie wymyślisz i wszystkie twoje fortele na nic się nie przydadzą.

— Wiem o tem—odparł złamanym głosem Zagłoba—jeno myślę, żem stary i że nie mam co robić na tym świecie.

ROZDZIAŁ XXII.

— Imaginuj sobie waćpan—mówił w kilka dni później Wołodyjowski do Longina—że ten człowiek tak się w jednéj godzinie zmienił, jakoby o dwadzieścia lat postarzał. Tak wesoły, taki mowny, tak obfity w fortele, że samego Ulisesa w nich przewyższył, dziś pary z gęby nie puści, jeno po całych dniach drzemie, na starość narzeka i jakby przez sen mówi. Wiedziałem to, że on ją kochał, alem się nie spodziewał, żeby do tego stopnia.

— Cóż to dziwnego—odparł wzdychając litwin.—Tem bardziej się do niej przywiązał, że ją z rąk bohunowych wydarł i tyle dla niej niebezpieczeństw i przygód w ucieczce doświadczył. Póki tedy była nadzieja, póty się i jego dowcip na fortele wysilał i sam się na nogach trzymał, a teraz nie ma on już napra-

wdę co na świecie robić, samotnym będąc i serca nie mając o co zaczepić.

— Próbowałem już i pić z nim, w tej nadziei, że mu trunek dawny wigor powróci—i to na nic! Pić, pije, ale nie zmyśla po dawnemu, nie prawi o swych przewagach, jeno się roztkliwi, a potem głowę na brzuch zwiesi i śpi. Już nie wiem czy i pan Skrzetuski w większej desperacyi od niego żyje.

— Szkoda to jest niewymowna, bo jednak wielki to był rycerz! Chodźmy do niego panie Michale. Miał on zwyczaj dworować sobie ze mnie i we wszystkiem mi dogryzać. Może go i teraz ochota do tego schwyci. Mój Boże! jak się to ludzie zmieniają. Taki to był wesoły człek!

— Chodźmy — rzekł pan Wołodyjowski. — Późno już jest, ale jemu najciężej wieczorem, bo wydrzemawszy się przez cały dzień, w nocy spać nie może.

Tak rozmawiając udali się obaj do kwatery pana Zagłoby, którego znaleźli siedzącego pod otwartem oknem, z głową opartą na ręku. Późno już było; w zamku ustał wszelki ruch, jeno warty obwoływały się przeciągłemi głosami, a w gąszczach dzielących zamek od mia-

sta, słowiki wywodziły zapamiętale swoje nocne trele, poświstując, cmokając i kląskając tak gęsto, jak gęsto pada ulewa wiosenna. Przez otwarte okno wchodziło ciepłe majowe powietrze i jasne promienie księżyca, które oświecały pognębioną twarz pana Zagłoby i łysinę schyloną na piersi.

— Dobry wieczór, waćpanu — rzekli dwaj rycerze.

— Dobry wieczór!—odpowiedział Zagłoba.

— Co waćpan tak przy oknie rozpamiętywasz, zamiast spać iść?— pytał Wołodyjowski.

Zagłoba westchnął.

— Bo mi nie do snu — odrzekł wlokącym się głosem.—Rok temu, rok, uciekałem z nią nad Kahamlikiem od Bohuna i tak samo nam one ptaszyny fiukały, a teraz gdzie ona?

— Bóg to tak zrządził — rzekł Wołodyjowski.

— Na łzy i smutek, panie Michale! Nie masz już dla mnie pocieszenia!

Umilkli — jeno przez otwarte okno dochodziły coraz mocniej trele słowicze, któremi cała owa jasna noc zdawała się być przepełniona.

— O Boże, Boże!—westchnął Zagłoba—zupełnie tak, jak nad Kahamlikiem!

Pan Longinus strząsnął łzę z płowych wąsów, a mały rycerz rzekł po chwili:

— Ej, wiesz co waćpan? smutek, smutkiem, a napij się z nami miodu, bo niemasz nic lepszego na zgryzotę. Będziemy przy szklenicy rozpamiętywali lepsze czasy.

— Napiję się — rzekł z rezygnacyą Zagłoba.

Wołodyjowski kazał czeladnikowi przynieść światło i gąsiorek, a następnie, gdy zasiedli, wiedząc, że wspomnienia najlepiej ze wszystkiego ożywiają pana Zagłobę, pytał:

— To to już rok, jakeś waćpan z nieboszczką z Rozłogów przed Bohunem uciekał?

— W maju to było, w maju — odrzekł Zagłoba.—Przeszliśmy przez Kahamlik, żeby ku Zołotonoszy uciekać. Oj, ciężko na świecie!

— I ona była przebrana?

— Za kozaczka. Włosy jej szablą musiałem, niebodze mojej, obcinać, aby jej nie poznano. Wiem miejsce, gdziem je pod drzewem razem z szablą pochował.

— Słodka to była panna! — dorzucił z westchnieniem Longinus.

— To mówię waćpanom, żem ją pierwszego dnia tak pokochał, jakbym ją od małego hodował. A ona tylko ręczyny przedemną składała, a dziękowała i dziękowała za ratunek i opiekę. Niechby mnie byli usiekli, nimem się dzisiejszego dnia doczekał. Bodaj mi było nie dożyć!

— Tu znów nastało milczenie—i trzej rycerze pili miód zmięszany ze łzami — poczem Zagłoba tak dalej mówić począł:

— Myślałem, że przy nich starości spokojnej doczekam, a teraz...

Tu ręce zwisły mu bezsilnie:

— Znikąd pociechy, znikąd pociechy, chyba w grobie...

Tymczasem, zanim pan Zagłoba ostatnich słów dokończył, hałas powstał w sieni; ktoś chciał wejść, a czeladnik nie puszczał; powstała głośna sprzeczka, w której zdało się panu Wołodyjowskiemu, że poznaje jakiś głos znajomy, więc zawołał na czeladnika, by dłużej wejścia nie bronił.

Następnie drzwi otworzyły się i ukazała się w nich pyzata, rumiana twarz Rzędziana, który powiódł oczyma po obecnych, pokłonił się i rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków!—odrzekł Wołodyjowski—to Rzędzian.

— A ja ci to jestem — odrzekł pachołek— i kłaniam do kolan waszmościom. A gdzie to mój pan?

— Twój pan w Korcu i chory.

— O dla Boga! co też jegomość powiada? A ciężko on, Boże broń, chory?

— Był ciężko chory, a teraz zdrowszy. Medyk powiada, że będzie zdrów.

— Bo ja tu z wieściami o pannie do mojego pana przyjechałem.

Mały rycerz począł kiwać melancholicznie głową.

— Niepotrzebnieś się spieszył, bo już pan Skrzetuski wie o jej śmierci i my tu ją łzami rzewnemi oblewamy.

Oczy Rzędziana wylazły zupełnie na wierzch głowy.

— Gwałtu, rety! co ja słyszę? panna umarła?

— Nie umarła, jeno w Kijowie od zbójów zamordowana.

— W jakim Kijowie, co jegomość prawi?

— W jakim-że Kijowie—albo to Kijowa nie znasz?

— Dla Boga, chyba jegomość kpi! Co ona miała do roboty w Kijowie, kiedy ona w jarze nad Waładynką niedaleko Raszkowa ukryta? i czarownica miała rozkaz, żeby się do przyjazdu Bohuna ani krokiem nie ruszała. Jak mnie Bóg miły zwaryować przyjdzie, czy co?

— Co za czarownica, o czemże ty gadasz?

— A Horpyna, toć tę basetlę znam dobrze.

Pan Zagłoba nagle wstał z ławy i począł rękami trzepać, jak człowiek, który wpadłszy w głębinę, ratuje się od zatonięcia.

— Na Boga żywego! milcz waćpan!—rzekł do Wołodyjowskiego — na rany boskie, niech ja pytam!

Obecni aż zadrżeli, tak blady był pan Zagłoba i pot wystąpił mu na łysinę, on zaś skoczył równemi nogami przez ławę do Rzędziana i schwyciwszy pachołka za ramiona, pytał chrapliwym głosem:

— Kto tobie to powiadał, że ona... koło Raszkowa ukryta?

— Kto miał powiadać? Bohun!

— Chłopie, czyś zwaryował?! — wrzasnął pan Zagłoba, trzęsąc pachołkiem, jak gruszką—jaki Bohun?

— O dla Boga!—zawołał Rzędzian—czego jegomość tak trzęsie? Dajże jegomość pokój, niech się opamiętam, bom zgłupiał. Jegomość mi do reszty w głowie przewróci. Jakiż ma być Bohun? albo to go jegomość nie zna?

— Gadaj! bo cię nożem pchnę! — wrzasnął Zagłoba. Gdzieś Bohuna widział?

— We Włodawie! Czego waszmościowie odemnie chcecie?—wołał przestraszony pachołek.—Cóżem to ja zbój...

Zagłoba odchodził od zmysłów, tchu mu zbrakło i padł na ławę dychając ciężko, pan Michał przybył mu na pomoc:

— Kiedyś Bohuna widział? — pytał Rzędziana.

— Trzy tygodnie temu.

— To on żyje?

— Co nie ma żyć; sam mnie opowiadał, jakeś go jegomość popłatał; ale się wylizał...

— I on tobie mówił, że panna pod Raszkowem?

— Któż inny?

— Słuchaj Rzędzian, tu o życie twego pana i panny chodzi! Czy tobie sam Bohun mówił, że ona nie była w Kijowie?

— Mój jegomość, jak ona miała być w Kijowie, kiedy on ją pod Raszkowem ukrył i Horpynie przykazał pod gardłem, żeby jej nie puszczała, a teraz mnie piernacz dał i pierścień swój, żebym ja tam do niej jechał, bo jemu się rany odnowiły i sam musi leżyć, niewiadomo jak długo.

Dalsze słowa Rzędziana przerwał pan Zagłoba, który się z ławy na nowo zerwał i schwyciwszy się obu rękoma za resztki włosów, począł krzyczeć jak szalony:

— Żyje moja córuchna, żyje! na rany boskie, żyje! to nie ją w Kijowie zabili! żyje ona, żyje, moja najmilsza!

I stary tupał nogami, śmiał się, szlochał, nakoniec chwycił Rzędziana za łeb, przycisnął do piersi i począł tak całować, że pachołek do reszty stracił głowę.

— Niechno jegomość da pokój... bo się zatknę! Jużci, że ona żyje... Da Bóg, razem po nią ruszymy... Jegomość! no, jegomość!

— Puść go waszmość, niech opowiada, bo jeszcze nic nie rozumiemy—rzekł Wołodyjowski.

— Mów, mów!—wołał Zagłoba.

— Opowiadaj od początku, brateńku—rzekł pan Longinus, na którego wąsach osiadła także gęsta rosa.

— Pozwólcie waszmościowie, niech się wysapię—rzekł Rzędzian — i okno przymknę, bo te juchy słowiki tak się drą w krzakach, że i do słowa przyjść nie można.

— Miodu! — krzyknął na czeladnika Wołodyjowski.

Rzędzian zamknął okno ze zwykłą sobie powolnością, następnie zwrócił się do obecnych i rzekł:

— Waszmościowie mi też usiąść pozwolą, bom się utrudził.

— Siadaj!—rzekł Wołodyjowski, nalewając mu z przyniesionego przez czeladnika gąsiora—pij z nami, boś na to swoją nowiną zasłużył, byleś gadał jaknajprędzej.

— Dobry miód! — odpowiedział pachołek, podnosząc szklankę pod światło.

— A bodaj cię usiekli! będziesz-że ty gadał!—huknął Zagłoba.

— A jegomość to się zaraz gniewa! Jużci będę gadał, kiedy waszmościowie chcecie, bo waszmościom rozkazywać, a mnie słuchać, od tegom sługa. Ale już widzę, że od początku muszę już dokumentnie wszystko opowiadać...

— Mów od początku!

— Waszmościowie pamiętają, jako to przyszła wiadomość o wzięciu Baru, co to nam się zdawało, że już po pannie. Tak ja wróciłem wtedy do Rzędzian, do rodzicieli, i do dziadusia, co to już ma dziewięćdziesiąt lat... dobrze mówię... nie! dziewięćdziesiąt i jeden.

— Niech ma i dziewięćset!.. — burknął Zagłoba.

— A niech mu Pan Bóg da jaknajwięcej! Dziękuję jegomości za dobre słowo — odrzekł Rzędzian. — Tak tedy wróciłem do domu, żeby rodzicielom odwieźć, com przy pomocy bożej zebrał między zbójami, bo to już waszmościowie wiecie, że mnie zeszłego roku ogarnęli kozacy w Czehrynie, że mnie za swego mieli, żem Bohuna rannego pilnował i do wielkiej konfidencyi z nim przyszedł, a przytem skupowałem trochę od tych złodziejów, to srebra, to klejnoty...

— Wiemy, wiemy! — rzekł Wołodyjowski.

— Otóż przyjechałem do rodzicielów, któ- rzy radzi mnie widzieli i oczom nie chcieli wierzyć, gdym im wszystko, com zebrał, pokazał. Musiałem dziadusiowi przysiądz, żem uczciwą drogą do tego przyszedł. Dopieroż się ucieszyli, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że oni mają tam proces z Jaworskiemi, o gruszę, co na miedzy stoi i w polowie nad Jaworskich gruntami, a w połowie nad naszemi ma gałęzie. Owóż jak Jaworscy trzęsą, to i nasze gruszki opadają, a dużo idzie na miedzę. Oni tedy powiadają, że te, co na miedzy leżą, to ich, a my...

— Chłopie, nie przywódźże mnie do gniewu!—rzekł Zagłoba — i nie mów tego, co do rzeczy nie należy!..

— Naprzód, z przeproszeniem jegomości, nie jestem ja żaden chłop, jeno szlachcic, choć ubogi, ale herbowny, co jegomości i pan porucznik Wołodyjowski i pan Podbipięta, jako znajomi pana Skrzetuskiego, powiedzą, a powtóre, ten proces, to trwa już pięćdziesiąt lat...

Zagłoba zacisnął zęby i dał sobie słowo, że się już więcej nie odezwie.

— Dobrze, rybeńko—rzekł słodko pan Longinus — ale ty nam powiadaj o Bohunie, nie o gruszkach.

— O Bohunie? — rzekł Rzędzian — niechże będzie i o Bohunie. Owóż Bohun myśli, mój jegomość, że nie ma wierniejszego sługi i przyjaciela nademnie, chociaż mnie w Czehrynie rozszczepił, bom go też, co prawda, pilnował, opatrywał, kiedy to go jeszcze kniazie Kurcewicze poszczerbili. Obełgałem go wtedy, że już nie chcę służby pańskiej i wolę z kozakami trzymać, bo więcej zysku między niemi, a on uwierzył. Jak nie miał wierzyć, kiedym go do zdrowia przyprowadził?! Więc też okrutnie mnie polubił i co prawda, hojnie wynagrodził, nie wiedząc o tem, żem ja sobie poprzysiągł zemścić się na nim za onę krzywdę czehryńską i że jeżelim go nie zażgał, to jeno dla tego, że nie przystoi szlachcicowi w łożu leżącego nieprzyjaciela, nożem, jako świnię, pod pachę żgać.

— Dobrze, dobrze—rzekł Wołodyjowski.— To także wiemy, ale jakimżeś sposobem go teraz znalazł?

— A to, widzi jegomość, było tak: gdyśmy już Jaworskich przycisnęli (z torbami oni pój-

dą, nie może inaczej być!) to ja sobie myślę: no! czas i mnie będzie Bohuna poszukać i za moją krzywdę mu zapłacić. Spuściłem się rodzicielom z sekretu i dziadusiowi, a on, jako to fantazya u niego dobra, mówi: kiedyś poprzysiągł, to idź, bo inaczej będziesz kiep. Więc ja poszedłem, bom sobie i to jeszcze myślał, że jak Bohuna znajdę, to się o pannie, jeśli żywa, może czegoś dowiem, a potem, jak go ustrzelę i do mego pana z nowiną pojadę, to też nie będzie bez nagrody.

— Pewnie, że nie będzie! i my cię też wynagrodzimy—rzekł Wołodyjowski.

— A u mnie masz już brateńku konika z rzędem—dodał Longinus.

— Dziękuję pokornie waszmościom panom—rzekł uradowany pachołek—bo słuszna to jest rzecz, za dobrą wieść munsztułuk, a ja też nie przepiję, co od kogo dostanę...

— Dyabli mnie biorą! — mruknął Zagłoba.

— Wyjechałeś więc z domu...—poddał Wołodyjowski.

— Wyjechałem więc z domu—mówił dalej Rzędzian—i myślę znowu: gdzie jechać? chyba do Zbaraża, bo tam i do Bohuna niedaleko i prędzej się o mojego pana dopytam. Jadę te-

dy, mój jegomość, jadę na Białę i Włodawę i we Włodawie—koniska już miałem srodze zmęczone,—zatrzymuję się na popas. A tam był jarmark, we wszystkich zajazdach pełno szlachty; — ja do mieszczan — i tam szlachta! Dopieroż jeden żyd mi powiada: miałem izbę, ale ją ranny szlachcic zajął. To mówię, dobrze się zdarzyło, bo ja opatrunek znam, a wasz cyrulik, jako to w czasie jarmarku, pewnie nie może sobie dać rady z robotą. Gadał jeszcze żyd, że ten szlachcic sam się opatruje i nie chce nikogo widzieć, a potem poszedł spytać. Ale widać tamtemu było gorzej, bo kazał puścić. Wchodzę ja — i patrzę kto leży w betach—Bohun.

— O to!—wykrzyknął Zagłoba.

— Przeżegnałem się: W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ażem się przeląkł, a on mnie poznał od razu, ucieszył się okrutnie (że to mnie ma za przyjaciela) i powiada: Bóg mi cię zesłał! teraz już nie umrę. A ja mówię: co jegomość tu robisz?—on zaś palec na gębę położył i dopiero później opowiadał mi swe przygody, jako go Chmielnicki do Króla Jegomości, a naonczas jeszcze królewicza, z pod Za-

mościa wysłał i jako pan porucznik Wołodyjowski w Lipkowie go usiekł.

— Wdzięcznie mnie wspominał? — spytał mały rycerz.

— Nie mogę, mój jegomość, inaczej powiedzieć, jak, że dość wdzięcznie. Myślałem, powiada, że to jakiś wyskrobek, że to, powiada, pokurcz, a to, powiada, junak pierwszej wody, który mnie bez mała nawpół przeciął. Tylko oto, jak o jegomości panu Zagłobie wspomni, to jeszcze gorzej, jak pierwej zgrzyta, że jegomość go do walki podjudził...

— Niech mu tam kat świeci! już się jego nie boję!—odparł Zagłoba.

— Przyszliśmy tedy do dawnej konfidencyi — mówił dalej Rzędzian — ba, jeszcze do większej i on mnie wszystko powiadał, jako śmierci był blizki, jako go do dworu w Lipkowie wzięli, mając go za szlachcica, a on też się podał za pana Hulewicza z Podola, jak go później wyleczyli z wielką ludzkością traktując—za co im wdzięczność do śmierci poprzysiągł.

— A cóż we Włodawie robił?

— Ku Wołyniowi się przebierał, ale mu się w Parczewie rany otworzyły, bo się z nim

wóz wywrócił, więc musiał zostać, chociaż i w strachu wielkim, gdyż łatwo tam go mogli rozsiekać. Sam mnie to mówił. Byłem, powiada, wysłany z listami, ale teraz świadectwa żadnego nie mam, jeno piernacz i gdyby się zwiedzieli ktom jest, toby mnie nietylko szlachta rozsiekała, ale pierwszy komendant by mnie powiesił, nikogo o pozwolenie nie pytając. Pamiętam, że jak mi to rzekł, tak ja do niego mówię: dobrze to wiedzieć, że pierwszy komendant by jegomości powiesił. A on pyta: jakto?— Tak, rzekę, że trzeba być ostrożnie i nikomu nic nie mówić—w czem się też jegomości przysłużę. Dopieroż jął mi dziękować i o wdzięczności zapewniać, jako że mnie nagroda nie minie. Teraz (mówi) pieniędzy nie mam, ale co mam z klejnotów, to ci dam, a później cię złotem obsypię, tylko mi jedną przysługę jeszcze oddaj.

— Aha! to już przyjdzie do kniaziówny!— rzekł Wołodyjowski.

— Tak jest, mój jegomość, muszę już wszystko dokumentnie opowiedzieć. Jak mi tedy rzekł, że teraz pieniędzy nie ma, takem do reszty serce dla niego stracił, i myślę sobie: poczekaj! oddam ja ci przysługę! A on

mówi: Chorym jest, nie mam siły do podróży, a droga daleka i niebezpieczna mnie czeka. Jeżeli się, powiada, na Wołyń dostanę — a to ztąd blizko—to już będę między swojemi, ale tam, nad Dniestr, nie mogę jechać, bo sił nie staje i trzeba, powiada, przez wraży kraj przejeżdżać, koło zamków i wojsk—jedź ty za mnie.—Więc ja pytam: a dokąd? — on na to: Aż pod Raszków, bo ona tam ukryta u siostry Dońca, Horpyny, czarownicy. — Pytam: Kniaziówna? — Tak jest, rzecze. Tamem ją ukrył, gdzie jej ludzkie oko nie dojrzy, ale jej tam dobrze i jako księżna Wiśniowiecka na złotogłowiach sypia.

— Mów-no prędzej, na Boga! — krzyknął Zagłoba.

— Co nagle, to po djable — odpowiedział Rzędzian.—Jakem to tedy mój jegomość usłyszał, takem się ucieszył, alem tego po sobie nie pokazał i mówię: a pewnoż ona tam jest? bo to już musi być dawno jakeś waćpan ją tam odwiózł? On począł się zaklinać, że Horpyna jego suka wierna, będzie ją i dziesięć lat trzymała, aż do jego powrotu i że kniaziówna tam jest, jako Bóg na niebie, bo tam ani

lachy, ani tatary, ani kozaki nie przyjdą, a Horpyna rozkazu nie złamie.

Podczas gdy tak opowiadał Rzędzian, pan Zagłoba trząsł się jak w febrze, mały rycerz kiwał radośnie głową, Podbipięta oczy do nieba wznosił.

— Że ona tam jest, to już pewno — mówił dalej pachołek — bo najlepszy dowód, że on mnie do niej wysłał. Ale ja ociągałem się zrazu, żeby to niczego po sobie nie pokazać — i mówię: A po co ja tam? On zaś: Po to, że ja tam nie mogę jechać. Jeśli (powiada) żywy się z Włodawy na Wołyń przedostanę, to się każę do Kijowa nieść, bo tam już wszędzie nasi, kozacy, górą, a ty, powiada, jedź i Horpynie daj rozkaz, by ją do Kijowa, do monasteru Świętej Przeczystej odwiozła.

— A co! więc nie do Dobrego Mikoły! — wybuchnął Zagłoba — zaraz mówiłem, że Jerlicz śledziennik, albo że zełgał.

— Do Świętej Przeczystej! — mówił dalej Rzędzian.—Pierścień (powiada) ci dam i piernacz i nóż — a już Horpyna będzie wiedziała, co to znaczy, bo taka umowa stoi, i Bóg cię (powiada) tembardziej zesłał, że ona cię zna, wie, żeś mój druh najlepszy. Jedźcie razem, ko-

zaków się nie bójcie, jeno na tatarów baczcie, jeśliby gdzie byli i omijajcie, bo ci piernacza nie uszanują. Pieniądze, dukaty, tam są, powiada, zakopane na miejscu w jarze, od wypadku—to je wyjmij. Po drodze mówcie jeno; Bohunowa jedzie! — a niczego wam nie zbraknie. Zresztą (powiada) czarownica da sobie rady, tylko ty jedź odemnie, bo kogóż ja nieszczęsny poślę, komu zawierzę, tu w obcym kraju, między wrogami. Tak on to mnie, moi jegomoście, prosił, że prawie ślozy wylewał, w końcu kazał mi bestyja przysięgać, że pojadę, a ja też przysiągłem, jeno w duchu dodałem: z moim panem! On tedy uradował się i zaraz dał mi piernacz, i pierścień, i nóż, i co miał klejnotów, a ja też wziąłem, bom myślał: lepiej niech będzie u mnie, niż u zbója. Na pożegnanie powiedział mi jeszcze który to jest jar nad Waładynką, jak jechać i jak się obrócić, tak dokumentnie, że z zawiązanemi oczymabym trafił, co sami waszmościowie zobaczycie, gdyż tak myślę, że razem pojedziemy.

— Zaraz jutro!—rzekł Wołodyjowski.

— Co to jutro! dziś jeszcze. Na świtanie każem konie kulbaczyć.

Radość chwyciła wszystkich za serca i słychać było: to okrzyki wdzięczności ku niebu, to zacieranie rąk radosne, to nowe pytania rzucane Rzędzianowi, na które pachołek ze zwykłą sobie flegmą odpowiadał.

— Niech cię kule biją! — wykrzyknął Zagłoba — jakiego w tobie pan Skrzetuski ma sługę!

— Albo co?—pytał Rzędzian.

— Bo cię chyba ozłoci.

— Ja też tak myślę, że nie będzie to bez nagrody, chociaż mojemu panu z wierności służę.

— A cóżeś z Bohunem uczynił? — pytał Wołodyiowski.

— Toż to, mój jegomość, było dla mnie umartwienie, że znowu on leżał chory i nie wypadało mi go żgnąć, bo to i mój panby zganił. Taki już los! Cóżem miał więc robić? Oto, gdy mnie już wszystko powiedział, co miał powiedzieć i dał, co miał dać, tak ja po rozum do głowy. Po co, mówię sobie, taki złodziej ma po świecie chodzić, który i pannę więzi i mnie w Czehrynie poszczerbił? Niech go lepiej nie będzie i niech mu kat świeci! Bo i to sobie myślałem, że nuż wyzdrowieje i za

nami z kozakami ruszy? Więcem niewiele myśląc, poszedł do pana komendanta Regowskiego, który we Włodawie z chorągwią stoi, i doniosłem, że to jest Bohun, najgorszy z rebelizantów. Już go tam musieli do tej pory powiesić.

To rzekłszy, Rzędzian rozśmiał się dość głupowato i spojrzał po obecnych, jakby czekając, aby mu zawtórowali; ale jakże się zdziwił, gdy odpowiedziano mu milczeniem. Dopiero po niejakim czasie, pierwszy Zagłoba mruknął: „Mniejsza z tem!“—ale natomiast Wołodyjowski siedział cicho, a pan Longinus jął cmokać językiem, kręcić głową i wreszcie rzekł:

— Toś niepięknie postąpił, brateńku; co się zowie niepięknie!

— Jakto! mój jegomość? — pytał zdumiony Rzędzian.—Miałem go lepiej pchnąć?

— I tak byłoby niеładnie i tak nieładnie, ale nie wiem co lepiej, czy być zbójem, czy Judaszem?

— Co też jegomość mówi? Zali to Judasz jakowego rebelizanta wydawał? A to przecież i Króla Jegomości i całej Rzeczypospolitej jest nieprzyjaciel!

— Prawda to, ale ono zawsze nie pięknie. A jak mówisz, ów komendant się nazywał—co?

— Pan Regowski. Mówili, że mu na imię Jakób.

— To ten sam! — mruknął litwin. — Pana Łaszcza krewny i pana Skrzetuskiego nieprzyjaciel.

Ale nie słyszano tej uwagi, bo pan Zagłoba głos zabrał.

— Mości panowie!—rzekł. — Tu nie ma co zwłóczyć. Bóg sprawił przez tego pacholika i tak pokierował, że w lepszych niż dotąd kondycyach, będziemy jej szukali—Bogu niech będzie chwała! Jutro musimy ruszyć. Książę wyjechał, ale już i bez jego permisyi puścimy się w drogę, bo czasu nie ma! Pojedzie pan Wołodyjowski, ja z nim i Rzędzian—a waćpan panie Podbipięta, lepiej zostaniesz, bo wzrost twój i prostoduszność, wydaćby nas mogły.

— Nie bracie, ja też pojadę!—rzekł litwin.

— Dla jej bezpieczeństwa musisz to uczynić i zostać. Waćpana kto raz widział, ten nigdy w życiu nie zapomni. Mamy piernacz, to prawda, ale waćpanuby i z piernaczem nie uwierzyli. Dusiłeś Pułjana na oczach wszystkiego krzywonosowego hultajstwa — a gdyby

taka tyczka była między niemi, toćby ją znali. Nie może to być, żebyś waćpan z nami jechał. Tam trzech głów nie znajdziesz, a twoja jedna niewiele pomoże. Masz zgubić imprezę, to lepiej siedź.

— Żal—rzekł litwin.

— Żal, nie żal, a musisz zostać. Jak pojedziemy gniazda z drzew wybierać, to i waćpana weźmiemy, ale teraz nie.

— Słuchać hadko!

— Dajże waćpan pyska, bo mi w sercu wesoło, ale zostań. Tylko jeszcze jedno, mości panowie. Rzecz to największej wagi: sekret, żeby się między żołnierstwem nie rozniosło, a od nich do chłopstwa nie przeszło. Nikomu ani słowa.

— Ba, a księciu?

— Księcia nie ma.

— A panu Skrzetuskiemu, jeżeli wróci?

— Jemu właśnie ani słowa, bo zarazby się wyrywał za nami. Będzie miał dość czasu na radość, a broń Boże nowego zawodu — takby rozum stracił. Parol kawalerski, mości panowie, że ani słowa.

— Parol!—rzekł Podbipięta.

— Parol, parol!

— A teraz Bogu dziękujmy.

To rzekłszy, Zagłoba ukląkł pierwszy, a za nim inni i modlili się długo i żarliwie.

ROZDZIAŁ XXIII.

Książę przed kilku dniami wyjechał rzeczywiście do Zamościa, dla czynienia nowych zaciągów i nie rychło spodziewano się jego powrotu, więc Wołodyjowski, Zagłoba i Rzędzian, ruszyli na wyprawę bez niczyjej wiedzy i w najgłębszej tajemnicy, do której z ludzi pozostałych w Zbarażu, jeden tylko pan Longinus był przypuszczony, ale i on, słowem związany, milczał jak zaklęty.

Wierszuł i inni oficerowie, wiedząc o śmierci kniaziówny, nie przypuszczali, by odjazd małego rycerza z Zagłobą, był w jakimkolwiek związku z narzeczoną nieszczęsnego Skrzetuskiego i sądzili, że to do niego raczej wyruszyli dwaj przyjaciele, tem bardziej, że był z niemi i Rzędzian, o którym wiedziano, że Skrzetuskiemu służy. Oni zaś pojechali

wprost do Chlebanówki, i tam czynili przygotowania do pochodu.

Zagłoba zakupił przedewszystkiem, za pieniądze pożyczone od Longina, pięć rosłych koni podolskich, zdolnych do dalekich pochodów, których chętnie używała jazda polska i starszyzna kozacka; koń taki mógł dzień cały gnać za bachmatem tatarskim, a szybkością biegu przewyższał nawet tureckie, od których był wytrzymalszy na wszelkie zmiany pogody, na noce chłodne i dżdże. Takich to pięć biegunów nabył pan Zagłoba; prócz tego, dla siebie i towarzyszów, również jak i dla kniaziówny, nabył dostatnie świty kozackie — Rzędzian zajął się jukami — a gdy już wszystko było przewidziane i gotowe, ruszyli w drogę, Bogu i świętemu Mikołajowi, patronowi panien w opiekę przedsięwzięcie oddając.

Tak przebranych, łatwo było można poczytać za jakichś atamanów kozackich, i zdarzało się często, że ich zaczepiali żołnierze z załóg polskich i straży rozrzuconych hen, aż ku Kamieńcowi — ale tym, łatwo legitymował się pan Zagłoba. Jechali czas dłuższy krajem bezpiecznym, bo zajętym przez chorągwie regimentarza Lanckorońskiego, który zbliżał się

zwolna ku Barowi, aby na zbierające się tam kupy kozackie, mieć oko. Wiedziano już powszechnie, że z układów nic nie będzie, więc wojna wisiała nad krajem, lubo główne siły nie ruszyły się jeszcze. Armiscycyum perejasławskie skończyło się do Zielonych świątek; wojna podjazdowa nie ustawała naprawdę nigdy, a teraz wzmogła się—i z obu stron czekano tylko hasła. Tymczasem wiosna rozradowała się nad stepem. Stratowana kopytami końskiemi ziemia, pokryła się bisiorem traw i kwiecia wyrosłego z ciał poległych rycerzy, Nad pobojowiskami tkwiły w błękicie skowronki; na wysokościach ciągnęło z krzykiem ptactwo rozmaite; wody rozlane marszczyły się w łuskę błyszczącą, pod ciepłym powiewem wiatru, a wieczorami żaby, pławiące się w ugrzanej fali, do późna w noc wiodły radosne rozhowory.

Zdawało się, że sama natura pragnie rany zabliźnić, bóle ukoić, mogiły ukryć pod kwiatami. Jasno było na niebie i ziemi, świeżo, powietrzno, wesoło, a step cały jak malowany, błyszczał nakształt złotogłowiu, mienił się jak tęcza, albo jak pas polski, na którym zręczna robotnica, wszystkie barwy wybornie

ożeni. Stepy grały od ptactwa — i wiatr chodził po nich szeroki, który suszy wody i śniadość daje twarzom ludzkim.

Wtedy to raduje się każde serce i otuchą napełnia się niezmierną—więc też i nasi rycerze, takiej właśnie otuchy byli pełni. Pan Wołodyjowski śpiewał ustawicznie, a pan Zagłoba przeciągał się na koniu, nadstawiał z lubością pleców na słońcu, i raz, gdy go dobrze nagrzało, rzekł do małego rycerza:

— Błogo mi jest, bo prawdę rzekłszy, po miodzie i węgrzynie, nie masz jak słońce na stare kości.

— Dla wszystkich ono jest dobre — odpowiedział pan Wołodyjowski — gdyż zauważ waćpan, jak nawet animalia lubią się wylegiwać na słońcu.

— Szczęście to jest, że w takiej porze jedziemy po kniaziównę—mówił dalej Zagłoba—gdyż w zimie, przy mrozach, trudnoby z dziewczyną uciekać.

— Niech ją tylko w ręce dostaniemy, a szelmą jestem, jeżeli nam ją kto odbierze.

— Powiem ci, panie Michale—rzekł na to Zagłoba—że jedną mam tylko obawę, a to, żeby, w razie wojny, tatarstwo się w tamtych

stronach nie ruszyło i nas nie ogarnęło — bo z kozakami damy sobie rady. Chłopstwu wcale się nie będziemy legitymowali, bo zauważyłeś, że nas za starszych mają, a zaporozcy piernacz szanują i bohunowe imię tarczą nam będzie.

— Znam ja się z tatary, bo nam w państwie Łubniańskiem życie na ustawicznem procederze z niemi schodziło — a już ja i Wierszułł, to nigdy nie mieliśmy odpoczynku — odpowiedział pan Michał.

— I ja ich znam—rzekł Zagłoba. — Wspominałem ci przecie, jakom między niemi wiele lat spędził i do godności wielkich mogłem dojść; ale, żem się nie chciał zbisurmanić, więc musiałem wszystkiego poniechać i jeszcze mi śmierć męczeńską zadać chcieli, za to, żem ich najstarszego księdza na wiarę prawdziwą namówił.

— A mówiłeś waćpan kiedyindziej, że to było w Galacie?

— W Galacie było swoją drogą, a w Krymie swoją. Bo jeżeli myślisz, że się w Galacie świat kończy, to chyba nie wiesz, gdzie pieprz rośnie. Więcej jest synów Beljala, niżeli chrześcian na tym świecie.

Tu wtrącił się do rozmowy Rzędzian:

— Nietylko od tatarów możemy mieć przeszkodę—rzekł—bo nie mówiłem waszmościom, co mnie Bohun powiedział, że tego jaru paskudne potęgi pilnują. Sama ona olbrzymka, która kniaziówny pilnuje, można to jest czarownica, z djabłami w konfidencyi, którzy nie wiem, czy jej o nas nie przestrzegą. Mam ci ja wprawdzie kulę, com ją sam na święconą pszenicę lał, gdyż inna się jej nie chwyta, ale oprócz tego, upiorzysków tam podobno całe regimenty, które wejścia bronią. Już to głowa ichmościów w tem, żeby mnie co złego nie spotkało, bo zarazby mi nagroda przepadła.

— Trutniu jeden! — rzecze pan Zagłoba,— Właśnie też nam w głowie o twojem zdrowiu myśleć. Nie skręci ci djabeł karku, a choćby i skręcił, to wszystko jedno, bo ty i tak za twoje łakomstwo będziesz potępiony. Za stary ja wróbel, żeby mnie na plewy brać i to sobie zakonotuj, że jeśli Horpyna można czarownica, to ja możniejszy od niej czarownik, bom się w Persyi ciemnego kunsztu uczył. Ona dyabłom służy, a oni mnie i mógłbym niemi, jako wołami orać—jeno nie chcę, mając zbawienie duszy na uwadze.

— To dobrze, mój jegomość, ale na ten raz, to już niech jegomość swojej mocy użyje, bo zawszeć lepiej być w bezpieczności.

— Ja zaś więcej ufam w naszą dobrą sprawę i w boską opiekę—rzekł Wołodyjowski.— Niechże tam Horpyny i Bohuna czarni strzegą, a z nami są anieli niebiescy, którym najlepszy piekielny komunik nie dotrzyma; na któren przypadek Świętemu Michałowi archaniołowi siedem świec z białego wosku ofiaruję.

— To już i ja na jednę się przyłożę,— rzekł Rzędzian — żeby mnie jegomość, pan Zagłoba, potępieniem nie straszył.

— Pierwszy ja cię do piekła wyprawię — odpowiedział szlachcic — jeśli się pokaże, że miejsca nie wiesz dobrze.

— Jakto nie wiem? Byleśmy do Waładynki dojechali, to już z zawiązanemi oczami trafię. Pojedziemy brzegiem, ku Dniestrowi, a jar będzie po prawej ręce, któren po tem poznamy, że wejście do niego skałą zawalone. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wcale wjechać nie można, ale w skale jest wyrwa, przez którą dwa konie obok siebie przejdą. Jak już tam będziemy, to nam nikt nie umknie, bo to

jest jedyny wchód i wychód z jaru, naokoło zaś ściany tak wysokie, że ptak ledwie przeleci. Czarownica morduje ludzi, którzy tam bez pozwoleństwa wchodzą i jest dużo kościotrupów, ale na to Bohun nie kazał zważać, jeno jechać i krzyczeć: Bohun! Bohun!.. Dopieroż ona do nas z przyjaźnią wyjdzie. — Prócz Horpyny, jest tam jeszcze i Czeremis, ktoren z piszczeli okrutnie strzela. Oboje musiemy uśmiercić.

— Onego Czeremisa, nie mówię, ale babę dość będzie związać.

— Zaśby ją tam jegomość związał. Ona taka mocna, że pancerz jak koszulę rozdziera, a podkowa to jeno jej w ręku chrupnie. Chybaby jeden pan Podbipięta dał jej rady, ale nie my. Dajno jegomość pokój, mam ja na nią kulę święconą;—niechże już na tę djablicę przyjdzie czarna godzina; inaczej leciałaby za nami jak wilczyca, a na kozaków wyła— i pewniebyśmy nie tylko panny, ale własnych głów zdrowo nie przywieźli.

Na podobnych rozmowach i naradach schodził im czas w drodze. A jechali spieszno, mijając miasteczka, sioła, chutory i mogiły. Szli na Jarmolińce ku Barowi, zkąd dopiero mieli

się zwrócić ukosem w stronę Jampola i Dniestru. Przechodzili przez te okolice, w których niegdyś Wołodyjowski pobił Bohuna — i pana Zagłobę z jego rąk uwolnił. Trafili nawet do tego samego chutoru i zatrzymali się w nim na noc. Czasem też wypadały im noclegi i pod gołem niebem, w stepie, a wówczas pan Zagłoba urozmaicał je opowiadaniem dawnych swych przygód, tych, które się zdarzyły i takich, które wcale się nie zdarzyły. Ale najwięcej rozmawiano o kniaziównie i o jej przyszłem uwolnieniu z niewoli u czarownicy.

Wyjechawszy wreszcie z okolic trzymanych w ryzie przez załogi i chorągwie Lanckorońskiego, weszli w kraj kozaczy, w którym nic nie pozostało się lachów, bo tych, którzy nie uciekli, wytępiono ogniem i mieczem. Maj skończył się i nastał czerwiec znojny, a oni ledwie trzecią część podróży odbyli, bo droga była daleka i trudna. Na szczęście, od strony kozactwa żadne nie groziło im niebezpieczeństwo. Chłopskim watahom nie legitymowali się wcale, bo te najczęściej za starszych zaporozkich ich miały. Wszelako od czasu do czasu pytano ich, coby za jedni byli, a wówczas pan Zagłoba, jeżeli pytającym był niżo-

wy, pokazywał piernacz Bohunów, jeśli zaś zwykły rezun z czerni, to nie zsiadając z konia, kopał go nogą w piersi i obalał na ziemię— inni zaś patrząc na to, zaraz otwierali im drogę, myśląc, że to nietylko swój jedzie, ale i ktoś bardzo godny, skoro bije.—„Może Krzywonos, Burłaj, albo i sam bat'ko Chmielnicki.“

Wielce jednak narzekał pan Zagłoba na sławę Bohuna, bo się zbyt pytaniami o niego uprzykrzali niżowi, przez co i zwłoki w podróży zdarzały się niemałe. I zwykle nie było końca pytaniom: czy zdrów, czy żyje, bo się już wieść o jego śmierci aż pod Jahorlik i porohy rozbiegła. A gdy podróżni opowiadali, że zdrów i wolny i że jego to właśnie są wysłańcami, tedy całowano ich i częstowano; otwierały się im wszystkie serca, a nawet worki, z czego chytry pachołek pana Skrzetuskiego nieomieszkał korzystać.

W Jampolu przyjął ich Burłaj, który tu z wojskiem niżowem i czernią na tatarów budziackich czekał, stary, sławny pułkownik. Ten przed laty Bohuna rzemiosła wojennego uczył; na wyprawy czarnomorskie z nim chodził i Synopę na współkę, w jednej z takich wypraw zrabowali, więc też kochał go jak sy-

na i wdzięcznie przyjął jego wysłańców, nie okazując najmniejszej nieufności, zwłaszcza, że zeszłego roku Rzędziana przy nim widział. Owszem, dowiedziawszy się, że Bohun żyje i na Wołyń zdąża, ucztę z radości wysłańcom wydał i sam się na niej upił.

Obawiał się pan Zagłoba, ażeby Rzędzian podpiwszy, nie wygadał się z czem niepotrzebnem, ale pokazało się, że szczwany jak lis pachołek, tak się umiał obracać, że mówiąc prawdę wówczas tylko, gdy ją można było powiedzieć, sprawy przez to nie narażał, a tem większą ufność zyskiwał. Dziwnie jednak było słuchać naszym rycerzom tych rozmów, prowadzonych z jakąś straszliwą szczerością, w których ich nazwiska często się powtarzały.

— Słyszeli my—mówił Burłaj — że Bohun w pojedynku usieczon. A nie wiecie wy kto jego usiekł?

— Wołodyjowski, oficer kniazia Jaremy — odpowiedział spokojnie Rzędzian.

— Ej, żeby ja go w ręce dostał, zapłaciłby mu ja za naszego sokoła. Ze skóry ja by jego obdarł.

Pan Wołodyjowski ruszył na to owsianemi wąsikami i spojrzał na Burłaja takim wzro-

kiem, jakim chart spogląda na wilka, którego mu nie wolno uchwycić za gardziel, a Rzędzian rzekł:

— Dla tego to ja wam mówię, mości półkowniku, jego nazwisko.

— Djabeł będzie miał prawdziwą pociechę z tego chłopaka!—pomyślał pan Zagłoba.

— Ale—mówił dalej Rzędzian—ten nie tyle winien, bo jego sam Bohun wyzwał, nie wiedząc, jaką szablę wyzywa. Inny tam był szlachcic, największy Bohuna wróg, który raz już kniaziównę mu z rąk wydarł.

— A to kto taki?

— At! stary opój, co się przy naszym atamanie w Czehrynie wieszał i druha dobrego jego udawał.

— Będzie on jeszcze wisiał! — wykrzyknął Burłaj.

— Kpem jestem, jeżeli temu pokurczowi uszu nie obetnę—mruknął Zagłoba.

— Tak go usiekli — prawił Rzędzian — że innego dawnoby już kruki dziobały, ale w naszym atamanie dusza rogata i wyzdrowiał, chociaż do Włodawy ledwie się dowlókł i tamby też pewno rady sobie nie dał, żeby nie

my. My jego na Wołyń wyprawili, gdzie nasi górą, a samych tu po dziewczynę wysłał.

— Zgubią jego te czarnobrewy — mruknął Burłaj — i ja jemu to dawno przepowiadał. A czy to mu nie lepiej było poigrać z dziewczyną po kozacku, a potem kamień do szyi i w wodę, jak my na Czarnem morzu robili.

Tu ledwie wytrzymał pan Wołodyjowski, tak był w swoim sentymencie dla płci białej zraniony. Zagłoba zaś rozśmiał się i rzekł:

— Pewnieby tak lepiej.

— Ale wy dobre druhy! — mówił Burłaj— wy jego nie opuścili w potrzebie, a ty mały (tu zwrócił się do Rzędziana), ty najlepszy ze wszystkich, bo ja już ciebie w Czehrynie widział, jak ty naszego sokoła pilnował i hołubił. No! tak i ja wam druh—wy mówcie, czego wam potrzeba, mołojców, czy koni, tak ja wam dam, żeby się wam gdzie z powrotem krzywda nie stała.

— Mołojców nam nie potrzeba, moście półkowniku—odrzekł Zagłoba—bo my swoi ludzie i swoim krajem pojedziemy, a Bóg nie daj złego spotkania, to z wielką watahą gorzej jak z małą, ale konie co najściglejsze, toby się przydały.

— Dam wam takie, że ich i bachmaty chanowe nie dogonią.

Wtem Rzędzian odezwał się, nie tracąc sposobnej pory:

— I hroszi mało nam dał ataman, bo sam nie miał, a za Bracławiem miara owsa, talara.

— To chody ze mną do komory — rzekł Burłaj.

Rzędzian nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i zniknął wraz ze starym półkownikiem za drzwiami, a gdy po chwili ukazał się znowu, radość biła mu z pucołowatego oblicza i siny żupan odymał mu się jakoś na brzuchu.

— No, jedźcie z Bogiem — ozwał się stary kozak—a jak dziewczynę weźmiecie, tak wstąpcie do mnie, niech i ja bohunową zazulę zobaczę.

— Nie może to być, moście półkowniku — odrzekł śmiało pachołek — bo ta laszka okrutnie się stracha i raz się już nożem pchnęła. Bojemy się, by jej co złego się nie stało. Lepiej niech już ataman sobie z nią radzi.

— I poradzi; nie będzie ona mu się strachała—laszka biłoruczka! kozak jej śmierdzi!— mruknął Burłaj.—Jedźcie z Bogiem! niedaleko już macie!

Z Jampola niezbyt już było daleko do Waładynki, ale droga trudna, a raczej ustawiczne bezdroże, rozpościerało się przed rycerzami, bo w owych czasach tamtejsze okolice były jeszcze pustynią, zrzadka tylko osiadłą i zabudowaną. Szli tedy od Jampola, nieco na zachód, oddalając się od Dniestru, aby iść następnie z biegiem wód Waładynki, ku Raszkowowi, bo tylko tak idąc, można było trafić do jaru. Na niebie bielił się świt, gdyż uczta u Burłaja przeciągnęła się do późnej nocy i pan Zagłoba wyrachował, że przed zachodem słońca nie odnajdą jaru, ale było to mu właśnie na rękę, chciał bowiem po uwolnieniu Heleny, zostawić noc za sobą. Tymczasem jadąc, rozmawiali, jak dotychczas służyło im we wszystkiem szczęście przez całą drogę, a pan Zagłoba wspominając im ucztę burłajową, tak mówił:

— Przypatrzcie się jeno, jak to ci kozacy, którzy żyją w bractwie, wspierają się wzajemnie w każdym terminie. Nie mówię o czerni, którą oni pogardzają i dla której, jeżeli dyabeł im pomoże zrzucić naszą zwierzchność, gorszemi jeszcze będą panami; ale w bractwie

jeden za drugiego w ogień skoczyć gotowy, nie tak jak między naszą szlachtą.

— Gdzie tam, mój jegomość!—odparł na to Rzędzian.—Byłem ja między niemi długo i widziałem, jako się między sobą, niby wilcy, zażerają, a gdyby Chmielnickiego nie stało, który ich to siłą, to polityką w ryzie trzyma, wnetby się ze szczętem pozażerali. Ale ten Burłaj, to jest wielki między niemi wojownik i sam Chmielnicki jego szanuje.

— Ale ty pewnie już masz dla niego kontempt, bo ci się obedrzeć pozwolił. Ej Rzędzian, Rzędzian! nie umrzesz ty własną smiercią!

— Co komu pisano, mój jegomość; wszakże nieprzyjaciela w pole wywieść, chwalebna to jest rzecz i Bogu miła.

— To też nie to ci się gani, ale twoją chciwość. Chłopski to sentyment, szlachcica niegodny, za który pewnie będziesz potępiony.

— Nie pożałuję ja na świecę do kościoła, jak mi się uda zarobić, aby też i pan Bóg miał ze mnie korzyść i nadal mnie błogosławił; a że rodzicieli wspomagam, to nie grzech

— Co za szelma na cztery nogi kuta—wykrzyknął zwracając się do Wołodyjowskiego

pan Zagłoba. — Myślałem, że razem ze mną i fortele moje pójdą do trumny, ale widzę, że to frant jeszcze większy. Toż my przez chytrość tego pachołka, uwolnimy naszą kniaziównę od bohunowej niewoli, za bohunowem pozwoleniem i na burłajowych koniach. Widziałże kto kiedy podobną rzecz! A na pozór trzech groszybyś za tego pachołka nie dał.

Rzędzian uśmiechnął się z zadowoleniem i odrzekł:

— Albo to nam będzie źle, mój jegomość.

— Udałeś mi się i żeby nie twoja chciwość, tobym cię do służby wziął; ale skoroś Burłaja tak w pole wywiódł, już ci to, żeś mnie nazwał opojem, przebaczam.

— To nie ja tak jegomości nazwałem, jeno Bohun.

— Bóg go też skarał—odrzekł Zagłoba.

Na takich rozmowach zeszedł im ranek, ale gdy już słońce wytoczyło się wysoko na sklep niebieski, chwyciła ich powaga, bo za kilka godzin mieli ujrzeć Waładynkę. Po długiej podróży byli nakoniec u celu, ale niepokój, naturalny w podobnych wypadkach, wkradł im się do serc. Żyje-li jeszcze Helena? a jeżeli żyje, to czy znajdą ją w jarze? Horpyna

mogła ją wywieźć, lub może ją w ostatniej chwili ukryć gdzieś w nieznanych rozpadlinach jaru, albo uśmiercić. Przeszkody nie były jeszcze przezwyciężone, niebezpieczeństwa wszystkie nie minęły. Mieli wprawdzie wszystkie znaki, po których Horpyna powinna była ich rozeznać, jako bohunowych wysłańców, pełniących jego wolę — ale nuż djabły lub duchy ją ostrzegą? Tego obawiał się najwięcej Rzędzian, a i pan Zagłoba, choć się miał za biegłego w ciemnym kunszcie, nie myślał o tem bez niepokoju. W takim bowiem razie, zastaliby jar pusty, albo co gorsza, kozaków z Raszkowa, ukrytych w nim na zasadzce. Serca biły im coraz mocniej, a gdy wreszcie po kilku jeszcze godzinach drogi, z wysokiej krawędzi jaru, ujrzeli błyszczącą zdala wstążkę wody, pucołowata twarz Rzędziana przybladła trochę.

— To Waładynka! — rzekł przyciszonym głosem.

— Już?—pytał równie cicho Zagłoba.—Jak my to już blizko...

— Oby nas tylko Bóg ustrzegł! — odparł Rzędzian.—Mój jegomość, niech-no jegomość pocznie zaklęcia, bo okrutnie się boję.

— Głupstwo zaklęcia! Przeżegnamy rzekę i czeluście—to lepiej pomoże.

Pan Wołodyjowski najspokojniejszy był ze wszystkich, ale milczał; obejrzał tylko starannie pistolety i podsypał na nowo, poczem zmacał, czy szabla lekko wychodzi z pochwy.

— Mam i ja kulę święconą w tym oto pistolecie—rzekł Rzędzian.—W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego! ruszajmy!

— Ruszajmy! ruszajmy!

Po niejakim czasie znaleźli się nad brzegiem rzeczki i zwrócili konie w kierunku jej biegu. Tu pan Wołodyjowski zatrzymał ich na chwilę i rzekł:

— Niech Rzędzian weźmie piernacz, bo jego czarownica zna, i niechże pierwszy z nią paktuje, żeby się nas nie przestraszyła i nie uciekła w jaką czeluść z kniaziówną.

— Ja pierwszy nie pojadę, róbcie waszmościowie co chcecie—rzekł Rzędzian.

— To jedź trutniu na ostatku.

To powiedziawszy, pan Wołodyjowski ruszył pierwszy, za nim jechał pan Zagłoba, a w końcu, z powodnemi końmi, człapał Rzędzian, oglądając się niespokojnie na wszystkie strony. Kopyta końskie szczękały po kamie

niach, naokół panowała głucha cisza pustyni, jeno szarańcze i koniki polne, ukryte w rozpadlinach i szparach, sykały głośno, bo dzień był znojny, chociaż słońce zeszło już znacznie z południa. Jeźdźcy nadjechali nakoniec nad wzgórze, okrągłe, jak przewrócona tarcza rycerska, na którem rozpadające się i zwietrzałe od słońca skały, tworzyły kształty podobne do rumowisk, do zwalisk domów i wież kościelnych; myślałbyś: zamek lub miasto zburzone wczoraj przez nieprzyjaciela. Rzędzian spojrzał i trącił pana Zagłobę.

— To wraże uroczyszcze—rzekł — poznaję z tego, co mnie Bohun powiedział. Tędy w nocy nikt żywy nie przejdzie.

— Jeśli nie przejdzie, to może przejedzie—odparł Zagłoba. — Tfu! co za jakiś przeklęty kraj. Ale że przynajmniej na dobrej jesteśmy drodze!

— To już niedaleko!—rzekł Rzędzian.

— Chwała Bogu—odpowiedział pan Zagłoba i myśl jego uniosła się ku kniaziównie.

Było mu jakoś dziwnie na duszy i widząc te dzikie brzegi Waładynki, tę pustynię i głuszę, prawie nie wierzył sobie, żeby kniaziówna mogła być tak blizko — ona, dla której

tyle przygód i niebezpieczeństw przebył i którą tak pokochał—że gdy przyszła wieść o jej śmierci, to sam nie wiedział co robić z życiem i starością. Ale z drugiej strony, człowiek oswaja się nawet z nieszczęściem, pan Zagłoba zaś, przez tyle czasu zżył się z myślą, że ona porwana, daleko i w bohunowej mocy, iż teraz nie śmiał sobie powiedzieć: oto już nadchodzi koniec tęsknoty, koniec poszukiwań, nadchodzi czas pomyślności i spokoju. Przytem i inne pytania cisnęły mu się do głowy co też ona powie, gdy go ujrzy? zali się we łzach nie rozpłynie, bo ten ratunek po tak długiej i ciężkiej niewoli spadnie na nią jak piorun niespodzianie. Bóg ma swoje dziwne drogi—myślał Zagłoba — i tak potrafi wszystko powiązać, że z tego jest tryumf cnocie, a zawstydzenie nieprawościom. Bóg to oddał naprzód Rzędziana w ręce Bohuna, a potem uczynił z nich przyjaciół: Bóg to sprawił, że wojna, sroga matka, odwołała dzikiego atamana z tych pustkowi, do których łup swój jak wilk uniósł — Bóg później wydał go w ręce Wołodyjowskiego i znowu zetknął z Rzędzianem—i tak się wszystko ułożyło, że teraz ot, gdy tam Helena resztę nadziei może traci —

i już znikąd nie spodziewa się pomocy — pomoc tuż! „Kończy się twoje płakanie, córuchno moja—myślał dalej Zagłoba—i niezadługo przyjdzie na cię radość niezmierna. Oj! a będzież ona wdzięczna, będzie rączki składała! a dziękowała!“

Tu stanęła dziewczyna panu Zagłobie w oczach jakoby żywa—i rozczulił się szlachcic okrutnie i pogrążył się całkiem w zamyśleniu o tem, co to za chwilę się zdarzy?

W tem Rzędzian pociągnął go z tyłu za rękaw:

— Jegomość!

— A co?—spytał Zagłoba, niekontent, iż mu przerwano bieg myśli.

— Czy jegomość widział? wilk pomknął przed nami.

— To i cóż?

— A czy to tylko był wilk?

— Całuj-że go w nos.

W tej chwili Wołodyjowski zatrzymał konia.

— Czyśmy drogi nie zmylili? — pytał — bo to jużby powinno być.

— Nie!—odrzekł Rzędzian — tak jedziemy, jak Bohun mówił. Dałby Bóg, ażeby to już było po wszystkiem.

— Będzie niedługo, jeżeli dobrze jedziemy.

— Chciałem też jeszcze waszmościów prosić, aby, jak będę gadał z czarownicą, na owego Czeremisa uważać, wielki to ma być paskudnik, ale podobno z rusznicy okrutnie strzela.

— Nie bój się—jazda!

Zaledwie ujechali kilkadziesiąt kroków, konie poczęły tulić uszy i chrapać. Na Rzędzianie skóra zmieniła się w jaszczur, bo spodziewał się, że lada chwila, z za załamu skały, rozlegnie się wycie upiora, lub wytoczy się jaki kształt szkaradny a nieznany—ale pokazało się, że konie chrapały tylko dlatego, że przechodziły tuż koło legowiska owego wilka, który tak poprzednio zaniepokoił pacholka. Naokół była cisza; nawet szarańcze przestały ksykać, bo już i słońce schyliło się na drugą stronę nieba. Rzędzian przeżegnał się i uspokoił.

Nagle Wołodyjowski wstrzymał konia.

— Widzę jar—rzekł—do którego gardziel skałą zatkana, a w skale wyrwa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha — szepnął Rzędzian — to tu!

— Za mną! — skomenderował pan Michał, skręcając konia.

Po chwili stanęli u wyrwy i przejechali jakby pod sklepieniem kamiennem. Otworzył się przed niemi jar głęboki, gęsto zarośnięty po bokach, rozsuwający się w dali w obszerną półkolistą równinkę, obwiedzioną jakby olbrzymiemi murami.

Rzędzian począł wołać, ile mu sił w piersiach starczyło:

— Bo-hun! Bo-hun! Bywaj wiedźmo! bywaj! Bohun! Bohun!

Zatrzymali konie i stali przez czas jakiś w milczeniu, poczem pachołek znów jął wołać:

— Bohun, Bohun!

Zdala doszło szczekanie psów.

— Bohun! Bohun!..

Na lewym zrębie jaru, na który padały czerwone i złote promienie słońca, poczęły szeleścić gęste krzewy głogu, dzikiej śliwiny i po chwili ukazała się, niemal na samym szczycie stoku, jakaś postać ludzka, która przechyliwszy się i przykrywszy oczy ręką, wpatrywała się pilnie w przybyłych.

— To Horpyna! — rzekł Rzędzian — i zwinąwszy dłonie koło ust, począł po raz trzeci wołać:

— Bohun! Bohun!

Horpyna poczęła schodzić—i idąc wyginała się w tył dla równowagi. Szła szybko, a za nią toczył się jakiś mały, krępy człowieczek, z długą turecką rusznicą w ręku; krze łamały się pod potężnemi stopami wiedźmy, kamienie spadały z pod nich, hucząc, na dno jaru i tak przechylona, w czerwonych blaskach, wydawała się istotnie jakąś olbrzymią, nadprzyrodzoną istotą.

— Kto wy?—rzekła wielkim głosem, stanąwszy na dnie.

— Jak się masz, basetlo?—rzekł Rzędzian, któremu na widok ludzi, nie duchów, wróciła cała zwykła flegma.

— Ty, sługa bohunów? ty! poznaję cię! Ty mały! a ci, co za jedni?

— Druhy bohunowi.

— Kraśna wiedźma—mruknał pod wąsikami pan Michał.

— A po co wy tu przyjechali?

— Masz tu piernacz, nóż i pierścień — wiesz co to znaczy.

Olbrzymka wzięła znaki do ręki i poczęła je pilnie rozpatrywać, poczem rzekła.

— Te same są! wy po kniaziównę?

— Tak jest. A zdrowa ona?

— Zdrowa. Czemu tu Bohun sam nie przyjechał?

— Bohun ranny.

— Ranny? ja to we młynie widziała.

— Jeżeliś widziała, to czego pytasz? łżesz waltornio!—rzekł poufale Rzędzian.

Wiedźma pokazała w uśmiechu białe jak u wilka zęby i złożywszy dłoń w kułak, szturchnęła pod bok Rzędziana.

— Ty, mały, ty!

— Pójdziesz precz!

— Nie daruj! pocałuj! hu! A kiedy weźmiecie kniaziównę?

— Zaraz, jeno koniom odpoczniemy.

— To bierzcie! pojadę i ja z wami.

— A ty po co?

— Memu bratu śmierć pisana. Jego lachy na pal wsadzą. Pojadę z wami.

Rzędzian pochylił się w kulbace, niby dla łatwiejszej rozmowy z olbrzymką i ręka jego spoczęła nieznacznie na kolbie bistoletu.

— Czeremis, czeremis! — rzekł, pragnąc zwrócić uwagę swych towarzyszów na karła.

— Po co ty jego wołasz? on ma język urżnięty.

— Ja jego nie wołam, jeno się jego urodzie dziwuję. Ty jego nie odjedziesz—on twój mąż.

— On mój pies.

— I was tylko dwoje w jarze?

— Dwoje—kniaziówna trzecia!

— To dobrze. Ty jego nie odjedziesz.

— Pojadę z wami, mówiłam ci.

— A ja ci mówię, że zostaniesz.

W głosie pachołka było coś takiego, że olbrzymka odwróciła się na miejscu z twarzą niespokojną, bo podejrzenie wstąpiło jej nagle w duszę.

— Szczo ty?—rzekła.

— Ot szczo ja!—odparł Rzędzian —i huknął jej między piersi z pistoletu, tak zblizka, że dym zakrył ją na chwilę zupełnie.

Horpyna cofnęła się w tył z rozkrzyżowanemi rękoma; oczy wylazły jej na wierzch głowy, jakieś nieludzkie skrzeczenie wyszło jej z gardzieli, zachwiała się i padła na wznak jak długa.

W tej samej chwili pan Zagłoba ciął Czeremisa szablą przez głowę, aż kość zgrzytnęła pod ostrzem; potworny karzeł nie wydał ani jęku, tylko zwinął się w kłębek jak robak i począł drgać, palce zaś u jego rąk otwierały się i zamykały naprzemian, nakształt pazurów konającego rysia.

Zagłoba obtarł połą od żupana dymiącą szablę, a Rzędzian skoczył z konia i chwyciwszy kamień, rzucił go na szerokie piersi Horpyny, następnie począł szukać czegoś za pazuchą.

Olbrzymie ciało wiedźmy kopało jeszcze ziemię nogami, konwulsya wykrzywiła jej strasznie twarz; na wyszczerzonych zębach osiadła krwawa piana, a z gardła wychodziło głuche chrapanie.

Tymczasem pachołek wydobył z zanadrza kawałek kredy święconej, naznaczył nią krzyż na kamieniu i rzekł:

— Teraz nie wstanie.

Poczem wskoczył na kulbakę.

— W konie! — skomenderował pan Wołodyjowski.

Pomknęli i biegli jak wicher wzdłuż krynicy biegnącej środkiem jaru; minęli dęby roz-

zucone zrzadka po drodze i oczom ich ukazała się chata, dalej wysoki młyn, którego wilgotne koło błyszczało, jak czerwona gwiazda w promieniach słońca. Pod chatą dwa czarne, ogromne psy, uwiązane na postronkach przy węgłach, rwały się ku nadjeżdżającym, szczekając z wściekłością i wyjąc. Pan Wołodyjowski jechał pierwszy i pierwszy doleciał; z konia zeskoczył, a następnie dobiegłszy do drzwi wchodowych, kopnął je nogą i wpadł do sieni... brzęcząc szablą.

W sieni na prawo, przez otwarte drzwi, widać było obszerną izbę, pełną wiórów, z ogniskiem ułożonem w środku—napełnioną dymem; na lewo drzwi były zamknięte. „Tam ona musi być!" —pomyślał pan Wołodyjowski—i skoczył ku nim.

Szarpnął, otworzył—wpadł na próg i w progu stanął jak wryty.

W głębi izby, ręką oparta o krawędź łoża, stała Helena Kurcewiczówna, blada, z rozpuszczonym na plecy i ramiona włosem, a przerażone jej oczy, utkwione w Wołodyjowskiego, pytały: ktoś ty jest? czego tu chcesz?—bo nigdy przedtem nie widziała małego rycerza—

on zaś zdumiał się na widok tej piękności i tej komnaty, pokrytej aksamitami i złotogłowiem. Nakoniec przyszedł do słowa i rzekł pospiesznie:

— Nie bój się waćpanna, my Skrzetuskiego przyjaciele!

Wówczas kniaziówna rzuciła się na kolana.

— Katujcie mnie!—wołała, składając ręce.

Ale w tej samej chwili wpadł pan Zagłoba, trzęsący się, czerwony, zdyszany.

— To my!—krzyczał—to my z pomocą.

Usłyszawszy te słowa i ujrzawszy znajomą twarz, kniaziówna przechyliła się jak kwiat podcięty, ręce jej opadły, oczy pokryły się frendzlistemi zasłonami i zemdlała.